

OLGIERD GÓRKA

---

„OGNIEM I MIECZEM“  
A  
RZECZYWISTOŚĆ  
HISTORYCZNA

WARSZAWA 1934

---

Skład główny: Libraria Nova, Warszawa, Rynek Starego Miasta 31



O L G I E R D G Ó R K A

---

„OGNIEM I MIECZEM“  
A  
RZECZYWISTOŚĆ  
HISTORYCZNA

W A R S Z A W A 1 9 3 4

---

Skład główny: Libraria Nova, Warszawa, Rynek Starego Miasta 31



Biblioteka  
Uniwersytetu Gdańskiego



\*1100778875\*

*Drukarnia Nowoświecka  
Warszawa, N.-Świat 57  
Tel. 2-72-16*



**II 56062**

IX 3C.  
VII 11A

vs 102/15/63

110-

## ZAMIAST WSTĘPU

*Słowo drukowane, artykuł czy książka — powinno się samo bronić swą treścią, lub formą, a najlepiej zarówno treścią, jak formą, usprawiedliwiać swe prawo do światła dziennego.*

*Tych więc parę słów, które muszą poprzedzić ponowne i łączne wydanie mych artykułów w sprawie historyczności „Ogniem i mieczem“, oraz rozwoju twórczości H. Sienkiewicza w ramach t. zw. Trylogji, — ma spełnić raczej rolę objaśnień wydawcy, oraz credo autora, niż zwyczajowego niemal usprawiedliwiania się z jego strony. W ciągu toczącej się bowiem dyskusji — zarówno w opinji, jak w prasie — na poruszone przezemnie tematy, przekonałem się aż zbyt dowodnie, że wypowiedane są raz za razem opinie, czy sądy, pozornie z inicjatywy, czy w reakcji na moje poglądy, których autorzy bądźto nie zadali sobie trudu zapoznania się z mymi artykułami, bądźto znali je w urywkach, lub z odgłosów w prasie. Często spotykałem się z bardzo dogodnym dla oponentów systemem stwierdzania w moim imieniu pewnych, przezemnie nigdzie niewypowiedzianych, sądów, co więcej — nawet szczegółowych faktów i cyfr, które następnie z oczywistym powodzeniem w swoich artykułach druzgocąco obalali. Równocześnie zaszło zbyt wiele wypadków zniekształcania w rozmaitych sprawozdaniach mych poglądów, intencji, treści referatów naukowych i t. d., czasem przez brak informacji, niejednokrotnie jednak przez ewidentnie złą wolę. Zdecydowałem się więc ogłosić je drukiem ponownie i razem zebrane, by każdy interesujący się tymi sprawami, a kierowany dobrą wolą, mógł dowiedzieć się wprost, dogodnie i ze strony niezawodnej, jakie zagadnienia podnosiłem, oraz jak starałem się je naświetlić i rozwiązać.*

*Powyżej naprowadzony fakt referowania mych argumentów, czy sądów niejednokrotnie ze złą wolą, oraz przeważający wśród polemistów objaw krytykowania mych poglądów, ale bez przytaczania choćby czasem dosłownie mych wypowiedzeń się, — rozstrzyg-*

nał o konieczności wydania tych artykułów w tym samym porządku, bez zmian i uzupełnień, a jedynie po usunięciu błędów korektorskich, naturalnych przy drukowaniu w perjodykach. Oczywiście uciepć musi na tem obecna książka, a to wskutek konieczności reprodukowania bez zmian artykułów, które ani nie były zamierzone, ani nie były napisane jako rozdziały obecnej książki, a są jedynie łącznym przejawem wypracowanego i ustalonego—od ogłoszenia pierwszych słów w tej sprawie — poglądu historycznego, oraz literackiego.

Skoro bowiem zjawily się wersje, jakobym zmieniał swe poglądy, wycofywał się z poprzednich twierdzeń i t. d., a to bez żadnej podstawy ku temu, podaję wszystko ponownie w druku bez zmian, czy przeróbek. Gdybym był bowiem przeprowadził pewne zmiany, chociażby tylko dla redakcyjnego wygładzenia, czy systematycznego uporządkowania szeregu uwag, nie zabrakłoby niewątpliwie głosów złej woli, że z takich czy innych — na mój rachunek naprowadzonych motywów — zmieniłem swe stanowisko, czy poglądy. Niech więc te artykuły, które znalazły w szerokiej opinii i prasie tak żywe echo i zainteresowanie, bronią się same swoją treścią.

Nie chciałbym jednak być źle zrozumiany, ani też inspirować czytelnikã w kierunku przypuszczenia, że z niezmienności poglądów naukowych, czy literackich robię zasadę, która oczywiście w swem bezwzględnem brzmieniu musiałaby być wprost irracjonalną. Nie wątpliwie, gdybym był bądźto sam zetknął się z wypowiedzeniem jakiegoś źródła, lub z oczywiście przekonywującym kontrargumentem, — byłbym bez wahania i lojalnie wobec nakazów nauki, wycofał, lub skorygował swe poglądy. Podobnie zwrócenie mi uwagi przez oponentów na jakieś przeoczenie źródłowe, na fakt nieuwzględniania pewnych momentów, byłbym uważał nie za przykrość zrobioną sobie, jako autorowi, ale za fakt twórczej i pozytywnej współpracy na drodze do szukania prawdy w odniesieniu do zagadnień, które — jak się okazało, — dotyczą wprost podstaw myślenia polskiego. Faktem jest jednak dla mnie, że — przynajmniej jak dotychczas, czyli do momentu wypuszczenia w świat tej mojej obecnej książki — wśród całej tej powodzi protestów i prób kwestjonowania mych poglądów, nie padł na szali walki polemicznej ani jeden cytat, ani jedno źródło, ani jeden tytuł książki, ani jeden wreszcie przemożny argument, któryby mi nie był przed rozpoczęciem dyskusji znany i przemyślany, a mógłby zmusić do wycofania się bądźto wogóle z zajętego stanowiska, bądźto chociażby z pewnych, podniesionych w mem przedstawieniu tych spraw, szczegółów. Jeśli po ukazaniu się obecnej książki znajdą się oponenti, którzy z pozytywnym materiałem i z przekonywującym sprzeciwem zmuszą moje naukowe myślenie, chociażby na drobnym od-

cin ku, do odwrotu, — stwierdżę to sam chętnie z prawdziwą przyjemnością. Zdrowym bowiem sensem sprawy i dyskusji o historyczności „Ogniem i Mieczem” nie jest słuszność moich poglądów, ale zbliżenie się do prawdy dziejowej w całej jej rzeczywistości lat 1648—1651, tej prawdy historycznej, która sama przez się jest i musi być twórczym walorem dla myślenia i rozumowania polskiego ogółu.

Poza przedrukiem artykułów, które łącznie z pierwszym omówieniem odgłosów opinji p. t. „Pierwsze pokłosie dyskusji o historyczności „Ogniem i Mieczem”, stanowią pewną zamkniętą myślową całość, zrodziła się konieczność podania czytelnikom obecnej książki treści dyskusji, która się rozwinęła w dalszym ciągu, a skupiła się głównie na zagadnieniach historycznych powyższych lat. Plan przytoczenia w obecnej książce wszystkich opinji mych oponentów i w całej ich rozciągłości — okazał się niemożliwym do wykonania. Pomijając już fakt dysponowania prawem autorskiem tylko w odniesieniu do moich artykułów, nie miałem możności zapoznania się z wszystkimi bez wyjątku poglądami, jakie ukazywały się w ciągu pojawienia się mych artykułów. Zachodziła więc możliwość opuszczeń w zestawieniu głosów, albo też konieczność pewnego doboru tych sprzeciwów według mego uznania, co mogłoby wydawać się stronnem, lub dowolnem. Pozatem w wielu wypadkach cytowanie tych kontrargumentów miałooby się z celem, dlatego, że wiele z tych protestów, czy sprzeciwów nawzajem się między sobą wykluczało. Gdy jedni twierdzili, że „przecież nikt się z Sienkiewicza historii nie uczył”, to inni dla odmiany zarzucali mi, że kwestjonuję ujęcia tego pisarza, który był nauczycielem historycznym całej Polski. Gdy jedni bronili rzekomej roli Wiśniowieckiego w czasie oblężenia zbaraskiego, to inni próbowali twierdzić, że moje zepchnięcie go z roli naczelnego wodza obrony zbaraskiej — jest rzeczą znaną i przesądzoną. Gdy jedni starali się mnie przekonać, że Sienkiewicz nie miał obowiązku ścisłości historycznej dla swej powieści, inni udowadniali, że jej przestrzegal na całej linii i t. d., i t. d. Mógłbym cytować te uwagi protestujące, a nawzajem się wykluczające, całemi stronicami, — jak sądzę — bez najmniejszej korzyści dla czytelnika.

Ograniczyłem się więc przy końcowem referowaniu polemiki w obecnem jej stadium, do podania tych punktów mych oponentów, w których musiałem dla wyjaśnienia, czy odparcia wobec opinji, naprowadzić dalsze argumenty, lub dane źródłowe. Jak to bowiem zaznaczyłem zaraz w pierwszym moim artykule, byto moją intencją podanie szerszemu ogółowi czytelników pewnej ilości nowych faktów, oraz, odmiennych od obowiązujących, punktów widzenia naukowych i literackich, a bez prezentowania mego całego aparatu, czy nieraz balastu naukowego. Niemniej jednak, sam dla siebie, ten

aparatu dowodu naukowego miałem w swej dyspozycji, gdy rozpoczynałem druk mych artykułów, jako produkt przetrawionego zarówno wewnątrz, jak naukowo, sądu. Dlatego też — jak wyraziłem się w jednej polemice — nie zabrakło mi i nie zabraknie argumentów, pełnych cytatów źródeł i niezbitych faktów, w odpowiedzi na ten cały „dym ślepych naboł“, czyli ogłaszanych protestów, w których nie brakło nawet inwektyw i niedopuszczalnych złośliwości w miejsce nowych danych, cytatów źródłowych, lub przekonywująco zbudowanych, a umotywowanych przeciwnych poglądów. Wreszcie musiałem podkreślić w reasumowaniu polemiki te moje twierdzenia, na których przysługuje mi prawo autorstwa i pierwszeństwa w naszej nauce, a to wobec objawów przejmowania całego meritum mych wywodów, — ale w akompaniamencie gwałtownych protestów nazewnątrz przeciw memu rewizjonizmowi historycznemu tego okresu!

W zamknięciu tych wstępnych wyjaśnień nie cofam się przed złożeniem wobec czytelników obecnej książki pewnego, krótkiego wyznania. Jeśli mimo całej sentyment dla twórczości Sienkiewicza — przez pokazanie rzeczywistości historycznej tych czasów i ludzi, — „zepsułem“, jak mi zarzucają, przyjemność czytania „Ogniem i Mieczem“, tej naprawdę artystycznie niepospolitej powieści, to tę winę spokojnie i z poczuciem odpowiedzialności przyjmuję na siebie. Niemniej jednak obecny przedruk mych artykułów najlepiej wykaże sui generis zaktamianie rozmaitych wersji o mej „napaści“ na Sienkiewicza, jego twórczość i „Trylogję“ (?!). Podobnie artykuły, niżej powtórzone, wyjaśnią, same przez się, że wchodząc w zasadnicze zagadnienia formowania umysłowości w Polsce, nie łączą się one z praktyką pedagogiczną.

Poza przekonaniem bowiem, że tylko poznanie całej prawdy o rzeczywistych dziejach b. Rzplitej może dać istotnie twórcze walory Polsce Odrodzonej, staram się służyć tej rdzennie polskiej myśli naukowej i politycznej, która raz za razem, a często bez uświadamiania sobie tego, jest narażona na próby zniekształcania jej bądźto przez wpływy pobliskiego Wschodu, bądźto pobliskiego Zachodu. Tym podstawom polskiego myślenia starałem się oddać hołd w słowach moich, poświęconych postaci s.p. T. Hołówki (por. czasop. „Wschód“ III. 1932. Nr. 3—4) stwierdzając: „Wbrew nihilizmowi sąsiedniego Wschodu, wbrew zasadom szowinistycznej ideologii sąsiedniego Zachodu, uchowała się w pewnych duszach polskich ta rdzennie polska myśl polityczna, w której było miejsce na gorące uczucie narodowe, bez nienawiści i hasel tępienia innych, tak jak było w niej miejsce na postęp i demokrację, bez chaosu i nihilizmu rozprzężenia społecznego“.

Warszawa, dnia 19 marca 1934 r.



CZĘŚĆ I.

A r t y k u ł y



Obowiązkiem i koniecznością stało się otwarcie zabrać głos już obecnie, jakkolwiek w zgodzie z własnym poprzednim zamiarem i metodą zawodowego historyka, chciałem się wypowiedzieć dopiero za rok, lub dwa, w rozprawach, obwarowanych skrupulatnie notami, cytatai i polemiką z dotychczasową literaturą, — słowem, z pełnym aparatem, czy nieraz balastem krytyki naukowej.

Toczy się właśnie obecnie, na tle zarządzenia pedagogicznego o obowiązkowej lekturze, żywa walka w opinii i prasie o stanowisko sienkiewiczowskiego „Ogniem i Mieczem“, walka będąca w gruncie rzeczy sporem najwyższej wagi, bo sporem o zagadnienie, jakimi walorami literackimi formować obecną i przyszłą duszę narodu polskiego. Równocześnie zaś — czem ogół i prasa mniej się zajmuje— odżyły po długiej przerwie naukowe studia historyczne na tematy niezrównanych, ale tylko pod względem swej literackiej plastyczności, „Szkiców Historycznych“ L. Kubali. Szkice te, jak wiadomo, stały się decydującą, a w sądach, obok Encyklopedji Powszechnej, niemal wyłączną kanwą naukową dla „kandydata nauk historycznych“ H. Sienkiewicza, gdy lat temu równo 50 tworzył swój genialny w rzucie, rozmachu i obrazowości pierwszy tom „Trylogji“.

Właśnie teraz, czy ostatnio, ukazał się „Jeremi Wiśniowiecki“ Wł. Tomkiewicza (Rozpr. Hist. Tow. Nauk. Warsz. T. XII. 1933), przywitany uznaniem prof. Tokarza, wyszła „Obrona Zbaraża w r. 1649“ ks. L. Frąsia (Kraków 1932) i tegoż „Bitwa pod Zborowem w r. 1649“ (Kwart. Hist. 1932), wszystko prace pod przemożnym wpływem i w rozwinięciu jądra poszukiwań, czy poglądów Kubali. Temsamem zdawałoby się mogło, że zasadniczą stroną obrazu, narzuconego całemu narodowi polskiemu lat temu 50, z tak genialnie i niezmiennie działającą siłą, decydującą dla naszego odczuwania przeszłości, jak to sam podkreślić musiałem („Polityka Narodów“ 1/2, 1933, str. 5), bardziej, niż nasze wszystkie uniwersyteckie katedry razem wzięte, — zyskała swą ostateczną aprobatę naukową i ostateczne oparcie w faktach.

W debatach pedagogicznych, oraz głosach opinii, czy prasy, spór i dyskusja obracają się niemal wyłącznie około stosunku szkoły,

względnie wychowywania naszych obecnych i przyszłych pokoleń, wobec Ukraińców i problemu ruskiego zarówno w przeszłości, jak chwili obecnej. Mimo doceniania wpływu pedagogicznego obowiązkowej lektury, dającej zresztą z gruntu fałszywy obraz Chmielniczyzny i przewrotów społeczno-politycznych lat 1648/9, obraz zaostrowany jaskrawości nacjonalistyczne równie dobrze po stronie polskiej, jak ukraińskiej, stwierdzić należy, że sprawa ta stanowi przecież zagadnienie drugoplanowe. Jest ono bowiem niewątpliwie ważne, ale bynajmniej nie najważniejsze. Zagadnieniem bowiem naczelnym musi być sprawa formowania wpływami literackimi duszy polskiej obecnej i przyszłej, w czym lwiz i pod wielu względami dodatnia część pracy przypadła powieściom historycznym Sienkiewicza, dla którego zresztą sprawa tamta była również drugoplanową z jego własnego stanowiska. Wzniósł się on już w „Potopie“ na nieporównanie wyższe, czy głębsze, a w gruncie rzeczy zupełnie inne podejście do naszej rzeczywistości dziejowej czasów Jana Kazimierza, a to dzięki świadomemu wyswobodzeniu się (np. w ocenie króla) z naukowej sugestyj Kubali. W przepięknym zaś opowiadaniu ks. Kamińskiego z „Pana Wołodyjowskiego“, sam dał literacką ekspiację za jednostronność obrazu „Ogniem i Mieczem“, naogół bezwzględnie przejawionego, a niedociągniętego jedynie w odniesieniu do bezcelowych i okrutnych wyczynów Jaremy. Tę stronę zagadnienia zostawiam celowo na uboczu; konieczność bowiem protestu wobec obowiązkowego narzucenia wyobraźni każdego młodego Polaka historycznych sugestyj „Ogniem i Mieczem“, sięga znacznie głębiej, wchodzi do zagadnień bardziej szerokich i bardziej zasadniczych.

Rzuciłem z miejsca zarzut „z gruntu fałszywego obrazu“, przez co niemał oczywiście zamiaru z pseudo-„szkiełkiem mędrca“ rozpisywać się na temat błędów historycznych w „Ogniem i Mieczem“, spowodowanych zlekceważeniem poglądów Szajnochy i Szujskiego, a wynikłych z oparcia się Sienkiewicza o „Szkice“ Kubali, tego niezrównanego wizjonera polskiej przeszłości i ukochanego profesora falangi uczniów, wśród nich również autora tego artykułu.

Twórca literacki, powieściopisarz, nie tylko nie może, ale nie powinien być fotografem, pomagającym sobie od czasu do czasu retuszem. Nie mniej jednak jest jakaś niesamowita zemsta martwych i poukrywanych źródeł historycznych, wywarta na genialnym powieściopisarzu za jego błędne założenia w odczuwaniu przeszłości, zemsta przejawiająca się w tem, że gdziekolwiek Sienkiewicz włączył w swą fabułę powieściową osoby historyczne, znane i stwierdzone źródłami, wszędzie i zawsze sformował je w „Ogniem i Mieczem“ w r e c z o d w r o t n i e, niż się one przedstawiały w rzeczywistości, w rzeczywi-

stości, którą nam ukazują naprawdę stwierdzone, czy opublikowane potem materiały i dane historyczne.

Przykłady tego są wprost uderzające. Nie jednego naprzykład czytelnika Trylogii serce napewno zaboli, gdy się dowie o stwierdzonym fakcie historycznym, że główny bohater sienkiewiczowski, Skrzetuski, znany z wielu źródeł i bitew, który rzeczywiście wraz z swymi sługami rusinami wydostał się ze Zbaraża i pierwszy przyniósł królowi, oraz wojskom odsieczy wieści do Toporowa, był Rusinem, schyzmatykiem, towarzyszem chorągwi kozackiej u Firleja, nie zaś porucznikiem ciężkiej chorągwi Wiśniowieckiego (źródła m. i. u ks. Frąsia: Obr. Zbar. str. 58 i nast.). Wróg zaś jego Iwan Teodorowicz Bohun, zwany Fedoreńką, rzeczywista sława kozacza Ukrainy, w roku 1648/9 starszawy jegomość, mający dorosłego syna, był nie kozakiem „chłopem“, nie mającym prawa podnieść oczu na kniaziówę, lecz szlachcicem, synem dzierzawcy, pisującym dyplomatyczne listy do Lanckorońskiego. (Zob. np. Z *Dziejów Ukrainy*, Ks. Pam. p, red. W. Lipińskiego, Kijów, 1912, str. 289 — 93 i 492/3). Walczył on po stronie Chmielnickiego, jak tysiące niemal szlachty ówczesnej województw rusińskich, wśród których spotykamy setkami pierwszorzędne nazwiska polskie, nietylko wiary „greckiej“ i dysydentów, ale także „rzymskiej“, nieraz nawet członków rodów senatorskich, nie wyłączając synowca słynnego „bicza Tatarów“ Chmieleckiego. Sam zresztą szlachcic „urodzony“ Bogdan Chmielnicki w młodości swej służył pod Żółkiewskim. Ojciec zaś jego, Michał Chmielnicki, o którym nawet ukraińska literatura historyczna niemal prawie wcale nie wspomina, był rycerzem, mającym naprawdę piękną kartę w dziejach Rzeczypospolitej, stokroć piękniejszą niż przedstawiony w legendzie męczeństwa stryjec Jeremiego — Dymitr Wiśniowiecki. Książ Dymitr bowiem zawisł na haku w Stambule za najazdy (1563), podejmowane z chciwości i prywaty, wbrew interesom i zakazom Rzeczypospolitej, gdy Michał Chmielnicki zginął jako prawdziwy rycerz w służbie Rzeczypospolitej i chrześcijaństwa, był bowiem dowódcą wolontarjuszy w armji Żółkiewskiego pod Cecorą i tam poległ na polu chwały razem z najwznioślejszym dziejów polskich bohaterem.

Na każdym kroku zaznacza się ironja tego dysonansu między twórczością a rzeczywistością, czy raczej wspomniana a niesamowita zemsta źródeł za błędne nastawienie wobec przeszłości. Idzie ona bowiem dalej: dziki, bestjałski wódz, wcielenie rozpasania chłopskiej ruskiej czerni, Maksym Krzywonos, za takiego zresztą poczytywany nawet przez literaturę ukraińską, był już tak całkiem na przekór wyobraźni Sienkiewicza — właśnie Szkotem! („Ein gebohner Schott“; por. Z. Dz. Ukr. str. 509). Ten właśnie Krzywonos był Szkotem, a więc pochodził z nacji, która nawet Anglików za gorszą rasę po-

czytuje. Nie był Szkotem natomiast pięknowłosy, subtelny i romantyczny Hassling-Ketling, który z kolei był w rzeczywistości historycznej Niemcem Heykingiem i jako ten Heyking wysadził się w powietrze, czy też przypadkowo zginął przy eksplozji w roku 1672 w Kamieńcu. Możliwy tak wyliczać bez końca fakty rzeczywistości, wręcz odwrotne, niż je wyczuł za przewodem Kubali autor „Ogniem i Mieczem“, np. sześciu Wołodyjowskich szlachciców - kozaków walczy u Chmielnickiego w pułku braclawskim, nie zaś w pułkach Jaremy i t. d., podobnie główna, obok Chmielnickiego postać w historii tej wojny, pułkownik czechryński Stanisław Krzyczewski, którego Sienkiewicz wbija już zimą roku 1648 na pal (t. II str. 115 i nast. wyd. Ossol.), znacznie później, bo dopiero 3 sierpnia roku 1649 (prawdopodobnie po przetrzepaniu oddziałów Wiśniowieckiego), zmarł jako ranny jeńiec, ale pod opieką medyka, u Janusza Radziwiłła. W rok po tem rzekomem wbiciu na pal zdołał on swą akcją, pomimo klęski pod Łojową, odciążyć poważnie Chmielnickiego w czasie jego trudnej sytuacji wojskowej między Zbarażem a Zborowem.

W tym wypadku pomściła się na Sienkiewiczzu jego niechęć do szkoły krakowskiej, jego nieoglądanie się na znakomity po dziś dzień trzeci tom „Dziejów Polski“ niezrównanego, czy genialnego historyka Szujskiego, który byłby go ustrzegł od podobnych niepotrzebnych błędów. Nie mógł jednak sięgać Sienkiewicz do tak znakomitej na owe czasy podstawy, jak Szujski, gdyż nietylko jego Jarema, przece-niany zresztą pod względem wojskowym, nazwany jest tam „oczaj-duszą“ (str. 305), by nie powiedzieć wyraźnie zbrodniarzem, ale o kozakach i Chmielnickim (str. 326) stwierdzone zostało – z dużą zresztą nieścisłością, — że „byli Polakami, zbuntowanymi nie przeciw Polsce, ale przeciw formie rządu, która ich uciskała, przeciw bezprawiom, których doznawali“.

Nie na tych jednak szczegółach, czy wyżej zaznaczonej, wręcz rażącej rozbieżności między rzeczywistością, a postaciami sienkiewiczowskimi w „Ogniem i Mieczem“, pragnę położyć nacisk: nie tej stronie sprawy chciałbym nadać najwyższą gatunkową wagę w dyskusji o pierwszy tom „Trylogji“.

Jakkolwiek dzisiaj każde dziecko w Szwajcarji potrafi wskazać najdokładniej tchnieniem poezji i muzyki okryte i wstawione miejsca działań Tella, chociaż wie ono gdzie „Tellplatte“ i Rütli, — Wilhelm Tell nigdy nie istniał, nigdy z kuszy nie strzelał, a także się nigdy nikt w Rütli do walki o wolność nie sprzysięgał. Nie zmniejsza to oczywiście w niczem wartości i wagi Wilhelma Tella, jako tematu twórczości, co więcej nie osłabia w niczem tak wszechstronnego i przemożnego wpływu schillerowskiej poezji na nastroje wolnościowe Europy XIX wieku. Bo chociaż Wilhelm Tell i Rütli nie istniało, były

rzeczywiste Morgarten i Sempach, były rzeczywiste, dzielne siekiery spragnionych wolności chłopów szwajcarskich, rozbijających zwycięsko połączane pancerze austriackich rycerzy. Była więc w rzeczywistości możliwość Wilhelma Tella, chociażby potem sfabrykowanego historycznie przez Tschudiego, podczas gdy bohaterski, ofiarny, tylko o dobru Polski myślący, kozacko-wołoski książę Jarema i jego heroiczni, a bezwzględnie w jego ideę polską wierzący towarzysze i podkomendni, nie tylko nie istnieli, ale nawet — wbrew założeniom sienkiewiczowskiej wyobraźni o Polsce z połowy w. XVII — istnieć nie mogli.

Nie szedł nigdy przez Ukrainę okrzyk przerażenia serc kozackich „Jarema idzie“, natomiast musiał iść przez serce każdego ówczesnego myślącego i wartościowego Polaka lęk grozy i rozpacz, że banita, podstępny rabuś, okrutnik, knujący, jak większość magnatów, zdrady na prawo i lewo, uciekający raz za razem przed wrogiem z pohańbieniem najbardziej zasadniczych obowiązków żołnierza i wodza, książę Jarema, mógł się porywać na króla, chciał go mordować i wyrzynać senatorów z zemsty za zdemaskowanie go jako oszusta procesowego. Nie przez dusze kozaków i chłopów Ukrainy, ale przez dusze czujących i myślących Polaków musiała iść groza przerażenia, że tylko tacy właśnie ludzie byli ulubieńcami gminu, czy „narodu“ szlacheckiego ówczesnej Polski.

Jeśli więc dzisiaj, z prawdziwym bólem serca dla każdego, powstaje postulat, by pierwszy tom „Trylogji“ usunąć z pomiędzy środków, niejako przymusowych, formowania duszy obecnego i przyszłego narodu polskiego, gdy rodzi się obowiązek powiedzenia młodzieży polskiej: że to wszystko jest nieprawdą i bolesnym nieporozumieniem artysty, — to nie dlatego, że takie postacie nie istniały, ale że w takim obrazie, w takiej formie, w sienkiewiczowskiej płaszczyźnie „Ogniem i Mieczem“, istnieć nie mogły, a temsamem roli drogowskazów dla młodzieży spełniać nie mogą.

Do tego jednak jądra sprawy przejść można dopiero przez rozprawę z polską historjografią tych wypadków, a nie z Sienkiewiczem, który na przyjętej przez siebie, nieco dowolnie, kanwie naukowej, nietylko chciał dać, ale rzeczywiście dał przedwojnemu pokoleniu z wszechmiar dodatnie walory wychowawcze Trylogji, osłabione niepotrzebnie w pierwszym tomie, zbyt ostre, nawet dla owych czasów, antiruskimi przejaśkrawieniami.

Ponieważ „Ogniem i Mieczem“ było lat kilkadziesiąt dla każdego czującego Polaka wielkim przeżyciem osobistym, niepodobna wręcz pisać o stosunku do tego niepospolitego dzieła bez tonów osobistych

zwierzeń. Podnosi się obecnie w dyskusji o „Ogniem i Mieczem“, że Sienkiewicz, w myśl własnych i świadomych założeń „krzepił słabnące serca“ przedwojennej Polski skuteczniej, niż ktokolwiek inny, a zwłaszcza budził zapędy bojowe i niepodległościowe. Niewątpliwie tak było. Jeśli bowiem Sienkiewicz może nie działał silniej, niż genjusz Słowackiego, Mickiewicza, czy Wyspiańskiego, to w każdym razie wpływał szerzej, w większym kole zasięgu, a mianowicie tam, gdzie nietylko słowa „Króla Ducha“, czy „Wyzwolenia“, ale już „Dziadów“ i „Anhellego“ dotrzeć nie mogły. Piszący słowa obecne patrzył na to żywe dzieło sienkiewiczowskiego pióra częściej i dłużej od wielu innych sobie współczesnych, widząc je na każdym kroku w tej całej falandze sienkiewiczowskich pseudonimów w Legionach Polskich, czy też w tym patrolu 2-go pułku L. P., złożonego z uczniów, wyrrywających się na poszukiwanie jaru, w którym ongiś miała się kryć Kurcewiczówna u Horpyny. Odczuł ten wpływ wreszcie autor artykułu na sobie samym, gdy czytanie opisu szarży pod Machnowką, obraz chorągwi husarskiej, prowadzonej przez Skrzetuskiego, pozostało mu na zawsze jako najpotężniejsze przeżycie artystyczne, z którego wypływało jedno przemożne nad wszystko pragnienie, by zostać kiedyś polskim kawalerzystą. Zresztą, któż piękniej potrafiłby oddać niesamowity urok i wpływ na duszę chłopięcą „Ogniem i Mieczem“, niż wspomnienia Tadeusza Hołówki, nakreślone przez niego o sobie w książce „Przez dwa fronty“, gdy opisuje, jak czuł się podrastającym Wołodyjowskim, wznoszącym się potem na wyżyny Skrzetuskiego, by skończyć z latami — na sympatji dla Bohuna (por. Rzymowski: „W Walce i Burzy“ str. 42).

Sądzę więc, że nikogo nie trzeba przekonywać, nikomu nie trzeba udawadniać tego niesamowitego, a tak dodatniego wpływu, jakie opisy sienkiewiczowskie w „Ogniem i Mieczem“ miały na duszę przedwojennego pokolenia Polaków. W całym jednak zrozumieniu dla tego momentu, dziś właśnie już czas powiedzieć, że ze stanowiska formowania odczuwać narodowo-historycznych obecnej i przyszłej duszy polskiej, — „Ogniem i Mieczem“ tym dla nas obrazem być nie powinien!

Podkreślam świadomie, że dziś już na to czas. Momentem bowiem, który nakazuje zabranie głosu w tej sprawie, i to możliwie jak najprędzej, jest ogólnie, z dobrą nawet wiarą podnoszony argument, że skoro „Ogniem i Mieczem“ spełniło swoją dobrą, polską służbę w dobie przedwojennej, to temsamem pozostanie przecież pozycją cenną, wskazaną i pożyteczną dla młodzieży Polski powojennej. Argument ten, pozornie tak pozytywny i prosty, budzić musi jednak gorzki uśmiech historyka, że tak jak po roku 1772 myślenie polskiego ogółu dopiero powoli obznajmiało się z konsekwencjami faktu roz-



bioru, tak po roku 1918 dopiero powoli musi się przystosowywać do konsekwencji Odrodzenia. Przeszliśmy z bytu bezpieczeństwa do egzystencji państwowej nie tylko z przedwojennymi programami politycznymi, nie mającymi zastosowania, a nieraz nawet sensu, w okresie własnego Państwa, ale także z całym balastem wierzeń, nieraz zupełnie naiwnych, o celowości zasad i dróg pedagogicznych, zasobem prawd rzekomo niezbitych, które dla duszy byłej Polski mogły być twórcze, a dla duszy obecnej stały się hamujące.

Do tego zakresu należy również fakt, — przy pozostawieniu na uboczu sprawy ruskiej, czy ukraińskiej, — że sądy o roli „Ogniem i Mieczem“ w Polsce rozbiorów, nie mogą być żadną miarą, ani argumentem dla oceny, jaki skutek musi obecnie wywierać i wywiera czytanie „Ogniem i Mieczem“ przez dorastającą młodzież. Młodociany bowiem czytelnik chce przede wszystkim **p r a w d i w s k a z a ń**, a czerpie je, pod tak potężną sugestją artystyczną, bez zdolności oceny literackiej w oderwaniu od treści. Droga jednak do tych wniosków prowadzi przez rozprawienie się z naszym dorobkiem naukowym w zakresie stanu społeczeństwa polskiego w połowie wieku XVII, odnośnie do popularnego podówczas Jeremiego Wiśniowieckiego, a zwłaszcza w odniesieniu do strony wojskowej, czy wojennej lat 1648/9, gdzie już w dziedzinie czysto fachowej spadnie nieraz ciężki obowiązek, by Ketlinga zdemaskować jako Krzywonosą, a rzekomą zasługę i rzekomych bohaterów strącić z piedestałów.

Obrażenie jednak, z błędów nauki wypływających, urojenń Sienkiewicza, z których tak szybko potrafił się już uwolnić w „Potopie“, nie może przyćmić całej naukowej i wyobraźniowej świadomości, że tam w głębi obrazu „Ogniem i Mieczem“, na drugim planie, choć może u góry, byli ci, skrzywdzeni, a nieraz pohańbieni za służbę Ojczyźnie, którzy zasługiwali naprawdę na sugestywny hołd pióra genialnego pisarza. Że tak być mogło i być powinno, dał temu najsilniejszy wyraz sam Sienkiewicz, gdy oderwawszy się zupełnie od Kubali, nakreślił z przedziwną siłą i szlachetnością sylwetkę Kisiela, chociaż nie wiedział nawet, że zabiegi wojskowe dla obrony Rzplitej, czynione przez tegoż Kisiela, więcej były warte od wszystkich wyczynów Jaremy.

Kisiel nie stał wówczas sam jeden, jakby z „Ogniem i Mieczem“ wynikać mogło, lecz był bardziej zresztą członkiem, niż wyrazicielem drugiego, lepszego, a wówczas istniejącego jednak świata polskiego. Świat ten, po dwudziestoletniej walce, poniósł klęskę i uległ tragicznie i definitywnie. Uległ wskutek masowych zbrodni „królewiat“, opartych o bezdenną głupotę, o niewyrobienie, sobkostwo i tchórzliwy pacyfizm, pokrywany przez pseudo-patrjotyczną tromtadrację, oraz z powodu dziedzicznego pędu do anarchicznego nierządu — olbrzymiej większości „narodu szlacheckiego“ tego czasu.

## II. Odwrócony obraz

Wolno twórcy — powieściopisarzowi, dramaturgowi, czy poecie — wcielającemu np. treść rewolucji francuskiej w formę artystyczną, potraktować stosownie do swego odczuwania przeszłości Robespierre'a na biało, a Dantona na czarno, lub też odwrotnie, względnie obydwóch na biało, albo obydwóch na czarno. Nie może mieć jednak racji „robienie” Robespierre'a obrońcą pokrzywdzonej szlachty francuskiej, a wyrosłej z rewolucji gwardji napoleońskiej zbiorem niedołęgów, uciekających przy każdym spotkaniu. Tego rodzaju zaś przeistoczenie stanowi treść tego fatalnego nieporozumienia, jakie bez najmniejszej własnej winy, a jedynie wskutek błędów historyków, zdarzyło się Sienkiewiczowi w „Ogniem i Mieczem“, a to zarówno w ogólnem ujęciu tła, jak szczególnie w odniesieniu do postaci Wiśniowieckiego.

Podobnie, jak w pierwszym moim artykule, podkreślam ponownie, że nie chodzi mi o wykazywanie błędów historycznych Sienkiewicza, błędów, których sobie zresztą na ogół nieuświadomił do końca życia. Musiałbym bowiem wtenczas zacząć od pierwszych stronic „Ogniem i Mieczem“ i od wykazywania, że protekcja Krzyczewskiego, oraz pomoc Łaszczka, a nie przypadkowe spotkanie z fikcyjnym Skrzetuskim, wyratowały Chmielnickiego z rąk pościgów i zasadzek Czaplńskiego. Tym systemem następnie mógłbym przewertować całe „Ogniem i Mieczem“, od pierwszej do ostatniej stronicy, odnośnie do której musiałbym stwierdzić, że Bohun nie umierał spokojnie w Rozłogach z żalu za Heleną, ale że został 27.II.1664 rozstrzelany przez Polaków pod Nowogródkiem Siewierskim.

Odwrócony bowiem obraz, jakim jest wobec rzeczywistości dziejowej „Ogniem i Mieczem“, polega nie na błędnych szczegółach historycznych Sienkiewicza, przez niego przeważnie niezawinionych, ale na zupełnie fałszywym odczuciu tych lat, zwrotnych i tragicznych. *Doprowadziło go to do apoteozowania tych stron, typów i momentów, które zasługiwały na potępienie i pioruny oburzenia, a spowodowały pominięcie w „Ogniem i Mieczem“ tych istotnie pięknych chwil lat 1648-49, które dopiero czekają na wielkie pióro, kierowane*

rzeczywistem poznaniem epoki. Nie mogę dość dobitnie podkreślić, że odwrócenie obrazu w „Ogniem i Mieczem“ dokonało się bez bezpośredniej winy Sienkiewicza, bo większości podawanych faktów oraz ujęć osób i rzeczy, jakie mam zamiar nakreślić w związku z obrazami „Ogniem i Mieczem“, nie znajdzie czytelnik tych słów nietylko polski, ale również ukraiński, w literaturze historycznej — w ogóle. Dwóch „narodolubców“ — tylko ten bowiem ukraiński termin ich istotę myślenia naukowego oddaje — a mianowicie Kubala ze strony polskiej, a później Hruszewski ze strony ukraińskiej, narzuciło historjografji swym przemożnym wpływem naukowym do tego stopnia z gruntu fałszywy obraz lat 1648—9, że nietylko lat temu 50, gdy tworzył Sienkiewicz, ale nawet dziś jeszcze czytelnik nie znajdzie, mimo ogromnej literatury monograficznej nietylko polskiej ile ukraińskiej, dzieł czy rozpraw naukowych, zbliżających się do istotnego przebiegu rzeczy i ujmujących wypadki na istotnej płaszczyźnie.

Na innym miejscu wytłomaczę z jakich motywów wypływa naukowy i ideowy obowiązek utracenia tych, tak zgodnie przyjętych, fałszów historycznych, oraz jaki jest cel konstruktywny tej pracy. Na innym zaś dla odmiany miejscu i terenie udowodnię, dlaczego i w jaki sposób historjografja polska, a za nią ukraińska, doszły zarówno do błędnego ustalenia szeregu szczegółów, jak w rezultacie do fałszywego ujęcia całości, oraz szkodliwych, dla obojdwóch stron, wskazań na przyszłość. Wystarczy, jeśli już obecnie tym, którzy biorą za złe piszącemu te słowa utracanie fałszywych bożków, odpowiem, że póki chodził w glorii politycznej św. Stanisław t. zw. Szczepanowski, nie mogła w naszych dziejach zarysować się olbrzymia i przepiękna postać Bolesława Śmiałego. Póki chodziła w wianku wszystkich cnót kobiecych i małżeńskich Barbara Radziwiłłówna, nie mogło się znaleźć zrozumienie dla rozumu i zabiegów Bony. Póki chodzi w glorii historjografji i przepotężnej sugestji sienkiewiczowskiej książ-Jarema i jego szlacheccy towarzysze, nie może dla duszy i rozumu polskiego ogółu — czytającego i myślącego — zarysować się przepotężna postać wielkiego męża stanu Ossolińskiego, nie może wysunąć się na właściwe stanowisko znakomity żołnierz i polityk Kisiel, nie może wrócić do swych praw wybornego i dzielnego żołnierza, wyśmiewany przez miliony uczniów „łacina“ Ostroróg — a przede wszystkim nie może stanąć przed duszą Narodu Polskiego, jako wiekopomne i nigdy niegasnące memento, niewątpliwie najtragiczniejszy, a zarazem jeden z najdzielniejszych naszych królów — Jan Kazimierz.

Mniejszej jednak wagi byłaby krzywda historyczna ludzi. Celem najwyższym, tym pierwszoplanowym nakazem, który zmusza do utra-

cenia fikcji historycznych „Ogniem i Mieczem“, jest twórczy obowiązek wstawienia w miejsce „bohaterstwa“ krzykliwych uciekinierów szlacheckich — rzeczywistego bohaterstwa, które naprawdę miało miejsce w tych krytycznych latach. W miejsce „bohaterstwa rycerstwa“, t. j. (w większości wypadków i ludzi) panicznie uciekającej szlachty, oraz jej formacji wojskowych (z ograniczeniem do tej epoki i z wyłączeniem Litwy), winno się postawić prawdziwy pomnik bohaterstwa polskiemu „chamowi“ i polskiej piechocie z artylerją. Załamywał się bowiem Chmielnicki w latach 1648—9 nie raz i nie dwa na oporze polskim, ale nigdy na oporze szlacheckiej jazdy, ale tylko na bohaterstwie polskiego piechura i „chamów“.

Schowana w archiwach i bibliotekach przeszłość polska tych lat woła, wobec zniekształcenia przez „Ogniem i Mieczem“ polskiego odczuwania ówczesnych wypadków i ludzi, — o sprawiedliwość!

Czyż ktoś z tych, ogółowi polskiemu z tak sugestywną siłą narzuconych, obrazów mógłby się domyśleć, że Jerzy Ossoliński, mąż stanu pod niejednym względem przerastający Jana Zamoyskiego, a serdecznie gardzący tą czernią szlachecką, to żołnierz, który w czasie zagonu Sahajdacznego w noc z 10 na 11 października 1618 osobiście podkładał razem z Jakóbem Sobieskim, ojcem Jana petardy dla wysadzenia głównej bramy samejże Moskwy? Pozostał on niejako symbolem najdalej na wschód wysuniętej polskiej, wojskowej tężyzny, przysłoniętej potem przez zakłamanie, zarówno panegirycznej, jak kalumnatorskiej, kuźni historycznej z otoczenia Jaremy. Ten sam Jerzy Ossoliński, 30 lat potem, już jako starzec nad grobem, osobiście dowodzi w bitwie i osobiście atakuje, gdy inni z „bohaterckiego rycerstwa“ pod wozy się chowali. Nic dziwnego, że jeden tylko Jerzy Ossoliński, wyprowadzony wreszcie z równowagi, biorąc aluzję do Piławiec, cisnął na tajnej radzie senatu, w oczy butnemu i tak pochopnemu do osobistych napaści kniaziowi Jaremie Wiśniowieckiemu, że on nigdy przed wrogiem w proso nie uciekał (por. m. in. Tomkiewicz str. 343). Czy z narzuconego przez Sienkiewicza i historjografję wyobrażenia długiej, siwej brody, Kisiela, schyzmatyka, dobrej woli, godzącego wszystkich ze sobą, może się domyślić wykształcony nawet Polak, że Adam Kisiel to jeden z najlepszych żołnierzy i najdzielniejszych zagończyków tego czasu, że on to właśnie z kilkuset ludzi wytrzymał w Czernichowie (rok 1632) oblężenie Buturlina, po odstąpieniu ścigał go, atakował, a kozaków idących za jego sławą mołojca, przyprowadził królowi pod Smoleńsk. Wiśniowiecki dla odmiany zdobył sobie już wtenczas sławę i przyzwisko „podpalacza“, a pod Smoleńsk oczywiście nie poszedł.

Przy tego rodzaju nastawieniach historycznych i literackich, nawet bardzo czytany i wykształcony Polak nie jest dziś jeszcze

w stanie domyślić się, że z piławieckiej hańby najgorzej z wszystkich wyszedł — Jarema Wiśniowiecki! On to bowiem, uciekając jeden z pierwszych, dobił do Lwowa w stanie, który się nazywa po wojskowemu „bez portek“, to jest z kilkunastu zaledwie rękodajnymi, a przy kompletnem rozbiegnięciu się swoich wojsk w panice na wsze strony (Szajnocha, Dwa lata, dod. II cz. III 466—7). Kisiel wyszedł z hańby piławieckiej z honorem. Pod Piławcami on pierwszy na czele pułku wołyńskiego atakował wojska Chmielnickiego, pozostał na froncie najbardziej wysunięty ku Kozakom i dopiero nad ranem wycofał się ze swoim pułkiem, podczas gdy, niejako za jego plecami, wszyscy z typu bohaterów „Ogniem i Mieczem“ już w nocy najhańbiej uciekli. Ten odwrócony bowiem wprost „do góry nogami“ obraz, który odczuwaniu polskiemu narzuciła historjografia polska i Sienkiewicz, musi mieć swe konsekwencje we wszystkich szczegółach. Dla przykładu więc tylko przytoczę, że kozacki dowcip o „łacinie“, czyli regimentarzu Mikołaju Ostrorogu, powtarzamy bezkrytycznie przez wszystkie nasze podręczniki, przystoń! ogółowi polskiemu faktyczny stan rzeczy, polegający na tem, że regimentarz Mikołaj Ostroróg, wobec powszechnych nastrojów panikarskich wśród jazdy skupionej pod Zbarażem w roku 1649, musi osobiście jeździć na podjazdy, by wreszcie ktoś odważył się natrzeć na nieprzyjaciela i dostał „języka“. Ten właśnie od wszystkich uczniaków od lat 50 wyśmiewana „łacina“ Ostroróg, bije się pod Zbarażem naprawdę bohatersko, łeb w łeb, i jest raniony raz za razem rydlami i kulami. Swą kartę przeszłości zepsuł tylko raz jeden, gdy pod naciskiem zbiegłego z pod Piławiec żołnierstwa, podporządkował się przy planach obrony Lwowa szefowi wszystkich zbiegów, Jaremie Wiśniowieckiemu, chociaż mu za Piławce, tak jak Ossoliński, zarzucał tchórzostwo.

Nie łatwo więc przyjdzie komuś w Polsce na myśl, że ten, który mógł i chciał być katolickim Gustawem Adolfem, wyśmiewany raz dla odmiany, jako „pułkownik cesarski“, a raz jako pokorny braciszek jezuicki, Jan Kazimierz, miał w palcu więcej doświadczenia i wiedzy wojskowej, niż kilku hetmanów i regimentarzy polskich tego czasu w stylu Mikołaja Potockiego, lub Jeremiego Wiśniowieckiego — w swych głowach. Nawet w tej Polsce szlacheckiej, wiecznie wszystkich swych dzielnych króli obsypującej kalumnjami, nikt nie odmawiał Janowi Kazimierzowi, że był najdzielniejszym z dzielnych. Zupełny jednak brak fachowych opracowań dawniejszej polskiej wojskowości sprawił, że nauka polska nie domyśliła się nawet jego zalet, jako wodza i znawcy wojskowości, a Ossolińskiego dla odmiany w sposób wręcz naiwny wyśmiała. Szajnocha brał Janowi Kazimierzowi za złe, że wojska egzercerował, rewje urządzał, a podobnie gnębił go Kubala za porządkowanie taborów, a zwłaszcza za postulat,

by przed i w czasie bitwy wojsko było całkowicie w ręku dowódcy. Można by pisać na ten temat i t. d., i t. d., choć dziś, już nawet podoficer zawodowy wykpiłby te wszystkie zarzuty i pretensje, jakie nasza historjografja do ostatniej chwili stawia Janowi Kazimierzowi. Jest to dziedzina w istocie swej jeszcze niemal nietknięta, a przeładowana do najwyższego stopnia zarówno nawskroś fantastycznemi cyframi wojsk nieprzyjacielskich, jak opowiadaniem najnieprawdopodobniejszych cudów, na szkodę zresztą prawdziwej zasługi i pozytywnych czynów.

Największej jednak krzywdy doznał w „Ogniem i Mieczem“ — „cham“! Należałoby pisać bez cudzysłowów, bo nietylko Zagłoba, ale ogół współczesnych wyrażał się w ten sposób. Najślabszą stroną wojskowości polskiej lat 1648—9 była właśnie jazda, a to przede wszystkim ze względu na swe nastroje panikarskie, jak z powodu zdradliwego przechodzenia na drugą stronę, jeśli chodziło o dragonów. Regeneracja psychiczna tej jazdy, przynajmniej odnośnie do walorów bojowych, rozpoczyna się dopiero w roku 1656, w okresie zaś Chmielniczyni przejęła ją od czasów Korsunia — jak to zresztą wogóle w odniesieniu do wojska polskiego słusznie zaznaczył Szajnocha — panicznym wręcz lękiem nie przed Kozakami, ale przed Tatarami. Tymczasem Tatarzy, występujący w kilka tysięcy, a wogóle najwyżej w 20.000 konnych, znakomici wręcz jako kawalerja w starciu na białą broń, rozbijający z łatwością w polu formacje lekkiej jazdy polskiej, a nawet znoszący doszczętu chorągwie husarskie, żywili zupełnie zrozumieli respekt przed bronią, której sami nie mieli, a więc w pierwszym rzędzie przed artylerją, w drugim — przed miarowym ogniem piechoty. Wszak dostanie się głównego zagonu tatarskiego pod Beresteczkiem w ogień polskiej artylerji, jest rozwiązaniem całego przebiegu tej, niekrwawej zresztą, bitwy.

„Cham“ polski, zarówno jako mieszczanin, a zwłaszcza jako chłop polski, szczególnie pomorski, przetykany oddziałami Niemców, a przeważnie już (np. piechota Księcia Karola Wazy) pod komendą nikomu nieznanym polskich oficerów — był prawdziwym bohaterem tych walk i czasów. Gdy pod Zborowem jazda została rozbita, pospolite ruszenie, jak zwykle, bez walki uciekło, a szereg karmazynów szlacheckich chowało się w taborze pod wozy, narażając się nato, że król Jan Kazimierz prał ich własnoręcznie rapirem tam, gdzie należy (Akty J. Z. Ros. III. 391) — „chamy“ poszły do szturm! Z kapelanami wojskowymi i kozackim, lecz po stronie królewskiej walczącym, atamanem na czele, chamska czeladź, a zwłaszcza kuchty królewskie, uderzyły z taką wściekłością i skutkiem, że — poraz pierwszy w działach walk polsko-kozackich — nieprzyjaciel cofnął się w przerażeniu. Czyż z odróconego obrazu w „Ogniem i Mieczem“, z monologów

Zagłoby, oraz z tych fikcyjnych benenatów sienkiewiczowskich, może się dziś ktoś w Polsce domyśleć, że w czasie nocnych narad podczas bitwy pod Zborowem, już się nad tem nawet zastanawiano, by szlachtę zsadzić z koni, a powsadzać na nie „chamów” (por. m. in. Kubalę, Szkice I, 99, i ods.), bo plebs wściekle atakuje? Rehabilituje się potem wprawdzie sam Sienkiewicz w innych częściach „Trylogii” z tej niesprawiedliwości. Daje nam przecież wspaniałą postać wachmistrza Soroki, obok wiernie narysowanych Kiemliczów, przynosi cudowny epizod z Michałkiem „od księdza proboszcza”, wysuwa na czoło niezrównanego w rysunku Luśnię, a nawet wprowadza w akcję ciupagi Podhalan. W odwrócnym jednak obrazie z „Ogniem i Mieczem” zrobił polskiemu „chamowi” krzywdę skrajnej niesprawiedliwości!

Na tle tych bezustannych opisów w źródłach panicznych ucieczek szlachty i jazdy w czasie walk lat 1648—9, jakże odbija się i staje wzniosłe przed oczyma historyka ta niezapomniana przez Sienkiewicza, a ośmieszona wręcz przez Kubalę, piechota polska tych czasów! Gdy cały naród szlachecki z pod Piławiec haniebnie uciekł, w sposób wogóle w dziejach nienapotykanym, wraca w ordynku, nieatakowana już przez nikogo, piesza gwardja królewska pod wodzą Osińskiego, jakkolwiek ona właśnie poprzednio najbardziej krwawiła. Z nią razem wraca najwspanialszy, jako typ, z ówczesnych żołnierzy, holenderski awanturnik Arciszewski, który nietylko spokojnie z pod Piławiec odmaszerował, ale jeszcze fortelami sprawił, że Kozacy szereg godzin nie podchodzili do zupełnie opuszczonego obozu i porzuconych skarbów. Jakże to przepięknie wygląda pod Zborowem, gdy na tle ciągle wybuchających w obozie polskim tendencji do ucieczki, „cham”, o którego nobilitację król kilkakrotnie zabiega, major Giza, na czele dwóch tylko kompanji piechoty, spokojnym i miarowym ogniem wstrzymuje najsilniejszy z ataków wroga.

Najpiękniejszy jednak z „chamów”, bo najbardziej uświadomiony, to patrijotyczny, ofiarny i bohaterki mieszczuch, nietylko z samego Lwowa, ale także Przemyśla, Zamościa i t. d. Po Piławcach oszukał ich haniebnie Wiśniowiecki. Jarema, zwiąawszy się z arcyłotrem całej Polski, tak głośnym potem Hieronimem Radziejowskim dla nabicia straconej pod Piławcami kabzy książęcej, zagrał na znanym patrijotyzmie mieszczan lwowskich i ich chęci walki. Gdy Lwów wszystkich środków dostarczył, okradł Wiśniowiecki wraz z Radziejowskim najspokojniej Lwów z wojska i olbrzymich sum pieniężnych, by w nocy, chyłkiem, z lęku zarówno przed plebsem miejskim, jak Tatarami, wymknąć się z miasta z 3.500 żołnierzy (wszystkie źródła zgodne!), tak zresztą jak przedtem uciekł najhaniebniej z Zandnieprza, jak uciekł z pod Piławiec, jak potem ucieknie z Zamościa.

Chociaż regimentarze z wojskiem uciekli, mieszcuchy lwowskie z 252 (sic!) żołnierzami, przy radach niezrównanego Arciszewskiego, a obronie Adersa, późniejszego organizatora umocnień Zbaraża, odpierają pod wodzą burmistrza przez cały tydzień szereg zaciekłych szturmów kozackich, rezolucją swą miasto ratują, a w końcu płacą okup, tak zresztą, jak pod Zbarażem i Zborowem. Prawdziwą ulgą duszy jest po tej hańbie piławieckiej i ucieczce z pieniędzmi Wiśniowieckiego, obraz tych rajców Lwowa, którzy, chodząc wałami po odpartych szturmach, krzywiąc się na nierozsądek lwowskich czeladników, w pościgu zeskakujących z wałów, by nawet w pojedynkę gonić Kozaków i Tatarów (Zereła ist. Ukr. Rusy IV. 100). W tem przeciwstawieniu optycznem Piławiec i Lwowa była jednak również głębsza treść. Jeśli operacje wojskowe senatorskich hetmanów i regimentarzy prowadzone były w tym czasie przeważnie pod tym kątem widzenia, by raz swoje dobra prywatne osłaniać, a raz od rekwizycji oszczędzać, jeśli dla zrozumienia szeregu decyzji taktycznych w walkach tych czasów, jest przedewszystkiem konieczna znajomość, gdzie majątki dowódców i ich rodzin leżały, — to mieszczenie lwowscy, widząc postępy kozackiej akcji, sami dla utrudnienia dostępu spalili swe bogate przedmieścia, czem ostatecznie przekonali Chmielnickiego, że sprawa z nimi, to zupełnie co innego. Zresztą Lwów nie był unikatem. Niedawno uszlachcony mieszczuch lwowski Korniakt, którego dragoni legną potem pokotem pod Zborowem, z chłopami i mieszcuchami obroni Przemyśl, a Wejher z piechotą pomorskich chłopów osadzi ostatecznie Chmielnickiego pod Zamościem, wtenczas gdy Wiśniowiecki ucieknie do Warszawy na elekcję.

Wybierała się spora część braci szlacheckiej i senatorów uciekać z tobołami dalej aż do Gdańska, gdyż, według relacji współczesnych, zjawienie się chociażby 1000 kozaków w Warszawie przed tym 20000 tłumem konwokacji, rozpędziłoby bez trudu wszystkich tych reprezentantów „Ogniem i Mieczem”. Litwa trzymała się dzielnie i oddzielnie, ale wszyscy polscy senatorowie, świeccy i duchowni, nie zdobyli się razem (nawet w deklaracjach!) na dużo więcej wojska, niż sam jeden Ossoliński, zresztą bynajmniej nie najbogatszy wśród nich. Tymczasem — wbrew wszystkim kpinom najnowszych naszych historjografów, nie rozumiejących istoty ówczesnych ugrupowań i przewrotów politycznych — okazało się, że rację miał Kisiel, twierdząc, że osoba króla jest dla kozaków czemś boskiem (*quid divinum*). Jakkolwiek całej tej kozacko-szlachecko-tatarskiej masy nie przedzielały od Warszawy żadne wojska, bo Wiśniowiecki, jako organizator okazał się gorszym od wszystkich innych — odplynęła ona z rozkazu Chmiela na listy i poselstwa nowego elekta Jana Kazimierza nietylko spokojnie, ale wyjątkowo karnie, ku stepom Ukrainy, pozostawiając po sobie ruinę, przerażenie i niezadowolone postulaty.



Jeśli już te poszczególne, wyżej naprowadzone momenty, wskazywałyby, że nie tylko fabuła, ale cały obraz sfantazjowany genialnie przez Sienkiewicza w „Ogniem i Mieczem”, jest poprostu odwrócony „do góry nogami”, to najjaskrawiej ta djametralna sprzeczność twórczości Sienkiewiczowskiej z rzeczywistością występuje w odniesieniu do osoby rzeczywistego Jeremiego Wiśniowieckiego i jego prawdziwych towarzyszy.

Dzieje tego prawdziwego Jaremy, którego polska historjografia zdołała nawet zrobić — wbrew wszelkiej prawdzie — wodzem obrony zbaraskiej w roku 1649, nakreślę kilku rzutami na innych stronach „Pionu“ (art. III).



### III. Książ Jarema

Zanim w artykule, zamykającym poruszone przeze mnie spostrzeżenia, będę mógł dać wyraz pogładowi na strukturę Trylogji, sprawę „Potopu“ a „Ogniem i Mieczem“ i t. d., zanim będę mógł odpowiedzieć na zarzuty — podnoszone w złej, lub nawet dobrej wierze — „napaści na Sienkiewicza“, czy też jego Trylogję (!?), oraz sprecyzować te nastawienia wobec twórczości Sienkiewicza, które przecież można było wyczuć z niektórych wyrażen pierwszego artykułu (Nr. 3 „Pionu“) — zmuszony jestem zająć się sprawą esencjonalną dla „Ogniem i Mieczem“, t. j. naczelną postacią ideową tej powieści Jeremim Wiśniowieckim.

Wskutek pewnej techniki swej pracy, której potem wyzbył się Sienkiewicz, zlekceważył on w momencie pisania swych odcinków do „Słowa“ i „Czasu“ te ostrzeżenia ówczesnej poważnej historjografji, jakie podnieśli Szajnocha i Szujski w odniesieniu do osoby kniazia Jaremy. Poszedł też w pierwszym impecie, a przez fatalne nieporozumienie, wyłącznie za drogowskazem Kubali, by samemu potem zkolei stać się przemożnym wręcz drogowskazem nietylko dla polskiego odczuwania tych czasów, ludzi i ideji, ale nawet dla całej odnośnej historjografji polskiej.

Oczywiście nie jest mi możliwem danie na obecnem miejscu szczegółowej rozprawy o Jeremim Wiśniowieckim. Z natury rzeczy ograniczyć się muszę do rzucenia kilku, naogół nieznanych, faktów i obserwacyj o tyle tylko, o ile są one konieczne dla wykazania tego „odwrócenia obrazu“ historycznego, jaki ma miejsce w „Ogniem i Mieczem“.

---

„Książ Jarema“ — to jedno tylko w jego nomenklaturach było prawdą. Bo gdy zwie siebie oficjalnie (np. 29-go IX. 1648) Jeremi Michał Korybut, książę na Wiśniowcu i na Łubniach, wielki Hetman Koronny, starosta Kaniowski i t. d., to wszystko poza imieniem chrzestnem i kniazostwem Wiśniowieckich było fałszem, lub uzurpacją. Ku

zmarwieniu wszystkich naszych rasistów trzeba stwierdzić, że nie miał on w sobie ani kropli krwi polskiej. Byłoby to zresztą nawet bez poważniejszego znaczenia wobec faktu więcej mówiącego, że był wychowankiem nastrojów, stosunków i kultury kozacko-schyzmatycznej, porzucił bowiem schyzmę dla kariery już jako dorosły człowiek.

Ciekawem jednak jest, że to właśnie pochodzenia Wiśniowieckiego, pół ruskie, a pół wołoskie, czy rumuńskie, wydało szczególną mieszaninę cech charakteru, zupełnie różną z przeciętnym typem polskich magnatów i warchołów, pod który to typ historycy, krytycznie nań patrzący, starali się go podciągnąć. Jeremi Wiśniowiecki bowiem był konglomeratem podstępnego rabusia, groźnego przy korzystnym zbiegu okoliczności napastnika, równocześnie zaś zdecydowanego tchórza wobec poważnego niebezpieczeństwa i możliwości poważnej walki. Równocześnie jest on pierwszorzędnym graczem na terenie głupoty masy szlacheckiej, mistrzem zarówno autoklasy, jak kalumnjowania przeciwników, inspiratorem zarówno pamfletów, jak panegyryków. Żaden szczegół może nie oddaje tak znakomicie psychiki Jaremy, jak jego wyprawa do Załoziec z całym swym dworem pod pretekstem nawiedzenia ciała zmarłego kuzyna (fakt nieznanego jego historjografom), poto, by po wzruszeniach pogrzebowych z miejsca obrabować wdowę Eufrozynę z Tarnowskich z wszystkich kosztowności i gotówki (por. Łoziński „Prawem i lewem“ I. str. 71). Specjalnością bowiem wypadów Wiśniowieckiego na tle ówczesnych stosunków było obrabowanie wdów i sierot pod rozmaitemi pretekstami, czy to będzie chodziło o Nikoryczynę, czy o Tyszkiewiczową, zalewającą się łzami i skargami po całej Polsce, czy o Helenę Lwową (Arch. J. Z. Ros. III/4, 452). Szczegóły te — poza sprawą Tyszkiewiczowej — pomijane są również przez historjografję. Jeśli Wiśniowiecki ma do czynienia z poważnym przeciwnikiem, jak np. w sprawie dóbr rumnieńskich z Kazanowskim, idzie po zdobycz podstępem, wprowadza swych ludzi na zamek pod pretekstem przyjacielskich odwiedzin, podczas gdy dla odmiany w sprawie Hadziacza z chorążym Koniecpolskim — uderza wprost.

Przytaczam te naogół niepodnoszone szczegóły tylko przykładowo, chociaż możnaby toinami opisywać zbrodnie tego jednego z najpodstępniejszych ludzi ówczesnej Polski, umięjącego jednak równocześnie grozić wprost zbrodnią na samym królu (por. art. I-szy i Zbiór Pam. Hist. V. 59), jeśli liczył na skutek. Jakże stosunkowo mniej — w porównaniu z Jaremą — miał na sumieniu Samuel Zborowski, gdy głowa jego spadła tak słusznie pod mieczem katowskim, jako symbol niemal, że Polska jeszcze w XVI w. umiała się nietylko zewnętrznie, ale także wewnętrznie bronić przed zarodkami śmierci. Jeśli głowa

Jaremy nie padła wtenczas w Warszawie dnia 20 maja 1647, było to dowodem, że choroba wewnętrzna stawała się nieuleczalną.

Jakiemże bowiem prawem dziwi się nasza historjografja niechęci Jana Kazimierza do Jeremiego Wiśniowieckiego? Wszak Jan Kazimierz, jako królewicz, był właśnie wówczas przewodniczącym komisji senackiej, która potem musiała jeszcze godzić zbrodniczego magnata z przeciwnikami. Musiał więc słusznie stać się Jarema dla króla Jana Kazimierza, nienawidzącego go do głębi, symbolem rozkładu i tej anarchji Państwa Polskiego, z którą potem podejmie, bezskuteczną zresztą, próbę walki dla ratowania Rzplitej przed tak jasno i dokładnie przez siebie przewidzianym rozbiorem.

Z natury rzeczy muszę streszczać swe wywody, podając tylko momenty nieustalone naukowo przez historjografję. A więc — fakt naczelny: klęska wojsk koronnych pod Korsuniem, dostanie się hetmanów do niewoli tatarskiej, a w rezultacie rozpętanie się całej burzy kozackiej, było możliwem tylko wskutek zdradzieckiej zmowy Wiśniowieckiego z Chmielnickim! To zaś naprzykład jest „szczegółem“ nieznanym nauce polskiej!

Chociaż już 3 maja r. 1648 hetman Potocki, wiedząc o niebezpieczeństwie, w jakim syn jego się znajduje, nagwałt ściga posiłki panów polskich, chociaż 12 maja woła z przerażeniem, że „actum est de Republika“, chociaż wszyscy inni dalej stojący, jak Zasławski, Koniecpolski, Lubomirski, a oczywiście także Kisiel, pośpieszyli wówczas z pomocą, jeden tylko Wiśniowiecki, stojący do 26 maja (t. j. do daty klęski pod Korsuniem) kilka tygodni o 3 do 5 dni drogi od Potockiego, świadomie i na podstawie zmowy z Chmielnickim, dopuszcza do katastrofy!

Wiśniowiecki wiedział znakomicie, że Chmielnicki ciągnie tylko na dwóch jego osobistych wrogów, a to w pierwszej linii przeciw chorążemu Koniecpolskiemu, patronowi Czaplńskiego, a w drugiej — przeciw zupełnie zresztą bezwartościowemu hetmanowi w. kor. Mikołajowi Potockiemu. Liczył Wiśniowiecki ze zwykłą swoją podstępnością, że Chmielnicki poderwie na Ukrainie prawobrzeżnej Koniecpolskiego i Potockiego, a wówczas on, Jarema, wyrośnie wbrew interesom Rzeczypospolitej na to, o czem marzył całe swe życie, a mianowicie, na tę samodzielną siłę wojskową i polityczną na lewobrzeżnej Ukrainie. Chmielnicki, aż zbyt jaskrawo wyraził mu swą wdzięczność za to zdradzieckie spowodowanie klęski wojsk kwarcianych pod Korsuniem, wiedział bowiem, że Wiśniowiecki, stojący tuż obok, dysponował siłą liczebnie większą, niż, po wydzieleniu wojsk swego syna — sam hetman. Zapewnił więc kniaziewi Jaremie Chmielnicki nienaruszalność jego dóbr i — jak sam na to później narzekał — wypuścił go z Zadnieprza, obsypawszy go listami i hojnemi darami z wdzięcz-

ności za Korsuń („posyłał do X. IMci, p. Wojewody ruskiego s pisanem y trzech koni posłał mu tureckich, dziękując zato, że nie posiłkował hetmanów“. Zap. Tow. Szewcz. t. 144/5, 215). Sam chan, jako wielki prezent, posyłał Wiśniowieckiemu tylko jednego konia... Pozostały jednak dane charakterystyczniejsze! Już dawno trawa porośla groby żołnierzy polskich z pod Żółtych Wód i Korsunia, gdy Chmielnicki, który za zdradę korsuńską zagwarantował Wiśniowieckiemu całość jego dóbr, na wiadomość, że tak znane z „Ogniem i Mieczem“ Łubnie, siedziba Jaremy, pustoszone są przez rozzuchwalonych ucieczką Wiśniowieckiego chłopów, wysłał tam kozacką ekspedycję karną. Dwóch hersztów chłopskich kazał Chmielnicki ściąć, a „dwóch albo trzech“ posłał jako jeńców daleko na Polesie za zbiegłym Wiśniowieckim (Rel. ks. Łaski. Szajnocha: Dwa lata. Dod. str. 440), dając dowód, że jest solidnym kontrahentem. Drobniejsze szczegóły, stwierdzające, że klęska korsuńska tylko przez zмовę Chmielnickiego z Wiśniowieckim była możliwa — dziś na tem miejscu pomijam.

Rozmiary i skutki klęski korsuńskiej (26. V. 1648) przekreśliły jednak wszystkie przewidywania Wiśniowieckiego, Przedewszystkiem nastąpił fakt — nieznaną nauce polskiej, — że na wieść o Korsuniu wojska kniazia Jaremy, liczniejsze od wojsk hetmanów, w lwiej swej części rozbiegły się (co zresztą stałe będzie mu się wydarzać), lub przeszły nawet nie do Kozaków, ale wprost do Tatarów. Jednemu bowiem tylko Wiśniowieckiemu wydarzyło się, że np. cała chorągiew dragonów z „kapitanem“ na czele (a więc jakimś prawdziwym człowiekiem, wykonującym dowództwo fikcyjnego Wołodyjowskiego), uciekła wprost do Tatarów na służbę w Ordzie (zob. wg. Zbiorów Rusieckich u Lipińskiego: Z dziej. Ukr., 213). Z wszystkich listów, pisanych z ówczesnej Ukrainy (m. inn. z listów Kisiela, oraz własnego listu Wiśniowieckiego o pozostaniu przy nim „garści“ ludzi) jest zupełnie pewne, że przerażony nieprzewidzianymi rozmiarami ruchu, jaki się rozpętał po Korsuniu, oraz zbiegostwem swych wojsk, Jarema, ucieka z resztą chorągwi husarskich i polskiego, oraz niemieckiego elementu żołnierskiego, ku swym dobrom na dalekim Polesiu.

Poprostu serce boli, ale trzeba przecież stwierdzić, że ten cudownie przez Sienkiewicza opisany przymusowy odwrót Wiśniowieckiego z Zadnieprza, który się doczekał niemal studjów wojskowo-taktycznych w historjografji, był zapłata, wymierzoną przez nemezis dziejową zdradzieckiemu kniaziowi za Korsuń. Odwrót ten, — a ściślej mówiąc ucieczka, — odbył się w formie w każdym razie nie polsko-epickiej, bo wspólnie z pięciuset rodzinami Żydów — najstraszniej dotkniętych przewrotem r. 1648, — których Jarema uprowadzał z sobą ku Polsce. „I niósł ich (Żydów) jakby na skrzydłach orlich, aż ich przyprowadził dokąd chcieli“ (dosł. cyt. współcz. kroniki hebr.;

zob. niżej). Równocześnie rozgrywała się tragedia. Nieliczna część szlachty ukraińskiej tych stron, która zresztą przeważnie poszła za Chmielnickim, broniła się do upadłego w Czernichowie, umożliwiając tem właśnie ucieczkę taborów Wiśniowieckiego, które chłopci zadnieprzańscy ścigali na własną rękę. Czernichów, którego oczywiście Wiśniowiecki nie wsparł, padł po trzytygodniowej obronie, spełniając tem tak swą rolę, że nawet panegirzysta Wiśniowieckiego musiał zaznaczyć: „by nie ten Czernichów, nabrałby się ksiązę z księżną strachu“.

Streszczając się coraz bardziej, trzeba stwierdzić, że nieprawdą jest, by Wiśniowiecki od początku był za walką z Chmielnickim; — przeciwnie: starał się on układowym łaszeniem się przed Ossolińskim i t. d. uzyskać i pochwytać władzę wojskową po wziętym do niewoli Potockim. Dopiero w przeszło dwa miesiące po wybuchu buntu Chmielnickiego, na ostateczną wiadomość, że — oczywiście najzupełniej słusznie — pominięto go w regimentarstwie wojsk, zmienia front i, oparłszy się o pozytywne siły księcia Dominika Zasławskiego i gwardji królewskiej, — rzuca się na zupełnie bezcelowe i przerażające w swej ohydzie i okrucieństwie tępienie słabszych watah chłopskich. Znowu trzeba powiedzieć językiem Bohuna: „aż serce bołyt“. Bo jest to okres najpiękniejszych sienkiewiczowskich opisów, którym również autor tych słów zawdzięcza swe najsilniejsze przeżycia, jakie może dać literatura.

Dla przeciwstawienia tych dwóch światów, o których pisałem w pierwszym i drugim artykule (Nr. 3 i 9 „Pionu“), muszę niemal dygresją uwidocznic, jak wolno było postępować w tych czasach. Zamiast bezcelowego wbijania słabych na pał, stylem Wiśniowieckiego, znowu nie kto inny, tylko tenże Kisiel w samymże Kijowie, już po Zborowie, mimo największego niebezpieczeństwa swego życia, a na oczach czerni, obliczanej przesadnie na 20.000, każe dla przykładu ścinać mieczem katowskim Rzeczypospolitej kozackich morderców szlachty (Michałowski: Ks. pam. 522). Wszystkie bowiem rzeczy i ludzie, łącznie z napomkniętą kwestją żydowska, miały w tych czasach równocześnie swą stronę nikczemną i przepiękną. Skoro Sienkiewicz poruszył losy książąt Czetwertyńskich, to dla naprowadzenia obrazu dwóch światów przytoczę, że gdy chłopci zagrozili siedzibie tulczyńskich kniaziów, to zażądali przedewszystkiem wydania Żydów, obiecując wzajem bezpieczeństwo ich zamku. Książ na Tulczynie wydał Kozakom Żydów na rzeź, by dla odmiany doczekać się po ich wydaniu, że jego zamordowano w ten sam sposób, z kozackim ironicznym umotywowaniem o takim dotrzymaniu przez nich układów, jak on ich dotrzymał Żydom.

Jakże znowu inaczej postępował król i jego świat, oraz te wspomniane przeze mnie chamy miejskie!

Motywy odpowiedzi rajców miejskich Lwowa, odmawiających bezwzględnie Chmielnickiemu oddania Żydów na rzeź, należą dla odmiany do dokumentów tej szlachetnej rzetelności, jakimi się niemal żaden naród w XVII wieku poszczycić nie może.

Uniwersał króla z wielką pieczęcią kanclerza, zezwalający na powrót do swej religji Żydom ochrzczonym przemocą, wydany w roku 1650, należy do dokumentów wzniosłej tolerancji, właśnie ze strony tych, których historjografja polska, nie wyłączając szkoły krakowskiej, pokrzywdziła zarzutem katolickiej nietolerancji. Nie rozumiała bowiem nasza historjografja, że ten niepospolity Ossoliński chciał z katolicyzmu zrobić w Polsce siłę konstruktywną, rozumiejąc, że katolicyzm w polityce wewnętrznej — to przedewszystkiem dyscyplina, a w polityce zewnętrznej — to uzgodnienie ówczesnych interesów Państwa Polskiego z ogólnymi dążeniami chrześcijaństwa i katolicyzmu.

Podniesienie tego ostatniego momentu u ostatnich dwóch Wazów i Ossolińskiego było koniecznym, by czytający ogół polski zrozumiał, dlaczego na terenie ideologii polskiej jest „Ogniem i Mieczem“ tak samo „odwróconym obrazem“, jak na terenie zagadnienia i możliwości ukraińskich. Sienkiewicz czuł jako człowiek i artysta, że w ówczesnej Polsce musiała jednak istnieć jakaś szersza, ogólniejsza ideologia. Wyczuł ją nawet zgodnie z rzeczywistością, jako ideologję walki z pohańcami, politykę uderzenia na Krym, a nawet Turcję, czyli — mówiąc jego własnymi słowami, — jako marzenia „o zatknięciu krzyża tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwy nie wzywały“ (wyd. Ossol. I. 303). Nie wiedział jednak Sienkiewicz, wkładając te marzenia w przepotęzną scenę łamania się Wiśniowieckiego ze sobą, że właśnie w tym momencie — dla strony ideowej zasadniczym — czyni taką pomyłkę, jakgdyby w powieści o rewolucji francuskiej kazał marzyć np. Robespierrowi o wyratowaniu wszystkich uwięzionych arystokratów francuskich. Wyprawa na Krym, idea uzgodnienia najoczywistszych interesów polskich na południowym Wschodzie z nastrojami chrześcijaństwa i katolicyzmu, była właśnie tą ideą, którą zwalczał z wszech sił, zarówno przed buntem, jak w czasie buntu kozackiego, — książę Jarema (por. nawet m. inn. Tomkiewicz „Jeremj Wiśniowiecki str. 159). Książę Jarema bowiem wiedział, że realizacja tak wszechstronnie słusznych planów, o których urzeczywistnienie zabiegał Ossoliński zarówno za Władysława IV, jak za Jana Kazimierza, to wzmocnienie Polski, wzmocnienie władzy króla, osadzenie na właściwej linii Kozaczyzny, a pozatem przemarsze, pochody i rekwizycje wojsk polskich i obcych w jego własnych dobrach, podczas gdy on

uznawał tylko łupienie cudzych dóbr. Runęło jednak tymczasem jak domek z kart, bez jednego strzału obrony, mimo protekcji i obrony Chmielnickiego, zadnieprzańskie państwo Wiśniowieckiego, które — jak cała zresztą ówczesna kolonizacja Ukrainy, — będąc w gruncie rzeczy przetasowywaniem schyzmatyków między sobą, było narodowo bezużyteczne, a państwowo szkodliwym balastem, o pewnej, wątpliwej zresztą, korzyści ekonomicznej.

Ważniejszym od tego zagadnienia (jeśli będziemy jeszcze pozostawać przy kwestjach etnograficznych), musi być dla naszej sprawy apoteozowanie Jaremy, — inny moment: haniebne okradzenie Lwowa ze środków obrony i wojska właśnie przez Wiśniowieckiego, któremu Lwów swą obronę powierzył. Mogło ono zaprawdę stać się katastrofą już nie państwa polskiego XVII wieku, ale dziejów narodu polskiego na wieki wieków, gdyby był plebs miejski tej lwowskiej reduty swej bohaterkiej roli nie spełnił. Jasnym jest bowiem, że jedna baszta lwowska była więcej warta, niż dziesięć głów Wiśniowieckiego. Wszyscy przecież rozumiemy, że gdyby jądro Kozaczyzny było się wówczas osadziło we Lwowie, a nie w dalekim Czehryniu, losy narodu polskiego byłyby straciły zasadnicze warunki swej wielkości. Niech więc się nikt nie dziwi, że rozrachunek z Jaremą winien był być zrobiony „cum ira“.

Pomijam dla ram artykułu wszystkie inne momenty działalności Wiśniowieckiego, stwierdzające zgodnie skrajną i symboliczną niemal ujemność tej postaci. Wspomnieć muszę z konieczności, wobec skulminowania sprawy w „Ogniem i Mieczem“ na Zbarażu, tylko o tym jednym szczególe. Gdyby Zbaraż Kubali i Sienkiewicza, sam jeden tylko, był prawdą, mogłyby Jaremie być darowane wszystkie jego winy. Czyż tak jednak było rzeczywiście? Lat temu przeszło 50 powiedział sobie Kubala bez żadnych dowodów, a raczej wbrew wszelkim źródłom: „wszyscy regimentarze do prostego żołnierza, w nim (Wiśniowieckim) najwyższego wodza widzieli i biada temu, ktoby się śmiał sprzeciwić“ (Szk. Hist. I. 76). Rzeczywiście groźba poskutkowała! Oto po dzień dzisiejszy nie odważyła się historjografja polska stwierdzić oczywistego faktu, że nie Wiśniowiecki był najwyższym wodzem w Zbarażu, lecz że „najpierwszym pod Zbarażem wojsk Rzeczypospolitej wodzem“ był Andrzej Firlej (Michałowski, Ks. Pam. 80), pełniący funkcje hetmana wielkiego, że jego zastępcą był Stanisław Lanckoroński, pełniący funkcje hetmana polnego, i że trzecim nawet z rzędu wodzem był Ostoróg. Wszyscy ci regimentarze stali na czele silnych dywizyj po kilkanaście chorągwi i oddziałów pomocniczych. Obok nich dużemi siłami rozporządzał pod ich rozkazami chorąży Koniecpolski, najmniej zaś miał tam znaczenia Wiśniowiecki, dysponujący dwoma chorągwiami bratanków i ca 1000 piechoty, przesłanej regimentarzom



przez Zamoyskich. Zgodnie z tym stanem rzeczy, w przeciwstawieniu do regimentarzy, Przyjemskiego, Rozrażewskiego, i t. d., Wiśniowiecki dostaje pod Zbarażem najspokojniejszy odcinek w kącie prawego skrzydła, naprzeciw Tatarów, którzy nie brali udziału w walkach okopowych, jako specjalności Kozaków, gorszych znów od nich w walkach w otwartym polu. Prawdziwa, heroiczna sława Zbaraża — to nie książę Jarema, — to bohaterski, prostolinijny, a groźny dla wszystkich starzec Firlej, obok niego Ostroróg i znakomity Przyjemski, wraz z niewątpliwie odważnym, choć niespokojnym duchem — Koniecpolskim.

Naogół istota wojskowa walk równoczesnych pod Zbarażem, Łojową na Litwie, a wreszcie pod Zborowem, jest w historjografji naszej nietknięta, nawet przez rozprawy cytowane przeze mnie (art. 1) z ostatnich dwóch lat. Z cyfry wojsk kozacko-tatarskich pod Zbarażem, przyjmowanej poprzednio przez naszą naukę, np. przez Korzona, na 460.000, a przez ostatnie publikacje z roku 1933—na 300.000, należy odrzucić na podstawie źródeł i osądu wojskowego 85%, względnie 80%—na przesadę. Chmielnicki dysponował pod Zbarażem nie więcej nad 50 do 60.000 ludzi — łącznie Kozaków i Tatarów, co zresztą stanowiło siłę bezwzględnie i względnie olbrzymią, skoro w poprzednim roku pod Lwowem i Zamościem mógł mieć najwyżej cca 25.000 ludzi.

Chmielnicki znalazł się pod Zbarażem w sytuacji zdecydowanie ciężkiej wobec klęski Kozaków pod Łojową i nieprzewidzianie pośpiesznego marszu Jana Kazimierza. Uciekł się więc, jako wyjątkowo zdolny wódz, do manewru swego mistrza wojskowego — hetmana Żółkiewskiego, który go zastosował w bitwie pod Kłuszynem. Zgodnie z przewidywaniami Arciszewskiego zostawił Chmielnicki tabor pod Zbarażem, a z wojskiem kozacko-tatarskim poszedł pod Zborów na króla. Obowiązkiem Zbarażczyków było, po zorientowaniu się w sytuacji, uderzyć odrazu na tyły Chmielnickiego, co rzeczywiście miało być dokonane, zresztą raczej zbyt późno (19. VIII). Wszystko jednak zepsuła grupa Wiśniowieckiego, którego siły były dotychczas najmniej zaangażowane. Jeden z jego podkomendnych źle wykonał rozkaz, sam zginął, wypad uniemożliwił (por. m. inn. ks. Fraś „Obr. Zbaraża“ 65), poczem oblężeni musieli dalej oczekiwać pomocy królewskiej. Ratuszek przyszedł rzeczywiście, dzięki wypełnieniu swej roli przez króla, który też jeden jedyny, z tą przez siebie cenioną piechotą, stanął na wysokości zadania, bo Janusz Radziwiłł celowo i podstępnie nie wyzyskał swego zwycięstwa, a Zbarażczyków osłabiła na duchu spóźniona i nieudana próba. Niewątpliwie chwala i zasługa Zbaraża zostanie wiekopomną, bo wojsko polskie oparło się tam poraz pierwszy w okopach nawale kozacko-tatarskiej, tak jak pod Zborowem poraz pierwszy oparło się jej w otwartym polu. Wyłącznie już osobistą

zastługą Jana Kazimierza było, zgodnie z wyrażeniami źródeł, że Zborów nie stał się Piławcami.

Wiśniowiecki, wbrew inspiracjom dyarjuszy jego dworzan, nigdy się nazewnął za wodza obrony zbarskiej nie podawał, ani nikt go nigdy w korespondencjach wojskowych i t. d. za takiego nie uważał. Obok innych — słusznie wybitniej nagrodzonych — otrzymał starostwo. Zbaraż wyratował go natomiast z sytuacji, której się słusznie całe życie dla siebie obawiał, t. j. pozostania bez wojsk i pieniędzy, a która mu poprzednio groziła wobec możliwości, że bratankowie possibly również bez niego bronić należącego do nich Zbaraża. Po Zbarażu wybija się istotnie Wiśniowiecki w szybkim tempie, ale dzięki czemu? — Poprzez konfederację wojskową w Lublinie, rzecz conajmniej tak niebezpieczną wówczas dla Polski, jak Kozacy! Nastroje tej konfederacji w czasie pokojowym spowodowały właśnie, że zdobył na krótki czas upragnione regimenterstwo.

Ostatnie stronicie „Ogniem i Mieczem“ — to Beresteczko, gdzie to tak pięknie w bujnej fantazji Kubali, żywcem powtórzonej przez Sienkiewicza, — „książę Jeremi z gołą szablą w ręku, bez zbroi i bez czapki na głowie pędził jak w taniec“ do boju (Szk. Hist. 185). Otóż: — zarówno ten szczegół, jak wogóle opis Beresteczka, skomponowany przez Kubalę, są jego tylko fantazją, w której nawet zasadnicze siły i zwycięscy nie są wymienieni. Natomiast faktem jest, że po ucieczce Tatarów i Chmielnickiego, Jan Kazimierz chciał wreszcie użyć samodzielnie osławionego Wiśniowieckiego i kazał mu wyjść w kilka tysięcy ludzi na tyły taboru kozackiego. Wiśniowiecki rozkazu tego nie usłuchał i zażądał powierzenia sobie 15.000 wojska. Wobec czego Zbarażczyk Lanckoroński z 2.000 ludzi wykonał z powodzeniem to zadanie.

Zmarł Jarema w czasie dalszego pochodu na Ukrainę, zjadłszy zbyt wiele ogórków, co przy jego ogromnym otluszczeniu, stwierdzonym przy sekcji (por. m. inn. Tomkiewicz str. 377/8), stało się dlań śmiertelnym. Zapomnieli tylko jego historjografowie zaznaczyć w opisie tych wypadków, że to właśnie postępowanie Wiśniowieckiego po Beresteczku, przy buntowniczym odejściu pospolitego ruszenia, stało się powodem późniejszego odjazdu Jana Kazimierza od wojsk w czasie dalszego marszu na Ukrainie i że jego król wskazał, jako powód swej decyzji.

Ze względu na konstrukcję „Ogniem i Mieczem“, kilka jeszcze słów poświęcić muszę towarzyszom Wiśniowieckiego, oczywiście tym rzeczywistym, a nie powieściowym. Miała ówczesna Polska sporą ilość znakomitych i słynnych żołnierzy, choć nieraz obarczonych mankamentami prawnymi lub politycznymi, jak to: Arciszewskiego, Grodzickich, Osińskiego, Koryckiego, Przyjemskiego, Zbrożka, Pełkę, Korfa,

Gizę, czy i chociażby znakomitego zagończyka, a infamisa Sokoła, nie mówiąc już o głośnym z odwagi i wyroków Łaszczu, a zwłaszcza o symbolicznym niemal Zaćwilichowskim. Żaden z nich jednak nigdy nigdzie nie służył, ani nie byłby służył u Jaremy, z wyjątkiem Sokoła. Poza mniej zbadanym przeze mnie, a pobitym przez Tatarów, Baranowskim i zdaje się dobrym żołnierzem, Woyniłłowiczem, najbliżsi ludzie Wiśniowieckiego, jego zastępcy i prawe ręki, to, podsedek Kosakowski (infamis, za którym wstawia się Radziejowski) i porucznik Niezabitowski. Ten ostatni, zresztą potem senator, który wzorem swego pana napada na kobiety, a ucieka, gdy mężczyźni szabel dobywali (zob. „Prawem i Lewem“ I. 33/34) był złym duchem wojskowej konfederacji lubelskiej. Cała ta grupa skupiona dokoła Wiśniowieckiego, była jednak większym niebezpieczeństwem dla ówczesnej Polski na terenach, gdzie nie było Kozaków i Tatarów, niż dla wrogów zewnętrznych i nie dziw, że mało kto odważył się sarknąć na Jaremę. Napadają oni na prawo i lewo (np. w Lublinie mordują kilku pacholców miejskich), a nawet w Warszawie w czasie elekcji napadają i mordują ludzi samego interrexa-prymasa, za to, że nie chcieli ustąpić miejsca ich koniom, schodząc sami do błota (Mich. Ks. Pam. 340). Gdyby był jakimś dziwnym tchnieniem opisał Sienkiewicz towarzyszy Jaremy tak, jak przedstawił początkową kompanję Kmicica w „Potopie“, byłby powstał obraz równie plastyczny, a rzeczywisty i prawdziwie dydaktyczny. Niestety, Sienkiewicz z „Ogniem i Mieczem“, ani nie wiedział, ani nie przemyślał jeszcze tego, co Sienkiewicz z „Potopu“.

Pomijam tutaj spiski Jaremy z Rakoczymi, knute równorzędnie z Chmielnickim i Januszem Radziwiłłem, wystarczy tylko stwierdzić, że do fantazji Kubali należy jego twierdzenie, jakoby Wiśniowiecki był od początku zwolennikiem kandydatury Karola Wazy. Wiśniowiecki przeszedł na popieranie kandydatury Karola, prawdopodobnie za cenę otrzymanych od niego 50.000 talarów, dopiero po Lwowie i śmierci starego Rakoczego, a tymczasem tyle tysięcy dusz uczniów polskich boleje, że Jaremę za przedwczesny okrzyk „vivat Carolus rex“ tak ze szkodą dla Polski krzywdzono. Ten zaś właśnie moment, z lasów Polesia, rodzi w umysłach młodzieży te pierwsze załączki fałszywego nastawienia wobec polskiej rzeczywistości, że u nas „to tak zawsze“ — jak się mawia — intrygi „góry“ uniemożliwiają narodowi odpowiednie użycie tych, którzyby dopuszczeni do głosu zbawiliby Polskę ze wszystkich niedomagań i nieszczęść.

Niezapreczenie jednak Jeremi Wiśniowiecki był w narodzie szlachackim ówczesnej Polski niesłychanie popularny. Istotnie bardzo duża ilość listów, wypowiedzeń, uchwał sejmikowych i t. d. wynosi pod niebiosą walory i zasługi tego człowieka, którego rola na sejmach i sejmikach była gorszą od Sicińskiego, zdradliwość i stosunek do

Polski ujemniejszy, niż Janusza i Bogusława Radziwiłłów, którzy przy wszystkich grzechach byli przynajmniej zdecydowanie dobrymi żołnierzami, charakter stokroć marniejszy od Jerzego Lubomirskiego, a system gwałtu i rabunku godny słynnego „Djabła“ Stadnickiego. Powodów tego dziwnego stanu rzeczy jest szereg.

Przedewszystkiem w ówczesnej Polsce szlacheckiej, na ówczesnych sejmach i sejmikach jednostka dodatnia nie mogła być dobrze widziana. Ten sejm polski, który Żółkiewskiego obrzucał zarzutami tchórzostwa (lutą 1618), który nienawidził Ossolińskiego, musiał w konsekwencji zachwycać się Wiśniowieckim. Podobnie to wojsko, czy raczej ogół jazdy, które się ciągle buntuje, lub zbiega, które potem chce swego hetmana Kalinowskiego wydać wrogom, garnął się na takich zlotach zbiegów z pola bitwy, jak we Lwowie, przedewszystkiem do osoby tego, który tym jej nastrojom odpowiadał. Wpływ i wziętość Wiśniowieckiego u szlachty i wojska była wyłącznie charakteru destrukcyjnego. Wielokroć bowiem w interesie własnych, straconych dóbr i dla gromadzenia wojsk w swem ręku, próbuje wpłynąć na szlachtę lub wojsko w zgodzie z interesami ogólnymi, wpływ jego okazuje się fikcją. Zawodzi np. ten wpływ, gdy raz i drugi szlachtę swego własnego województwa pod broń powołuje. Gdy zaś na dzień czy dwa przed Piławcami (21. IX. 1648) jest faktycznie wodzem wojsk, nie znajduje śladu posłuchu tak dalece, że podobno nawet wycofuje się z obrazą. Gdy wreszcie pod Beresteczkiem nakłania pospolite ruszenie do dalszego marszu na Ukrainę, wpływ jego zawodzi całkowicie, co zresztą należy tłumaczyć rozwiązaniem długo skutecznej jego spółki z Hieronimem Radziejewskim.

Wpływowym jest jednak, gdy buntuje przeciwko państwu i władzy, gdy podburza zbiegów piławieckich, gdy współpracuje z konfederacją wojskową, lub gdy wszystkich dodatnich ludzi obsypuje kalumniami i fabrykuje w swem otoczeniu fałszywe listy Chmielnickiego do króla i t. d. Popularnym jest wtenczas, gdy zbiera chorągwie, by po koronacji Jana Kazimierza napaść i zamordować Ossolińskiego. Groźny starzec wyjechał jednak wówczas z Krakowa w karetce w otoczeniu 300 swoich muszkieterów, gotowych do strzału, a więc Wiśniowiecki, jak zwykle wobec możliwości ciężkiej walki, cofnął się.

Mimo tych wszystkich momentów pozostaje nadal ciekawem zagadnienie, skąd się bierze ta przeważająca opinia, rozpowszechniana w listach szlacheckich, relacjach i t. d., że on jeden — Jeremi Wiśniowiecki — jest najznakomitszym wodzem i żołnierzem polskim, chociaż nietylko nigdy pozytywnego sukcesu nie odniósł, ale od Korsunia do śmierci jest przyczyną wszystkich niepowodzeń przy próbach załatwienia sprawy kozackiej, bądź ugodą, bądź siłą. Skąd się zrodził

ten fakt niezaprzeczalny, że wszystkie jego ewidentnie haniebne czyny, jak sprawa Lwowa, napady, rabunki, uciezki są schowane niemal pod ziemię, a wszędzie pełno wiadomości pokątnej opinji np. że był duszą obrony Zbaraża, że tuż przed Piławcami wymordował 48.000 Kozaków (choć niewątpliwie nie pobił nawet 48), skąd ta fama o bohaterskim odwrocie, o pogromach Kozaków tu i tam, chociaż uciekał, tępiąc po drodze tylko drobniejsze bandy chłopskie?

Wśród innych uprzednio naprowadzonych momentów niewątpliwie niespodzianką dla opinji polskiego myślącego ogółu będzie fakt, że obok skłonności i nastawień masy szlacheckiej, drugą trąbą jerychońską Jaremy z połowy XVII wieku byli — nieodzowni Żydzi.

Jarema nie kochał Kozaków, którym początkowo chciał hetmanić, a skończył wobec nich na bezcelowych okrucieństwach i wbijaniu na pal. Nie kochał on niewątpliwie Rzeczypospolitej, bo całe życie knuł, planował, a nawet próbował Ją rozsadzić. Sam o sobie powiedział w tekście zasługującym na zaufanie: „daję wam szlacheckie moje słowo, pod mojem sumieniem: skoro obecny sejm nie stanie we wszystkim według mego pozwolenia, to nagotuję wam, całej Rzeczypospolitej piwa, gorzej od Chmielnickiego”. (Akty J. Z. Ros, III — 401). Gotował się też rzeczywiście całe życie, by Polsce nawarzyć piwa, gorzej niż Chmielnicki, ale, przy całej złej woli i ambicjach, brakło mu na to zdolności wojskowych, oraz środków działania, gdyż zebrane wojska zawsze mu się rozlatywały. Był jednak w Polsce wówczas także trzeci naród, przez historję tych czasów zupełnie zapomniany. I oto Wiśniowiecki — według najdosłowniejszego hebrajskiego tekstu — „kochał naród izraelski nadmiernie”. Istnieje szeroko znana w całym świecie kronika hebrajska Natana Hannovera, spisana współcześnie, a raczej równocześnie z wypadkami z „Ogniem i Mieczem”, pod tytułem „Jawein Mecula“, t. j. „bagnu głębokie“, czy raczej „kozackie bagno”, która od XVII do XX wieku doczekała się 9 wydań w języku hebrajskim i żargonie, oraz tłumaczeń na języki francuski, niemiecki, rosyjski, a również na polski ostatnio, w tłumaczeniu znanego historyka Bałlabana, wydanem wśród pism Rawity-Gawrońskiego („Sprawy i rzeczy ukraińskie“, Lwów 1914, od str. 1—76, za którem to wydaniem cytuję). Kronika Hannovera przy wszystkich swych błędach, przesadach nieraz i górnolotnych porównaniach, jest wprost niezrównanym, co do swej wagi, dowodem, co czuły i myślały setki ghatt żydowskich, kahałów i podkahałków, o polskokozackich wypadkach lat 1648 — 1651, których skutki zresztą ich właśnie najczęściej ugodziły. Otóż właśnie w tej kronice Hannovera znaleźć można (może nawet główną) podstawę tej famy o Wiśniowieckim, rozpowszechnionej w ówczesnej Polsce. Tam znaleźć można te wszystkie, — płynące z ewidentnie dobrej wiary — opisy nad-

zwyczajnych, a nigdy niedokonanych czynów bł. pamięci Wiśniowieckiego, pochwały „dzielności“ jego syna (sic!), tam tkwi w całości system przemilczania wszystkich jego spraw hańbiących, jak sprawa Lwowa, tam zjawia się on jako duch, podtrzymujący obrońców Zbaraża („zagrzewał serce ludu“), tam wreszcie tkwi źródło opinii, że był on największym wojownikiem polskim, stale krzywdzonym na rzecz ludzi bez większej wartości, Oczywiście w gruncie rzeczy jest to przypadek, wynikający z systemu gospodarczego Wiśniowieckiego na Ukrainie, którego nie mógł znać Sienkiewicz, tak zresztą jak nie wie nic o nim dotychczas opinia polska, gdyż ten stosunek Wiśniowieckiego do Żydów został ukryty w cieniu, z niezrozumiałą co do gatunku motywów wstydlivością, chociaż Hruszewski tem obszernie się zajmował.

Tam wreszcie — dla kompletu — w kronice Hannovera (str. 63) znajdują czytelnicy z gruntu zmyśloną bajkę o otruciu Wiśniowieckiego przez polskich senatorów, która to wersja powstała już w czasie krótkotrwałej jego choroby i była powodem zarządzenia sekcji zwłok.

Pozostał wreszcie po śmierci Jaremy, jego syn, którego wybór na króla nasze nauczanie historii ubrało w pragmatyczną bajeczkę, że naród z wdzięczności za zasługi ojca obrał Michała Wiśniowieckiego królem. Przecież zaś łatwo można sprawdzić, chociażby z wszystkim dostępnym Paska, że wybór Wiśniowieckiego był „szaleństwem“ szlacheckiej ochlokracji, rozwścieklonej w gruncie rzeczy świeżą pamięcią wysiłków Jana Kazimierza, by ratować Polskę i realizować już w XVII wieku pewne zasadnicze punkty reform, które potem w całości odnaleźć można dopiero w planach stronnictwa patriotycznego Sejmu 4-letniego.

Tłuszcza szlachecka, okrzykująca się za mitycznym „Piastem“, terroryzuje wówczas senatorów, chroniących się pod ławki, gdy służba, strzegąca szopy senatorskiej, pada trupem. W takim to nastroju i w takiej sytuacji gmin szlacheckiej, głosujący viri tim, okrzykuje Piasta królem, nie wiedząc, kto jest ten „Piast“, względnie, czy tym Piastem jest mało znany Polanowski, lub podsuwany przez agentów Olszowskiego, przez nikogo niewidziany, a słyszany z famy — Wiśniowiecki. Jedyńi tylko kuzyni Zamoyscy, którzy go znali, próbowali zwalczać ten wybór.

T. zw. jednolicie zgodny wybór narodu szlacheckiego był nietylko decyzją najmarniejszą, ale również najszkodliwszą, chociaż właśnie dlatego po Michale Wiśniowieckim musiało pozostać najwięcej panegiryków, gdy po Stefanie Batorym i Janie Kazimierzu została największa ilość oczerniających pamfletów. Szybkim krokiem nadciągała tragedia upadku Polski. Tuż z wyborem Wiśniowieckiego, a na sto lat przed rozbiorami i Stanisławem Augustem, zjawia się na ulicach

Warszawy widmo pruskiej kubitki, wysłanej przez pruskiego rezydenta, by porwać Kalksteina ze środka stolicy na ścięcie go potem w Prusiech, mimo bezsilnych protestów rządu polskiego. A jeszcze tak niedawno Jan Kazimierz wytrzymał całą burzę kozacko-tatarską, m. in. dlatego, że żądanie wydania Czaplińskiego zemście Chmielnickiego, uważał za rzecz poniżej godności Rzplitej.

Wypadki zaczynają wówczas biec szybko. Wkrótce umiera w dalekim francuskim Nevers, abdykujący z własnej woli dla dobra Polski, Jan Kazimierz. Tam to, daleko we Francji, napis wryty na grobie, kryjącym jego serce, mówi, że zmarł z żalu na wieść o zdobyciu Kamieńca przez Turków.

Utrata Kamieńca — to znak, jak klątwa krwi Jaremy w jego synu działała poza jego grób.

---

## IV. Konkluzje

### CZĘŚĆ I.

Po nakreśleniu kilku rzutami faktu „odwrócenia“ obrazu historycznego w „Ogniem i Mieczem“, a to przez wykazanie rzeczywistości historycznej tych czasów, oraz ludzi, wolno mi już wrócić do punktu wyjściowego mych wywodów, a więc do roli i udziału, zarówno twórczości Sienkiewicza wogóle, jak „Ogniem i Mieczem“ w szczególności, w zagadnieniu, nazwanem przezemnie — chyba bezspornie — „najwyższej wagi“, „jakiemi walorami literackimi formować obecną i przyszłą duszę narodu polskiego“ (art. I „Pion“ Nr. 3).

Tem samem wolno mi przejść na temat zagadnienia, które — jak sędzę — pierwszy wogóle niedawno postawiłem na innem miejscu („Dziejowa Rzeczywist. a racja stanu Polski na pol. Wsch.“ — „Polityka Narodów“, 1933, str. 5 i oddz. wyd.), stwierdzając, że Sienkiewicz „sam jeden na obecne polskie odczuwanie swej przeszłości wywarł silniejszy wpływ, niż setki tomów rozpraw naukowych“. Jeśli w obecnej polemice o „Ogniem i Mieczem“ padło wśród wielu kontrargumentów twierdzenie: „nie słyszałem dotąd, aby ktokolwiek o wojnach tureckich albo kozackich uczył się z Trylogji Sienkiewicza“ (St. Szpotański „Kurjer Warsz. 1933 Nr. 339), to mam tylko jedną odpowiedź: — poprostu cała Polska od lat pięćdziesięciu! Przecież jeśli zadamy nawet obecnie w wykształconych kołach polskich kilka pytań z tych czasów, decydujących w naszych dziejach, przekonamy się, że wszyscy wiedzą o bitwie pod Machnówką, której właściwie nie było, a mało tylko kto o tej strasznej bitwie pod Maławami, pięciokrotnie krwawszej od Beresteczka (3.873 trupów polskich wobec 700 pod Beresteczkiem), w której pozatem zasadniczo zostały przegrane losy Polski, bo Maciejowice były już tylko wykonaniem. Stawiając we wspomnianej rozprawie o „Dziejowej rzeczywistości“ postulat rewizji polskich dziejów politycznych i wojskowych, zarówno w swem zasadniczem ujęciu



i zakresie źródeł, jak i w odniesieniu do ustalonej struktury faktów, czyli „in capite et membris“, oraz rozpoczynając zarys tej rewizji na pewnym odcinku dla lat 1359 do 1450 („Zagad. Czarnomor. w pol. polsk. średn.“ w „Przegl. Hist.“, 1933, t. X, str. 325—391), — zda-  
wałem sobie sprawę, że jest to praca wielu lat i książek—oczywiście  
nietylko moich.

Zagadnienie sienkiewiczowskie nie może jednak czekać! Nie jest  
to bowiem sprawa innego ujęcia faktów, zresztą nieraz może naukowo  
bardziej ciekawych, niż sprawa Jaremy (np. moja rewizja spraw lat  
1443—44, słynnej klęski bukowińskiej Olbrachta i t. d.), ale pytanie  
z zakresu wychowania narodowego,

Wytrzymałem spokojnie szereg, różnego zresztą charakteru at-  
ków, z którymi się oddzielnie i na uboczu zajmę. Łatwo było prze-  
cieć, chociażby z samego zastrzeżenia się redakcji, zorjentować, że  
nie chodzi „o pomniejszenie Trylogji” (?) dla efektu zewnętrznego,  
ale o szukanie klucza do kwestji i spraw, dla których umysłowość  
polska szuka rozwiązania od lat pięćdziesięciu. Jeślibym był w kilku  
słowach powiedział, że to wszystko, co jest tak genialnie opisane  
w „Ogniem i Mieczem“ jest nieprawdą, odwróceniem obrazu, apoteo-  
zowaniem tego, co powinno być tępione, a potem przeszedł do za-  
gadnień literackich, to — po pierwsze: nie byłoby to nikogo przeko-  
nało, a po drugie—mogłoby sprawiać rzeczywiście wrażenie „napaści“  
na twórczość Sienkiewicza, jako taką, czyli odgrzebywania niektórych  
„wypadków“ z lat 1884—85 i 1903—1904. Bez względu więc na lite-  
racki charakter zagadnienia i teren artykułów, musiałem dać choćby  
część zasadniczych argumentów historycznych, nie mogąc wyczerpać  
oczywiście na łamach pisma literackiego spraw chociażby tak ważkich,  
a tezy moje popierających, jak rozbiór marszu hetmana Potockiego  
pod Korsuń, wnioski z porównania zabiegów o „obronę Lwowa“,  
czynionych przez Ostoroga, z zaciągami Wiśniowieckiego, idącego  
od samego początku na zabranie pieniędzy, nie mogłem też wyczer-  
pać powiedzeń i korespondencji Ossolińskiego, ani omówić szlache-  
ckich podstaw akcji Chmielnickiego, czy jego tendencji do utrzymania  
pewnych latyfundjów ukraińskich, wreszcie wyciągnąć konsekwencje  
z rejestrów kozackich.

Mimo tych wszystkich niewypowiedzeń, sądzę jednak, że już  
obecnie z miejsca, przed daniem opracowania wypadków lat 1648—49,  
przyniosłem w trzech artykułach wystarczającą inicjatywę, czy rodzaj  
„pchnięcia“ naukowego dla tych, którzy zechcą się zająć, jako kry-  
tycy literaccy, metodycznie twórczością Sienkiewicza, oraz jego zna-  
czeniem pedagogicznym; inicjatywę, umożliwiającą przebycie dotych-  
czas nierozwiązalnych trudności, jakie myśl polska na tem polu na-  
potykała.

Dwie przeprowadzone na ten temat dyskusje w towarzystwach naukowych (17/XI we Lwowie i 14/XII.33 w Warszawie) umocniły mnie tylko w początkowym przekonaniu, że nie istnieje cytat źródłowy, lub istotny argument, który mógłby moje rewizyjne podejście do tych zagadnień podważyć. Odgłosy natomiast szerszych kół, powiedziałbym niefachowych, przekonały mnie o zrozumiałym fenomeń polskiego życia umysłowego, streszczającym się w obserwacji następującej. Dzięki zainteresowaniu powszechnemu dla procesów sądowych, wszyscy w Polsce świetnie rozumieją, dlaczego odciski palców, przychwycony list, lub wizja lokalna są dowodem, któremu nie można przeciwstawić opowiadań dozorca z sąsiedniej kamienicy, lub wywodów obrońcy, trudno natomiast kogokolwiek przekonać, że list własnoręczny, bezpośrednia relacja, linja marszu, akta procesowe lub rachunki, to zupełnie coś innego pod względem siły dowodowej, niż odgłosy kronikarskie, zaaranżowane uchwały sejmikowe, wynurzenia panegiryków, lub późne apokryfy. Gdyby ogół polski chciał się w szerokiej skali interesować zagadnieniami umysłowymi wysokiego rzędu, studjując dla orientacji np. „Historykę“ Handelsmana, to zrozumiałby, że polscy Skrzetuscy po encyklopedjach i herbarzach nie mogą kwestjonować schizmatycko-kozackiego charakteru tego Skrzetuskiego, który przeszedł ze Zbaraża do Toporowa, nieszczęsny zaś Krzywonos był w każdym razie zawodowym oficerem, czy pułkownikiem, który przeszedł z wojska polskiego do kozaków. To ostatnie zresztę powinien był wiedzieć Sienkiewicz, ponieważ korzystał z Michałowskiego „Księgi Pamiętniczej“ (str. 95) już dla „Ogniem i Mieczem“.

Niezaprzeczenie jednak „Ogniem i Mieczem“ nietylko nie poraz pierwszy, ale raczej poraz trzeci zkolei, okazało się ponownie tym nadzwyczajnym instrumentem budzenia głębszych zainteresowań ogółu polskiego, co przejawiało się zarówno w stanowisku prasy, jak na debatach naukowych. Można rzec bez przesady, że przy sprawie „Ogniem i Mieczem“ powszechny intelekt Polski drgnął żywym zainteresowaniem naukowym, które oby tylko utrzymało swe napięcie.

Dyskusja o „Ogniem i Mieczem“ nie zjawia się—jak wiadomo—poraz pierwszy na terenie polskich zainteresowań, toczy się ona przez wiele rozpraw, a miała swoje okresy napięcia, chociażby w latach 1884—85 i 1903—04. Faktem jest, że z całego zakresu twórczości Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“ cieszyło się zarówno najwyższem uznaniem literackiem, jak też wywoływało najżywsze protesty, z całego szeregu stanowisk. Objaw niemal naturalny wobec piękna powieści, subiektywnego zamiaru Sienkiewicza pisania prawdy, oraz braku wglądu w rzeczywistość odwróconej fabuły. Wszystkie te sądy z poprzednich debat zostawiam na uboczu, zarówno cytowane ostatnio

entuzjazmy, np. St. Witkiewicza, czy Żeromskiego, jak pioruny potępienia St. Brzozowskiego, że „ilekroć dotknie się on (Sienkiewicz) historii, tworzy karykaturę mimowolną i upokarzającą parodię“. Wszystkie te sądy, które łatwo cytować całymi stronicami wobec zebrania ich obok siebie w książce H. Czachowskiego (H. Sienkiewicz, „Obraz twórczości“. Warszawa 1931), bliżej mnie nie obchodzą, jako aposterjoryczne (zob. niżej). Wszystkie one razem są najwyżej wyrazem faktu, że myśl polska biedzi się od lat pięćdziesięciu nad pewną trudnością, której w gruncie rzeczy nie mógł rozwiązać również sam Sienkiewicz, ponieważ do jego śmierci historjografia nasza dawała takie odpowiedzi, jakie daje „Ogniem i Mieczem“. Przypomnieć bowiem należy, że sam Sienkiewicz w swych uwagach „O powieści historycznej“ z roku 1889; (Pisma nieobj. wyd. zbior. wydał St. Demby I. str. 83—118) potępiał surowo, jako rzecz ujemną, nieprzestrzeganie prawdy historycznej w powieści, niepotrzebnie więc bronią go obecni oponenci, pouczając mnie, że powieść historyczna nie musi uwzględniać prawdy. Ja mogę się na to zgodzić, ale Sienkiewicz był stanowczo innego zdania! Oczywiście jest, że pisząc swoje uwagi już po wydaniu wszystkich części, nazwanych potem „Trylogią“, nie przewidział Sienkiewicz swego własnego wypadku, t. j. że chcąc subiektywnie dać prawdę zawsze i wszędzie, dał wprost przypadkowo w „Ogniem i Mieczem“ obiektywną nieprawdę. Oto cały powód, że na kwestję tę sam Sienkiewicz nie mógł dać odpowiedzi, chociaż myśl polska bezustannie równocześnie zachwycała się pięknem „Ogniem i Mieczem“, jak buntowała się i protestowała przeciw treści, nie mogąc uzasadnić protestu swego odczuwania.

Krytycy literaccy, uciekając się raz za razem w dziesiątkach rozpraw i studjów o to rozwiązanie do historjografji polskiej, znajdują tam wszystko niemal tak samo ujęte, jak w „Ogniem i Mieczem“, nawet w Encyklopedji Akademji Umiejętności (Hist. Polit. t. II). Nic więc dziwnego, że np. profesor literatury K. Wojciechowski w pracy zupełnie nowej (2 wyd. 1925) krótko stwierdza o całej Trylogji, że „uczyć się z niej można historii bez obawy, by nie przyswoić sobie fałszów“. Również studja monograficzne na temat historyczności „Ogniem i Mieczem“ nie były w stanie rozstrzygnąć tego zagadnienia, chociaż jest w nich całe „Ogn. i Miecz.“ zestawione stronicami ze źródłami, z których korzystał Sienkiewicz. Wykonał tę pracę J. Kijas w rozprawie pod tyt. „Źródła historyczne w powieści „Ogniem i Mieczem“ (Pam. Lit. 1927, str. 119—135), uzupełnionej nieznanym mi przyczynkiem Sabocińskiego (dane bibl. błędne) i Assanki Japolla o pamiętnikach Mikołaja Jemiołowskiego (Ill. Kur. Codz. 1913, Nr. 231). Nic nowego nie tkwi w rezultatach, do których doszedł J. Kijas,

a mianowicie, że „sumiennie i krytycznie zebrany materiał historyczny jest dla niego (Sienkiewicza) kanwą, na której twórcza jego wyobraźnia tka wspaniałe obrazy”. Stwierdził więc monograficzny krytyk jeszcze raz to, co mówił o swym stosunku do źródeł sam Sienkiewicz. Nie mógł bowiem p. Kijas więcej wiedzieć, niż historjografja polska, która opracowując niejednokrotnie nietylko trzecio-, czy podrzędne zagadnienia prawno-ustrojowe i drobne szczegóły wczesnego średniowiecza, nie posunęła się przez lat pięćdziesiąt na najważniejszym odcinku naszych dziejów nawet o krok naprzód, a co gorsze nawet nie zaabsorbowała wyników obcej nauki. Nie mogła też krytyka literacka rozstrzygnąć ciągle odnawianych sporów o „Ogniem i Mieczem”, skoro jej historjografja nasza nie nauczyła, że podstawą całego „odwrócenia” obrazu w „Ogniem i Mieczem” są właśnie źródła Sienkiewicza, które go naprowadziły na fałszywą drogę. Jej winą natomiast jest niewątpliwie, że nie opracowała krytycznie sienkiewiczowskiego sposobu posługiwania się źródłami.

Pomijając rozbiór szczegółowy, wykonany zresztą przez J. Kijasa (jednak bez uwzględnienia, jaką wartość miały te źródła), należy stwierdzić, że Sienkiewicz czerpał dla pierwszych tomów „Ogniem i Mieczem” najwięcej szczegółów z Latopisu Weliczki, który nie jest bynajmniej źródłem współczesnym, jak się go w naszej literaturze cytuje, lecz pełną błędów komplikacją z końca XVII i początku XVIII wieku (zob. m. i. Korduba: Zeitschr. f. osteurop. Gesch. VI. 52), w dalszych zaś dwóch głównie z pierwszej serji Szkiców Kubali. Szkice te, jak starałem się we wszystkich dotychczasowych sądach wykazać, są metodycznie niedokładną, błędną w rozumieniu rzeczy i nieraz wizjonersko-fantastyczną wręcz częścią prac tego, tak wartościowego człowieka, opracowującego w najcięższych warunkach, bez środków i bez uniwersyteckiego warsztatu pracy, odłogiem leżące czasy Władysława IV i Jana Kazimierza. Nastawienie naukowe Kubali utrzymało się w całej sile przez lat pięćdziesiąt, zaciążyło, jak wspominałem u wstępu, na pracy W. Tomkiewicza o Jeremim Wiśniowieckim, pracy zrobionej z wysoką techniką i z szerokim zakresem źródeł, co muszę uznać przy pewnych zastrzeżeniach metodycznych, a zasadniczym sprzeczniwie, zarówno co do szczegółów, jak całości ujęcia. Prace ks. Frąsia, pisane również pod wpływem Kubali, wykazują natomiast nierówne wyzyskanie źródeł, a zwłaszcza rzecz o bitwie zborowskiej aż zbyt wiele pozostawia do życzenia. Dopiero bowiem przez krytykę źródeł i literatury historycznej z czasów „Ogniem i Mieczem” można znaleźć klucz do tego nieporozumienia, które istnieje – przy całym hołdzie dla artyzmu tej powieści – między jej fabułą i ujęciem, a czytelnikiem znającym wiek XVII.

Stwierdzając u wstępu artykułów o „Ogniem i Mieczem”, że

chodzi o zagadnienie nawet bardziej zasadnicze, niż poprawianie błędów w kwestji kozackiej, podkreślając, że Sienkiewicz „wpływał szerzej, w większym kole zasięgów, niż genjusz Słowackiego, Mickiewicza czy Wyspiańskiego“, miałem przekonanie — brzmieć może to paradoksalnie — że dopiero druzgocąca krytyka historycznej strony „Ogniem i Mieczem“, oraz rozbitcie z gruntu fałszywych koncepcyj o jakiejś wewnętrznej od założenia spoistości t. zw. Trylogji, jest właśnie punktem wyjścia do właściwej, bo genetycznej oceny Sienkiewicza. Wiedziałem bowiem, że na tej drodze wielkość Sienkiewicza, stwierdzona poprostu spełnioną przezeń rolą, dojdzie pozytywniej i dobitniej do głosu, niż we wszystkich impresjonistycznych panegirykach.

Poważnej, głębokiej, wyczerpującej i udokumentowanej monografji o twórczości Sienkiewicza niema i przed utorowaniem drogi przez historyków nie możemy mieć takiej pracy, wypowiadającej ostatnie słowo. Istnieje natomiast około dwieście rozpraw o twórczości i dziełach Sienkiewicza, jak to łatwo sprawdzić u G. Korbuta (Liter. pol. II wyd. 1931 str. 133—137) i w książce Czachowskiego (str. 7—14, 26—7, 32—34), w których jednak pewne zasadnicze i decydujące sprawy nie zostały dotknięte. Niewątpliwie też słusznie uprzedził mnie J. Kaden-Bandrowski („Gazeta Polska” 1933 Nr. 339), wysypawszy, w życzliwym słowie o moim drugim artykule, zasłużoną reprimendę naszej krytyce literackiej. Gdy dzisiaj posiadamy już dzięki St. Dembememu i Ign. Chrzanowskiemu wydanie rozproszonych pism Sienkiewicza, gdy Juljusz Kleiner w pracy o Słowackim, a zwłaszcza w swem studjum o Krasińskim, pokazał, jak pracować należy, jak trzeba razem z twórcą czytać, uczyć się i myśleć, by jego dzieła zrozumieć i ocenić, gdy literatura o Mickiewiczu przyniosła po przerwie dziesiątek lat tyle nowych oświeleń — czas już zerwać z drukowaniem aposterjorycznych impresyj, a podejść do twórczości Sienkiewicza tym systemem i tą miarą metodyczną, na jaką zasługuje. W mem odczuciu jest wprost grzechem krytyki wobec roli spełnionej faktycznie przez Sienkiewicza w dziejach duszy polskiej, rozpisywanie się, czy komu Trylogja podoba się, czy nie, dlaczego tak, a dlaczego nie, jakie miejsce bardziej, a jaka postać mniej, dawno już bowiem minęły czasy osądzeń, komu się podoba „Król-Duchów“, a komu „Przedświt“, komu obydwu, a komu żaden.

Literacka krytyka impresji aposterjorycznej, t. j. spisywanie wrażeń po przeczytaniu książki, czy zobaczeniu dramatu, jest oczywiście niezbędną i słuszną w stosunku do talentu, który się przebija, nie może jednak spełnić wyczerpującej roli wobec twórczości, która odegrała już taką rolę, jak Sienkiewicz. Do impresji aposterjorycznej

potrzeba sporo inteligencji i możliwie dobrego stylu (najlepiej może zresztą — wielką dozę złośliwego dowcipu), ale dla oceny genetycznej wielkiego twórcy trzeba obok wysokiej inteligencji i znośnego stylu, jeszcze sporej dozy wiedzy i metody. W odniesieniu do Sienkiewicza trzeba było pozatem interwencji historyka, bo ani krytyk, czy umysł miary St. Brzozowskiego, nazywając Trylogię karykaturą i parodią historyczną, ani profesor literatury K. Wojciechowski, każąc z niej uczyć się prawdziwej historii bez obawy fałszu, nie mieli wogóle w rękę elementów, pozwalających im te rzeczy osądzać. Historjografia bowiem polska nie dała im danych nietylko w odniesieniu do Kubali, ale chociażby w odniesieniu do kronik ruskich, w których rozczytywał się Sienkiewicz.

Punktem wyjścia dla oceny twórczości Sienkiewicza na terenie powieści historycznych musi być genetyczne badanie i przechodzenie z nim razem wszystkiego, co czytał i myślał między latami 1880 a 1889, ustalając, jak z przeczytanego korzystał. Na tem polu już sam podział twórczości Sienkiewicza na okresy (np. u Korbuta str. 131) jest nieuzasadniony. Pozostanie zasługą St. Lama („H. Sienkiewicz” 1924, str. 48—49), że zwrócił uwagę na sienkiewiczowską recenzję Kubali w „Niwie” (1880 t. XVII zeszyt 140/1). Jest to punkt zwrotny dla twórczości Sienkiewicza, ale z miejsca raz za razem w literaturze naszej fałszywie interpretowany. Uważa się powszechnie np. pierwszy występ Sienkiewicza na terenie powieści, czy noweli historycznej: „Niewolę tatarską”, za rzecz powstałą z inspiracji szkiców Kubali (zob. np. A. Brückner „Dzieje lit. pol.” II — 374, lub Czemiński: „H. Sienkiewicz”. 1924 str. 91). Jest to pogląd nieuzasadniony. Rzut oka w rocznik „Niwy” (rec. Kubali przez A. R. zeszyt 136, rec. Sienkiewicz z. 140/1, Niewola tatarska z. 143) uwidacznia, jak egzemplarz Kubali, wrywany z rąk do rąk, krążył w redakcji „Niwy”. „Niewola tatarska” (nowele pisał Sienkiewicz w całości, nie częściami, zawsze starannie je przygotowując), była napisana przed zapoznaniem się Sienkiewicza ze Szkicami Kubali, które jedynie odegrały rolę instrumentu zainteresowania dla czasów minionych. Z drugiej strony ze skrupulatnego przeczytania „Niewoli tatarskiej” widocznem jest, że w oddanej, czy raczej czekającej druku noweli, nietylko niema najmniejszego wpływu Kubali, ale są raczej pewne nastawienia psychiczne, które Sienkiewicz pod wpływem Kubali stracił. Bez zamiaru wchodzenia ściślej na tory krytyki literackiej rozprowadziłem się nad tym punktem nieco szerzej dla przykładu, jak Sienkiewicz powinien być opracowany w tej sferze zagadnień, a więc metodą historyczną, połączoną z oceną literacką, gdyż nie pozwolą go zrozumieć i ocenić, same dla siebie, ani przyczynki poszukiwań za źródłami, ani impresje i domysły po czytaniu utworów.

We wspomnianej recenzji Sienkiewicza o Kubali jest jeden zasadniczy, a niezauważony moment, który będzie decydował o jego twórczości i stanie się dźwignią dla jego roli w dziejach duszy polskiej. Sienkiewicz przy całym entuzjazmie dla Szkiców zbuntował się w jednym punkcie przeciw Kubali i w ocenie Jana Kazimierza poszedł za Szujskim („Niwa” XVII, 612/13). Jest to ponownie klucz w dziejach jego twórczości, jak sprawa „Niewoli tatarskiej”. Sienkiewicz przed Kubalą i bez Kubali rozczytywał się w wieku XVII, niestety bez możliwości znalezienia w historjografii polskiej szczegółowego i wytrawnego przewodnika dla zagadnień kozackich i tatarskich, które go szczególnie pociągały. Szkice Kubali „wzięły go na całego”, z miejsca rozentuzjazmowały go niesłychanie. Gdy jednak spotkał się z Kubalą na terenie psychologii ludzkiej, a nie wywodów wojskowo-historycznych, jak przy sprawie charakteru Jana Kazimierza, okazał się silniejszy od pierwowzoru. Oczywiście nie mógł wiedzieć wówczas Sienkiewicz, skoro nie stwierdziła tego do dzisiaj historjografja polska, że tak ciężki zarzut braku charakteru Jana Kazimierza, przyrodzonej złośliwości, nędznego zachowania się (Szk. Hist. wyd. V. S. I. str. 19), postawiony przez Kubalę, a przyjęty potem w naiwnej charakterystyce przez Czerbaka (Kwart. Hist. r. 1889), a częściowo wogóle przez literaturę, wyprowadził Kubala z niezrozumienia swego własnego źródła. Kubala zrobił Jana Kazimierza człowiekiem denuncjującym swych dobroczyńców, podczas gdy królewicz Jan Kazimierz prosto zdemaskował, siedząc w więzieniu, próbę francuskiej prowokacji, udając, że nie rozumie, dlaczego planujących jego ucieczkę oszczędzono, a jego jeszcze ukarano za odrzucenie planu ucieczki z więzienia.

W miarę czerpania całymi garściami ze Szkiców Kubali przy pisaniu „Ogniem i Mieczem”, Sienkiewicz począł zauważać jego niedopuszczalne błędy i fantazje, chociaż fachowa historjografja polska nie orjentuje się w tem nieraz po dziś dzień. Niestety, stało się to już pod koniec „Ogniem i Mieczem”, a sam Sienkiewicz nigdzie tego nie zaznaczył, zachowując nawet dla późniejszych prac Kubali, niewątpliwie krytyczniejszych i cenniejszych od początkowych, sąd życzliwy, ale bynajmniej nie entuzjastyczny („Książka” 1914 — „Pisma Zapom. i Niewyd.”). Muszę powtórzyć ponownie, że nie jest moim zadaniem przeprowadzanie rozbioru krytycznego, chociażby tylko „Ogniem i Mieczem”, niemniej jednak wskażę na jeden niezauważony szczegół, który sam za siebie więcej mówi zarówno o Kubali, jak o Sienkiewiczu, niż cały szereg artykułów.

Pierwsze Szkice Kubali cieszą się po dziś dzień opinią nietylko znakomitych, ale „gruntownych” i solidnych; jest to zdanie powszechne podkreślane—nawet np. zarówno przez Bobrzyńskiego, czy

Konopczyńskiego, jak z drugiej strony przez Hruszewskiego. Dla przeciwstawienia się temu przytoczę jeden przykład z opisu bitwy pod Beresteczkiem. Ukochany i niezrównany wizjoner Kubala, wrzucony odparciem Tatarów, pogalopował w swej fantazji ku następującemu zdaniu: „nieprzejrane ordy tatarskie, sylistryjskich, rumelskich i dobruckich Turków, Wołoszy, Urumbałów, Janczarów, Perjerów, od morza Lodowatego, od gór Uralskich, od morza Kaspijskiego przywołane, zostały pokonane, odpędzone, a szarańcza kozacka w taborze otoczona“ (Szk. Hist. I — 188), Złapać się można za głowę z przerażenia, wobec tego galimatjasu geografji i niemożliwości w tej „solidności“, skądinąd tak wartościowego człowieka i zasłużonego uczonego. Od czasów Morgenbessera i „Kary Mustafy, wielkiego wodza Krzyżaków“ nikt nie prowadził ludzi z nad oceanu Lodowatego (Eskimosów!?) przez Krym, czy Czechryń na Beresteczko!

Jak się do tego ustosunkowuje Sienkiewicz, który — jak to powszechnie wiadomo — sam o sobie stwierdził: — „większą część moich powieści (prawie wszystkie, prócz nowel) pisałem z dnia na dzień, odsyłając zaraz napisane kartki do druku“, (odpowiedź na ankietę „Świata“ z r. 1913. Nr. 23). Przy tym systemie pracy Sienkiewicz nieraz, spiesząc się i t. d., niejedno zdanie brał żywcem z Kubali, Podobnie zrobił ze zdaniem wyżej przytoczonym (zob. „Ogniem i Mieczem“ wyd. Ossol. t. II, str. 292; I wyd. t. IV. str. 744), tylko... ocean Lodowaty Kubali szybko przerobił na „błota Meockie“, t. j. morze Azowskie, co oczywiście jednym pociągnięciem pióra usunęło gros tej skrajnej bezsensowności. Niewątpliwie takich przejawów zmysłu krytycznego Sienkiewicza, którym może nawet górował on nad współczesną historjografją tych wypadków, znalazłoby się wiele, ale to już jest zadaniem przyszłej krytyki literackiej. Wszystkie natomiast wyżej podane uwagi winny wystarczyć do przystąpienia do rzeczy właściwej, t. j. do zagadnienia walorów twórczości Sienkiewicza w polskiej powieści historycznej, oraz oceny historycznej i pedagogicznej dzieł zaczerpniętych z kart wieku XVII.

\* \* \*

Przedewszystkiem trzeba zerwać z aposterjorycznymi rozważaniami nad t. zw. Trylogją.

Jest to zasadniczy błąd myślenia w całej tej sprawie, spetryfikowany przez wszystkie historie literatury, by przytoczyć tylko Tarnowskiego, Feldmana, Potockiego, interpretacje szkolne Kridla i t. d. Fakt, że szereg dzieł przez samego nawet Sienkiewicza zostało później razem objętych określeniem Trylogji, oraz intencją „krzepienia serc“, tak samo jak to, że pewne postacie z „Ogniem i Mieczem“ kontynuują swą egzystencję w następnych powieściach, — niczego



jeszcze nie dowodzi. Prowadzi tylko do błędów, niezrozumienia roli, oraz utrudnia ocenę poszczególnych dzieł Sienkiewicza. Przykłady na to nieporozumienie, wynikłe ze słowa „Trylogja“, możnaby cytować tomami, wystarczy jeśli dla charakterystyki przytoczę, że profesor literatury Kallenbach („Twórczość Sienkiewicza — Rozwój Duchowy“. 1917 str. 123), chcąc wykazać, że Sienkiewicz naświetlał nietylko jasne, ale również i ciemne strony życia wieku XVII, udowadnia swą tezę postaciami z Trylogji, nie orjentując się zupełnie, że dla ilustracji pierwszej strony sprawy wskazuje bez wyjątku na postacie z „Ogniem i Mieczem“, a dla drugiej wyłącznie z „Potopu“.

W powodzi rozpraw, szkiców, impresji i t. d. o powieściach historycznych Sienkiewicza, o ile można do nich bez specjalnych poszukiwań dotrzeć, uderzyły mnie jednak trzy obserwacje. St. Tarnowski, człowiek, na którego oczach powstawała Trylogja, stwierdza wprawdzie (zupełnie zresztą bez podstaw) jednolitość założeń, zamiarów i celu moralnego w „Ogniem i Mieczem“ i Potopie“ (Hist. Lit. VI/2, str. 421), ale tuż dalej podkreśla (str. 423), że „Potop“ był może gruntowej rozważony, jego plan staranniej ułożony i t. d. Prof. T. Zieliński, zastrzegając zresztą wyraźnie swój charakter impresjonistyczny, stwierdza odrazu i kategorycznie, („Idea Polski w dziełach Sienkiewicza“ str. 34—40), że wartość pedagogiczną ma tylko „Potop“, ale wobec niewdawania się w genezę poszczególnych części, „Ogniem i Mieczem“ wydaje mu się rodzajem prologu, chociaż nigdy, jako prolog nie było ono pomyślane. J. Kleiner trafnie stwierdza, że Sienkiewicz w „Ogniem i Mieczem“: „przemienił historję w powieść“, a w „Potopie“; „napisał powieść wprawdzie świetną, ale tylko powieść historyczną“ (zob. u Czachowskiego 164), jednym słowem wy-czuł obydwie strony nieśmiertego „Dichtung und Wahrheit“, bez wchodzenia w powody i genezę.

Jednym słowem, myśl polskiej krytyki literackiej — przykładowo i dorywczo podana — tak zresztą, jak wszystkich czytelników, krążyła około zupełnie jasnej i ewidentnej różnicy między „Ogniem i Mieczem“, a „Potopem“, kładąc raz nacisk na pierwszą powieść ze względu na walory artystyczne, a raz na drugą ze względu na walory treściowe i pedagogiczne. Ten stan utrzymał się w miejsce stwierdzenia drogą badań genetycznych i wnikięcia w proces powstawania, że „Potop“ jest pod każdym względem przeciwstawieniem „Ogniem i Mieczem“, oraz że w tem właśnie leży ten istotny moment skali Sienkiewicza, który nie pozwala go zestawić ze znakomitym zresztą Dumas'em ojcem.

Dla przeprowadzenia tezy i podejścia genetycznego, z naciskiem na stronę historyczną, muszę przypomnieć kilka znanych rzeczy. Sienkiewicz, wzięwszy za pióro pod wrażeniem Szkiców Kubali i na

tle pewnego, słabego jeszcze, czytania się w wieku XVII, bynajmniej nie zamierzał pisać jakiejś Trylogji, ani żadnego planu takiego nie budował. Może właśnie dlatego stworzył jednym ciągiem trzy dzieła, nazwane potem Trylogją, które pod naciskiem czytającej publiczności powiązał pewnymi postaciami. To jest moment decydujący dla „Ogniem i Mieczem“, dlatego, że — oczywiście — plany napisania „Pana Wołodyjowskiego“, jako zamknięcia całości, wyglądają inaczej. Dla odmiany zaś, gdy Sienkiewicz znacznie później, chciał napisać Trylogję i takie wielkie dzieło planował (zob. np. Brückner II, 390), a to na tle ostatniej ćwierci XVII wieku, nigdy go już nie wykonał po niefortunnej pierwszej części „Na polu chwały“. Jak wiadomo, Sienkiewicz chciał napisać na jeden tom zakrojone „Wilcze gniazdo“ (m. inn. Kallenbach, str. 15), z tytułem wymyślonym następnie przez D. Henkiela (Czempiński, str. 92), pod którym się rozrosło do czterech tomów. Sienkiewicz, zresztą jak każdy artysta, o swojej własnej twórczości myślał również aposterjorycznie i w roku 1913 (ankieta „Świata“) na pytanie o genezę Trylogji odpowiedział aposterjorycznie, że powstała ona „z rozczytywania się w kronikach i pamiętnikach z epoki, którą odczuwał artystycznie mocniej, niż inne okresy dziejów, i z chęci pokrzepienia serc“. W rzeczywistości bynajmniej tak nie było. Planował zwykły romans polskiego rycerza z kniazlówną Kurcewiczówną, której szczytem miał być zbaraski triumf Skrzetuskiego. Bohuna w całej charakterystyce wziął żywceu dla swej fantazji z Kubali, obniżając go potem dla nastrojów czytelników, tak, jak przez sentyment autora i czytelników począł wyciągać do góry Zagłobę. Tymczasem pisaniu, rozpoczętemu z dnia na dzień, wszedł w drogę fakt, nietylko nieprzewidziany, ale przeciwny wszystkim ostrzeżeniom znajomych — niebywałego i nienapotykanego w Polsce entuzjazmu. Przyjęcie przez publiczność zrodziło w Sienkiewiczu świadomość, że cała myśląca Polska codziennie przeżywa jego słowa. „Ogniem i Mieczem“, poczęło nawet krążyć przed wyjściem w księżce — odpisach!

Cechą zasadniczą Sienkiewicza, jako człowieka, pozostanie aż do grobowej deski jego z myśl o odpowiedzialności najpierw wobec siebie i swoich dążeń, a potem od roku 1884 wobec narodu i historii. Już w ciągu pisania „Ogniem i Mieczem“ zaczyna siebie pogłębiać; dla świata „Czasu“, w którym jednocześnie swą powieść drukuje, daje u końca drugiego tomu scenę Wiśniowieckiego, którą wprawia w entuzjazm St. Tarnowskiego i pozyskuje mu cały świat szkoły krakowskiej. Równocześnie rozczytuje się coraz bardziej w źródłach, gdy początkowo żył głównie Weliczką i mało-wartościowym panegirykiem Maszkiewicza, którego nazwał „Kseno-fontem“ odwrotu Wiśniowieckiego.

Równocześnie w miarę postępu powieści, rodzi się w nim poczucie tej potrzeby, która mogła przyjść na myśl tylko powieściopisarzowi historycznemu Polski w rozbiorach, t. j. idei, w sensie wskazań dla ogółu, potrzeby zresztą czysto z zakresu ówczesnej Polski, gdyż w zasadzie to, co pisał, t. j. romans wpleciony w obraz historyczny, idei i wskazań dla narodu nie wymagał. Ciągłe bowiem jeszcze pisał tylko „powieść z lat dawnych“, a nie żadną Trylogję dla „pokrzepienia serc“.

Tymczasem, wobec założeń początkowych, na ideę było już za późno, ani też zasadnicze źródła Sienkiewicza nie dawały mu do tego podstawy myślowej. Podobnie wreszcie postać kniazia Jaremy można było obrazowo apoteozować, jak to zresztą zrobił Juljusz Kossak, ale przecież było trudno — mimo wysiłków — w jego rolę dziejową i czyny wcielić jakieś wskazania dla Polski, nawet drogą wkładania w niego marzeń, które faktycznie zwalczał. Zakończył swą powieść Sienkiewicz znanymi słowami „nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą“, chociaż przedtem nie naprowadzał ani jednego momentu, że to jest walka pobratymczych obozów, czy dusz, a natomiast rzekomą dzicz kozacką przeciwstawił apoteozie szlacheckich i oligarchji. Zwrócił już na to uwagę J. Kijas („Ruch Liter. 1927, str. 267), że Sienkiewicz we wspomnianej wyżej swojej recenzji Kubali w „Niwie“, uwagi swoje o tych czasach zakończył wręcz przeciwnym twierdzeniem, a mianowicie, „—rzecz godna uwagi i zastanowienia się — pamięci tych czasów nie towarzyszy nienawiść“ (XVII, 696). Nie spostrzegła jednak ta krytyka literacka dotychczas, że te dodawane przez Sienkiewicza na końcu słowa „o krwi pobratymczej“, tak często w opracowaniach cytowane, były już tylko beznadziejną, spóźnioną próbą dorobienia ideologii w sensie wskazań. Na wyrobienie bowiem idei w ciągu pisania było już za późno i nic dziwnego, że mu potem z takim ogromnym naciskiem przygwoździł z miejsca ten fakt Z. Kączkowski („Wędrowiec“ 1884, str. 483). Słusznie bowiem zapytał go Kączkowski w krytyce, do której powrócę: „jakaż jest myśl dziejowa w Sienkiewicza powieści? Jakaż jest myśl choćby samego autora? Szukamy jej wszędzie, ale nie możemy znaleźć?“

Rzeczywiście bowiem ten obraz historyczny, jakim jest „Ogniem i Mieczem“, najniewłaściwiej tłumaczony potem słowami i tendencjami znacznie późniejszymi, jest powieścią bezideową, zresztą głównie dlatego, że tej idei przewodniej dla całości nie mogły dać Sienkiewiczowi ani źródła, ani historjografja tych czasów. Jakkolwiek ten właśnie, początkowo ujemny, moment stanie się potem punktem wyjściowym roli Sienkiewicza, jako tego, który był „duchowym wodzem narodu“ (słowa Czempieńskiego i całej odnośnej literatury), jakkolwiek ten brak

ideowości nadał właśnie jego pierwszej historycznej powieści największy rozmach i najbardziej artystyczne ujęcie wśród wszystkich jego utworów, jest on powodem, że „Ogniem i Mieczem” jest dziełem, na stałe, niepedagogicznym, chociaż niewątpliwie było swego czasu odżywką regeneracyjną dla najlepszych stron duszy polskiej.

Co więcej — „Ogniem i Mieczem” stało się niemal przypadkowo dziełem, które zaciążyło w sposób wyjątkowo sugestywny, a ujemny, na polskim odczuwaniu tej kwestji, którą nazwałem drugoplanową dla Sienkiewicza i dla potrzeby krytyki „Ogniem i Mieczem”, t. j. na odczuwaniu sprawy kozackiej, czyli mówiąc po dziesięjszemu — ukraińskiej.

## CZĘŚĆ 2.

Skrupulatny rozbiór życia i stosunków Sienkiewicza w latach 1880—83 nie może nasuwać nawet cienia przypuszczenia, że chciał ugodzić w istniejący wówczas naród ruski, czy małoruski, krystalizujący się oddawna coraz bardziej w słowie „ukraiński”. Najwyżej można przypuszczać, że w swem przejawieniu barbarzyństwa Kozaczyzny i świata ruskiego chciał wziąć odwet na rosyjskiej niekulturalności, ciasnocie i cenzurze, na co w inny sposób warunki warszawskie nie pozwalały.

Tymczasem „Ogniem i Mieczem” w najwyższym stopniu ubodło i oburzyło świat ruski, czy ukraiński, by przypomnieć wśród innych ech (niesłusznie pomijany przez bibliografie) głos jednak znaczący Wł. Antoniewicza w „Kijewskiej Starini” (r. 1885, V. 44—78; Chmelnyczyna w powisty G. Senkewycza), powtórzony w r. 1917, pełen zarówno gorczy, z powodu rzekomej pogardy wobec Ukraińców, jak również uwag krytycznych o mylnem używaniu języka XVII w. i t. d. Rzeczywiście bowiem nie z winy Sienkiewicza, ale jego źródeł, które genialną fantazję pchnęły w fałszywym kierunku, „Ogniem i Mieczem” ciąży przez lat pięćdziesiąt na wzajemnem odczuwaniu swej przeszłości, zarówno ze strony polskiej, jak ukraińskiej, chociaż inspirator Kubala znalazł niezamierzone uzupełnienie z przeciwnej strony w postaci bardzo dowolnego ujęcia tych czasów przez Hruszewskiego i jego szkołę, oraz doczekał się ze strony ukraińskiej wszystkich objawów uznania. „Odwrócony obraz” bowiem, podany z genialną siłą sugestywności, wzrósł i wzrasta w serca młodzieży obydwu narodów.

Przy skrupulatnem jednak badaniu historycznem, przy badaniu z całą surowością i dokładnością metody, przełomowe te lata 1648/49,

które w fałszywym zwierciadle historycznym i literackim stały się jedną ze stale działających podstaw rozbratu uczuciowego między dwoma narodami, muszą—mojem zdaniem—po sumiennem ustaleniu wypadków i dążeń, stać się podstawą uczuciowego porozumienia i zbliżenia. Chociaż bowiem niema śladu tego stanu rzeczy w fabule „Ogniem i Mieczem“ była to jednak walka nietylko pobratymcza, ale nawskroś bratobójcza, gdzie przechodzenie z jednej strony na drugą i odwrotnie, np. wodza chłopów Gandży na stronę polską, a szlachty ukraińskiej coraz bardziej na stronę Chmielnickiego, było na porządku dziennym, gdzie dosłownie niemal brat walczył z bratem (Chmieleccy u Chmielnickiego i w chorągwi husarskiej Jaremy). Nie umiała jednak ówczesna historjografja tych wypadków wyjawić Sienkiewiczowi tej istotnej idei tych lat, którą wyczuwał zarówno Ossoliński, jak Chmielnicki, a rozumiał z całą jasnością Kisiel, że kontynuowanie całej tej walki w jej dwóch pierwszych latach (do śmierci Ossolińskiego 9. XII. 1650), było nietylko bratobójcze, nietylko bezcelowe, ale dla rozwoju stron obydwu szkodliwe do granic czasowego zaniku.

Interes Polski, uosobiony w dążeniach Władysława IV. i Jana Kazimierza, spięty osobą i polityką Ossolińskiego, nie był w tych latach rozbieżny z dążeniami Kozaczyzny, a co do pewnych punktów zdecydowanie zbieżny, jeśli chodzi o walkę przeciw władzy hetmańskiej i królewietom. Obydwie strony dążyły słusznie do wyłączenia w stosunkach między Kozakami, a królem, coraz bardziej się usamodzielniającej władzy hetmańskiej, oraz królewiat i tych starostów, którzy byli głównymi winowajcami. Pierwsze dokumenty Jana Kazimierza po elekcji, czy to pod datą 1-go, czy 21-go grudnia 1648, stwierdzają wobec Kozaków najdosłowniej, że „punkt waszej supliki, żebyście wojsko nasze zaporoskie pod władzą nas samych i Rzplitej zostawiali, a panów wiele nad sobą nie mieli—i my (Jan Kazimierz), tak, a nie inaczej mieć chcemy“ (zob. Arch. J. Z. Ros. III/4, str 40; cyt. za Michał. Ks. Pam, 218). Interes bowiem zarówno Polski, jak króla i Kozaków, polegał zgodnie na tem, aby mieć na swoich południowych rubieżach sobie tylko podporządkowanego hetmana Kozaczyzny, chociażby o dużym zakresie władzy i stanowiska, a to dla celów politycznych Polski na południowym Wschodzie. Losy i śmierć Ossolińskiego zrzędziły inaczej, chociaż jeszcze w traktatach zborowskich zaistniała dla takiego stanu rzeczy zdolna do życia podstawa.

W rezultacie bieg spraw Kozaczyzny zadał Polsce cios zasadniczy i trwały, ale równocześnie siłą dalszego rozwoju wypadków zniszczył te możliwości samodzielnego rozwoju narodowości ukraińskiej, jakie dla niej stworzył Chmielnicki w latach 1648/49, szukając dla Kozaczyzny, jako warunku realizacji istotnych jej dążeń, oparcia się

plecami o państwo polskie. Wiem, że są to poglądy, z którymi nie łatwo zechce się pogodzić z szeregu powodów polskie myślenie historyczne, a oczywiście jeszcze trudniejszą będzie na nie zgoda ze strony ukraińskiej, zwłaszcza ze strony Hruszewskiego i jego szkoły, krytykującej bezustannie i naiwnie Chmielnickiego przez pryzmat swych programów politycznych XIX, a raczej ściślej dopiero XX wieku.

Historjografja polska pod wpływem tych ciężących, a sugestywnych nastawień powieści, pisanych raz przez Kubalę z odsyłaczami, a raz przez Sienkiewicza bez odsyłaczy, nie chce widzieć, wbrew wszystkim aktom i dokumentom, że nie jakiś interes Rzeczypospolitej, ale czysto i wyłącznie finansowy interes, nawet nie wszystkich magnatów, czy większości szlachty ukraińskiej, lecz tylko Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego, był jedyną przeszkodą dla tego rozwiązania, dyktowanego przez interes stron obydwu. Kozaczyzna była uiewątpliwie olbrzymią siłą uderzeniową, dla której zniszczenia nie miała ówczesna Polska dość wojska zaciężnego, bo to „ladaco“ — według słów Ossolińskiego, — czyli pospolite ruszenie, było raczej tylko minusem. Poza tem nie leżało w interesie Polski zniszczenie Kozaczyzny, bo jej oczywistem zadaniem było przedewszystkiem zlikwidowanie Krymu i ustalenie stosunków na południowym Wschodzie w sposób, niedopuszczający do stałego i bezcelowego osłabiania sił państwa przez cały szereg wieków. Z drugiej zaś strony przeciąganie się walki Kozaczyzny z Polską niszczyło jakąkolwiek możność państwowego odrodzenia się przyszłego narodu ukraińskiego. Kozaczyzna wojskowo potężna, ale tylko w czasie powszechnej mobilizacji, państwowo była zbyt słabą, by się utrzymać samodzielnie między trzema wielkimi blokami państwowemi: polskim, tureckim i moskiewskim. Jedynie w oparciu się następnem o Polskę, — jak to długo jeszcze rozumie dobrze Chmielnicki i Wyhowski, — mógł ruch Chmielnickiego przynieść ówczesnemu narodowi kozackiemu dłuższy, a konieczny, k r e d y t c z a s u, by zrodzoną podstawą rozwinąć ku czemuś pozytywnemu i stałemu.

Walka lat 1648/49 była nietylko bratobójczą, nietylko bezcelową, ale mimo wysiłków wybitnych głów tego czasu — szkodliwą dla stron obydwu.

Oto jest ta idea dziejowa i wskazanie czasów „Ogniem i Mieczem“, którego Sienkiewicz nie mógł znaleźć w swych źródłach, a które mimowoli swoją przepotęzną i nieprzewidzianą sugestją przystosował odczuwaniu narodowemu zarówno strony polskiej, jak ukraińskiej. Niewątpię, że po wyswobodzeniu się z tej powieściowej sugestji, myślenie naukowe pójdzie ze stron obydwu po innych linjach. Z polskiej strony po takiej, jaką zainicjowałem — rewizji nastawień Kubali i prac najnowszych o niego opartych. Rozpoczyna się ona również po stronie ukraińskiej — wycho-

dząc zresztą z zupełnie innych założeń, a może także dla odmiennych rozwiązań, — jako rewizja poglądów Hruszewskiego i jego szkoły, zwłaszcza w odniesieniu do osoby Chmielnickiego, podjęta przez profesora M. Kordubę (*Der Ukraine Niedergang u. Aufschwung. w. t. VI. Zeitschrift f. ost.—europ. Gesch.*).

W każdym razie postęp na tem polu przejawia się chociażby w tem, że tak chętnie czytaniem do niedawna popisami naukowymi w stylu „dzieł“ Rawity-Gawrońskiego nikt się dziś już nawet nie chce zajmować.

\* \* \*

Jakkolwiek wszystkie moje krytyczne uwagi o obrazie odwróconym w „Ogniem i Mieczem“, o bezideowości historycznej tej powieści, o ujemnym jej wpływie na wzajemne odczuwania polsko-ukraińskie, oraz o jej niepedagogicznym charakterze, zdawałyby się pozornie wskazywać na intencje negatywnej oceny Sienkiewicza, — to właśnie wszystkie te zastrzeżenia odnośnie do „Ogniem i Mieczem“, przy oczywistem wyłączeniu strony artystycznej, są punktem wyjścia dla stwierdzenia słusznej podstawy w wielkości jego stanowiska w dziejach myśli i odczuwań polskich.

Oczywiście ta droga dowodu, czy wniosków jest do osiągnięcia tylko przez genetyczne podejście do całego zagadnienia.

Z konieczności i dla wyrazistości sprawy, muszę poprzedzić me wywody dygresją o Aleksandrze Dumas'ie (ojcu), którego rola i dzieła były i są tak bezustannie łączone z ocenami Sienkiewicza. Nie chodzi mi bynajmniej przy tem zagadnieniu o sprawę wpływu „Trzech Muszkieterów“, względnie całej wcześniejszej twórczości Dumas'a na Sienkiewicza, która zresztą należy do zagadnień już opracowanych. Jeśli jednak w dyskusji, czy artykułach rzucono mi również kontrargument, że „Dumas'owi nikt do źródeł nie zaglądał“, to muszę przypomnieć, że krytyka literacka francuska poświęciła całą literaturę źródłom Dumas'a. Co więcej — przypadek, że „Memoires de Mr. d'Artagnan“ wpadły przypadkowo do rąk Dumas'a, że stamtąd zaczerpnął gros swojej treści i całą swoją czwórkę, stało się powodem ponownych wydań (już od 1847) i tłumaczeń rzekomych pamiętników d'Artagnana, oraz zainteresowania krytyków dla ich twórcy Gatiena de Coartils de Sandras, któremu odgrzebano z powrotem wszystkie jego dzieła. Znacznie później dopiero, bo w roku 1910 — 1912, — wobec faktu, że francuską rycerskość spopularyzował w Europie właśnie Dumas, — historycy francuscy J. de Jaurgain i K. Samaran dogrzebali się nie tylko dziejów prawdziwego d'Artagnana, ale zbadali skrupulatnie wszystkich jego towarzyszy, stosunki, dzieje i genealogje po babki i prababki (ostatnie wskazówki bibliograf. u F. Wencknera: „Kriegs-u

Liebesabent. des d'Artagnan". wyd. Ullsteina, 1919). Jakżeż ubogiemi i metodycznie nierozwiniętymi są nasze studia nad Sienkiewiczem, — z wyjątkiem zagadnień „Quo vadis“, — w porównaniu do pracy francuskiej nad Dumas'em, a to mimo tych wszystkich dwustu wspomnianych rozpraw i t. d., o twórczości Sienkiewicza?

Tymczasem, właśnie porównanie Sienkiewicza z Dumas'em jest, po krytyce historyczności „Ogniem i Mieczem“, drugim kluczem zarówno do oceny Sienkiewicza, jak stwierdzenia jego wielkości. Oczywiście, również przy tem zagadnieniu musimy myśleć genetycznie i nie odnosić się do twórcy „Trzech Muszkieterów“ przez pryzmat dzisiejszych gadek, że jest to lektura dla pokojówek. Znakomita ta i wartościowa powieść cieszyła się zasłużonem uznaniem Sienkiewicza, w każdym razie nie idącym tak daleko, jak zachwyty Zygmunta Krasińskiego, który „Trzech Muszkieterów“ uważał za epopeję europejską“ (zob. „Wędrowiec“ 1889 str. 338). Przy zestawieniu bowiem tych dwóch powieści: „Trzech Muszkieterów“ i „Ogniem i Mieczem“, genetyczne podejście, — dla którego cała „wpływołogia“ drogą aposterjorycznych analogji jest rzeczą raczej drugorzędną — musi stwierdzić, że w pracy twórczej Dumas'a najlepszą rzeczą było jego źródło, a w pracy Sienkiewicza właśnie stroną najgorszą — jego źródła historyczne, zarówno rzekomo współczesne, jak opracowania.

Wchodzi pozatem drugi czynnik — człowiek! By przypomnieć rzeczy znane, — szalone powodzenie powieści dumasowskich, zaprowadziło go całkiem gdzieindziej, niż Sienkiewicza. Sienkiewicz przestaje przez pewien czas pisać, a Dumas, pisząc równocześnie na prawo i lewo odcinki powieściowe, dochodzi w błyskawicznym tempie do wręcz nieprawdopodobnych na swoje czasy dochodów literackich, bo około 200,000 fr. rocznie, oraz procesów, w których mu wykazano, że najbieglejszy szybko-pisarz nie potrafiłby tyle przepisać, wiele on się zobowiązał dostarczyć rozmaitym wydawcom, w ustalonych rozmiarach i terminach dostawy. Nic dziwnego, że Dumas nie utrzymał się nawet na poprzednim poziomie, a o jego pogłębianiu się szkoda wogóle mówić.

Sienkiewicz natomiast, niewątpliwie najwybitniejszy przedstawiciel duchowy Polski z ostatnich dziesięcioleci XIX wieku, ale jeszcze z doby przedrewolucyjnej Polski wieku XX. miał w sobie — jak wspominałem — w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie odpowiedzialności wobec narodu i historii. Moment ten będzie nie tylko kierował całym jego życiem, ale stanie się nawet powodem jego późniejszej literackiej regresji i ujawnienia swego rozminięcia się z rewolucyjną epoką Polski, której przeciwstawić się uważał za swój obowiązek, a która go wyprzedziła. Sienkiewicz bowiem nie kontynuuje siebie



nadal w tej formie, w jakiej rozpoczął swój sukces, ale zmienia zasadniczo swoje „ja“ w latach 1884 – 86.

Dwie rzeczy, pozornie sprzeczne, zadecydowały o zmianie wewnętrznej Sienkiewicza: powodzenie i krytyka. Niebywały entuzjazm dla „Ogniem i Mieczem“, wręcz odmiennie, jak u Dumas'a, nakazał mu konieczność liczenia się z efektem swego słowa, który poprostu cała czytająca Polska przeżywała. Równocześnie jednak przyszła wszechstronna i poważna krytyka. Z całej literatury o „Ogniem i Mieczem“ zachowają zawsze swą wartość wszystkie artykuły o tej powieści, które wyszły w r. 1884/85, a więc Tarnowskiego, Kraszewskiego, Chmielowskiego, Świętochowskiego, Jeża, Prusa, Dzieduszyckiego, nie mówiąc już o całej plejadzie mniej wybitnych (tyt. u Korbuta). Spotkały wówczas Sienkiewicza, obok peanów St. Tarnowskiego, który, wobec faktu apoteozowania szlachetczyzny i arystokracji, stracił wogóle wszelką równowagę sądów, ucząc na wykładach, że „Ogniem i Mieczem“ przewyższało Shakespear'a, Milтона, Tassa i Goethego na przyczynkę, — ostre słowa i ciężkie zarzuty, chociażby Prusa i Jeża. Nikt bowiem nie byłby się domyślał w ocenach Sienkiewicza lat 1884/85 przyszłego autora „Potopu“, a raczej na porządku dziennym były uwagi Świętochowskiego, że Sienkiewicz zaimponował mu „biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach“. Nie moją zaś pracą jest naprowadzanie tych wszystkich kąśliwości o snobizmie Litwosa — Sienkiewicza, wstydliwie przykrywającym ową „kamieniczkę“ na Pradze, jakimi raczyli go w czasach przed 1883 koledzy-dziennikarze. Są to oczywiście momenty decydujące dla oceny poszczególnych części t. zw. Trylogji, którą się później z zamiłowaniem na tysiącach stronice stale „hurtem“ omawia.

Niewątpliwie jednak wśród głosów krytyki najbardziej zaważyć musiały na szali artykuły Zygmunta Kaczkowskiego, które, ukazując się przez trzy miesiące (od 5. VIII do 5. X. 1884). w cenionym i poczytnym „Wędrowcu“, trzymały całą inteligentną opinię w napięciu. Ponownie musimy potraktować osobę i stanowisko Kaczkowskiego genetycznie, a nie przez pryzmat tych nikczemności, o których teraz o nim wiemy, ani przez pryzmat jego obecnego stanowiska w dziejach naszej literatury. Przed „Ogniem i Mieczem“, był Kaczkowski najznakomitszym powieściopisarzem szlacheckiej Polski, a zarazem w swem starciu z Sienkiewiczem nieporównanie lepszym znawcą XVII wieku, który dzięki znajomości zbiorów Ossolineum, mimo pobytu w dalekiej Francji, w niejednym przewyższał Kubalę. Wprost szkoda, że uwagi Kaczkowskiego o Jeremim Wiśniowieckim. rozproszone w literackim artykule nie dotarły do naszej historjografji, a to mimo tego że nie niłał w Paryżu przy sobie żadnych źródeł, nie znał publikacyj

niepolskich, a mylił się w ocenach wojskowych Jaremy, jak wszyscy wychodzący w sądach z djarjuszy jego dworzan, których cześć przechwaja Ossolineum. Nic dziwnego więc, że ciosy krytyki zadane młodemu choć wulkanicznemu i olśniewającemu wybuchowi sukcesu Sienkiewicza, musiały zaważyć na jego rozwoju, chociażby ze względu na ówczesną wagę gatunkową wymienionych nazwisk, oraz zarzuty, że „uległ wpływowi kastowej tradycji“, oraz że „Matejko stoi o cały świat wyżej od niego, o cały świat ducha“, co w stosunku do autora „Ogniem i Mieczem“ było niewątpliwie słuszne.

Wszystkie te momenty, które oczywiście mogą tylko szkicować, przebudowały psychikę Sienkiewicza, pogłębiły go nieporównanie w stosunku np. do autora „Na jedną kartę“ z roku 1881, gdzie nie brak jeszcze tonów i wyrażeń, niesłychanie przypominających głośną — Mniszchównę.

Sienkiewicz rozszerza w szybkim tempie pod wrażeniem krytyki swe wiadomości historyczne. Zarazem jednak, pod wpływem niebywałego sukcesu, wzrasta w nim w stosunku do polskiej przeszłości, a zwłaszcza polskiej arystokracji, jego samopoczucie i prawo sądu. Pozwólą mu one w przyszłości nie być nadal tym autorem „Ogniem i Mieczem“, który np. wspominając o Czetwertyńskim, zapuścił zasłonę na dalsze szczegóły, zawarte w czytanej przez siebie źródle (Michał Ks. Pam. str. 157).

Przedewszystkiem jednak zmienia się w tych latach 1884/85 stosunek Sienkiewicza do dziejów Polski, a jego zrozumienie naszej przeszłości obraca się na coraz rozszerzanej osi znajomości źródeł i literatury — o całe sto osiemdziesiąt stopni.

Jeśli poprzednio dzieje Polski w momencie przystępowania do pracy nad „Ogniem i Mieczem“ ciągnęły go jak krynica, w której chciał się zanurzyć — według własnych słów — w ucieczce od „bohaterów-liliputów, od rozczulania się na kwincie za cienko brzmiącej“ (Feldman, „Współcz. Lit. Pol.“ VI wyd. str. 94), to obecnie stają mu się one źródłem idei, których mu przedtem brakowało. Przeszłość Polski staje się dla niego instrumentem, na którym mu każe grać już nie tylko pęd artystyczny, ale poczucie odpowiedzialności wobec czytającej polskiej masy narodowej. Ziarna rozrodzce tego zwrotu można już było wyczuć w roku 1880 w wyborze Szujskiego, a nie Kubali, dla osoby Jana Kazimierza. W tym to zwrocie zasadniczym, uplastyczniającym się szczególnie na dziejach autora] „Trzech Muszkieterów“, a „Ogniem i Mieczem“, tkwi cała wielkość Sienkiewicza, cała racja, że określenie go, jako „duchowego wodza narodu“ nie brzmi nawet dziś jeszcze w Polsce kakofonicznie. Choć nie powiedział tego nigdzie wprost, (oczywiście, o ile mogłem to stwierdzić), dał Sienkiewicz swemi dziełami, a przedewszystkiem „Potopem“, wyraz i dowód, że

pogłębiając się, zrozumiał to, czego — niestety — jeszcze dziś wielu ludzi nie rozumie.

Dzieje dawnej Rzeczypospolitej, od XVII wieku począwszy, to nie książeczka z malowanymi, to nie wzruszające „Wieczory pod lipą“ to nawet nie budujący i barwny dramat powieściowy, ale tragedia, bo tragiczne było rozwiązanie. Co więcej — ta tragedia dziejów polskich nie była bynajmniej tragedją sytuacyjną, jak wynika z podejścia Sienkiewicza w „Ogniem i Mieczem“, gdzie garstka szlachetnych bohaterów odpiera z sukcesem, dzięki swym cnotom, nieprzejrzane tłumy kozacko-tatarskiej dziczy, ale rzeczywistą tragedją psychologiczną, w której olbrzymie państwo staje się łupem garstki najeźdźców, jak to — mimo wszystkich swych założeń i intencji optymistycznych, oraz uświadamianej sobie idei „krzepienia serc“ — pokazał nam Sienkiewicz już w „Potopie“.

Nie jakieś fakty, czy struktura fabuły, podyktowały Sienkiewiczowi tę zmianę podejścia, ale dwuletnie przemyślenie tego, co przeczytał, a na co jeszcze, planując jednotomowy romansik „Wilcze gniazdo“, nie miał ani czasu, ani potrzeby. Lata, do których się posunął, były przecież okresem pewnego rodzaju regeneracji, chociaż krótkotrwałej, a zwłaszcza widocznej na tej, najbardziej przez Sienkiewicza opisywanej, dziedzinie t. j. wojskowej. Teraz w latach „Potopu“ ta sama jazda, która w 1648 za przykładem i pod wodzą Jaremy uciekła w panice, bez walki, z pod Piławiec do Warszawy, czy aż za Wisłę, gdy innych znalazła wodzów, tych rzeczywistych już bohaterów z „Potopu“, idzie naprawdę szarżą „rysią“ na najlepszego żołnierza w ówczesnej Europie. Teraz nawet szlachta wielkopolska tworzy partje, które biją się ze Szwedami, jedno tylko pospolite ruszenie, jak zawsze, powoduje przejściową przegraną pod Warszawą, mimo dwukrotnej przewagi liczebnej. Jest to bowiem ze stanowiska wojskowego objaw zupełnie naturalny, a znany zbyt dobrze całemu narodowi francuskiemu, który mimo to nie ukrywa pod korcem, że pierwsze wojska rewolucji francuskiej uciekały w popłochu, póki nie dostały organizatora w Carnocie, a dowódców w przyszłych marszałkach napoleońskich. Sądzę — by zaznaczyć tak całkiem nawiasem — że nasze, polskie samopoczucie powinno już być dziś dość silne i świadome celu, by te zagadnienia w ten sam sposób stawiać.

„Potop“ bowiem, jak już zaznaczyłem, jest krańcowem przeciwstawieniem „Ogniem i Mieczem“, jako koncepcja autora, jej przeprowadzenie, budowa, rozmieszczenie treści i przestrzeganie od początku pewnej idei, w sensie wskazań politycznych dla narodu. Jest to moment stwierdzony wogóle w twórczości Sienkiewicza, bo uwidoczniający się bez podstaw historycznych i genetycznych w stosunku „Rodziny Połanieckich“ do „Bez Dogmatu“. By dojść zaś do faktu prze-

ciwstawiania się sobie „Ogniem i Mieczem“ i „Potopu“, bardziej celowe, niż rozczytywanie się w tem, co się komu w „Trylogji“ podoba, będzie rzucanie okiem chociażby tylko na pierwsze stronic „Potopu“.

Sienkiewicz porzuca swe stracone pozycje ukraińskie, przenosi się w dzielnicę, gdzie z poczuciem prawdy dziejowej mógł szukać dla tych lat postaci dodatnich. Na tym terenie ustawia je w takich charakteryzacjach, w jakich mogły istnieć, bo już wtenczas obojętnem jest, jakimi w swoich szczegółach były. Dodatnie bowiem postacie „Potopu“ mogły istnieć, ale sfantazjowani tak pięknie bohaterzy „Ogniem i Mieczem“ są historyczną niemożliwością. Znika niebo-pienna cnota Skrzetuskiego, w służbie kniazia Jaremy z pod Piławiec i Lwowa, która dla kogoś znającego wiek XVII jest czemś tak nie do strawienia, jak byłby w powieści dnia dzisiejszego ascetyczny mnich, zarabkujący na życie, jako tancerz. Zjawia się człowiek wieku XVII z krwi i kości, postać nie tylko najlepsza całej „Trylogi“, ale żywa, prawdziwa, a dodatnia, — Kmicic, obok którego godnie może stanąć tylko Maćko z Bogdańca.

Wraz z wymianą bohaterów odwrócony w „Ogniem i Mieczem“ obraz rzeczywistości dziejowej wraca z miejsca od pierwszych kart do normalnego położenia. Dwór Kmicica, z wszystkimi jego zabijakami, bije nie tylko talentem, ale życiem i prawdą, a równocześnie od pierwszych stronic poczyna się Sienkiewicz z „Potopu“ przeciwstawiać autorowi „Ogniem i Mieczem“. Jeśli w „Ogniem i Mieczem“ nie wahał się Sienkiewicz w pierwszych częściach dać rodzaju aprobaty, że Jarema bez sądu i prawa ku temu, mordował tak, by „czuli, że umierają“, to w „Potopie“ „regalistka“ Oleńka z miejsca zapłonnie ogniem oburzenia i groźby, że jej Kmicic „łyčzków“ Upity kazał sprać batogami za niedawanie żywności jego żołnierzom. Możliwy tak punkt za punktem zestawiać i porównywać myśli i osądzanie ówczesnych zagadnień przez autora „Potopu“, a autora „Ogniem i Mieczem“. Jest to praca krytyków, wystarczy jeśli zwrócę uwagę, że ten pogłębiony autor „Potopu“ ma już tony przemyślanej, smutnej, a niepodkreślanej palcem ironji, do której autor „Ogniem i Mieczem“ nie był jeszcze przygotowany. Np. miecznik Bilewicz — postać dodatnia — wódz partji powstańców przeciw Szwedom, z głębi przekonania mówi „a cóż jest Ojczyzna, jeśli nie zbiór praw, przywilejów i wolności, stanowi szlachekiemu przysługujących“ (wyd. Ossol. III — 159). Podobnie — jak już wspomniałem — kończy się wyłączenie szlachecka w bohaterstwie, a Sienkiewicz, przy utrzymaniu zasadniczego tonu znajduje słowa dla innych warstw. Nawet strona czysto fabularna pogłębia się z odejściem od elementów dumasowskich, zresztą — jak wiadomo — najbardziej „biorących“ szerokie masy czytelników. Bohater powieści

— Kmicic — nie jest od dziecka wielkoludem, ale udoskonala się i uczy, chociażby szermierki, przez całe sześć tomów. Wystarczy w zamknięciu tych kilku uwag zwrócić chociażby uwagę na różnice planu i budowy obydwu powieści. W „Ogniem i Mieczem“ poszczególne tomy kończą się naprzemian bądź to punktami zwrotnymi romansu, bądź wypadkami batalistycznymi, dla „Potopu“ punktami zwrotnymi są już przejawy zmian psychicznych Kmicica, czyli ówczesnej duszy polskiej.

Prowadzi oczywiście za sobą Sienkiewicz również swoich bohaterów z „Ogniem i Mieczem“, gubiąc ich zresztą po drodze, w miarę możliwości, — w osobie Skrzetuskiego, a rozbudowując coraz bardziej najlepszą atrakcję powieściową — Zagłobę, oraz wypełniając i pogłębiając treść Wołodyjowskiego, z którego zrobi potem historycznie prawdopodobnego żołnierza, zawodowego obrońcę Polski. Wszak całe czytelnictwo polskie domagało się listami, manifestacjami i t. d. dalszego ciągu losów bohaterów z „Ogniem i Mieczem“, co zresztą odbiło się i odbić się musiało na fabule dalszych powieści Sienkiewicza. Zniknął tylko pod wpływem uderzeń krytyk z lat 1884/85 — typ Jaremy. Zapoteozowany i jednolity typ polskiego możnowładcy w. XVII rozkłada się teraz u Sienkiewicza z „Potopu“ z swej fikcyjnej wielkości na realną ambicję, zarówno zaborczą, jak zdradziecką, nikczemność, lub próżność, Janusza i Bogusława Radziwiłłów, Radziejowskiego, Jerzego Lubomirskiego, bo Sapiesze i Zamoyskiemu została w uznaniu tylko poczciwość. Sienkiewicz „Potopu“, wzmocniony w swem samopoczuciu sukcesem r.1883, nie ma już fikcyj wiszących w powietrzu, ani drobnych koncesji i poszukiwań „znakomitych“ nazwisk mimo, że np. Zamoyscy mają niezłą hipotekę w naszych dziejach.

Zadadzą mi może czytelnicy tych artykułów pytanie, czy późniejsze, a nie przewidziane części „Trylogii“ są zgodne z prawdą dziejową XVII wieku. W tem miejscu pora wypowiedzieć to stanowisko, które uważałem za niedopuszczalne przy „Ogniem i Mieczem“, a które najlepiej sprecyzował sam Sienkiewicz, stawiając postulat dla strony historycznej, by powieść „nie przekreślała historycznych zdarzeń“, a więc istotnej treści dziejów. „Jeśli autor tak czyni, ujma spadać powinna na niego“, („O powieści historycznej“. Pisma nieob. wyd. zbior. I str. 97), co nie może oczywiście odnosić się do niego samego, gdyż subiektywnie chciał dać prawdę. Pozatem, — zdaniem Sienkiewicza — „chodzi o to, by owe zdarzenia prywatne były logicznie zgodne z barwą i nastrojem danej epoki“ (tamże 101). Jednym słowem, warunkiem powieści historycznej powinien być zgodny z rzeczywistością nurt spraw i ludzi, a dlatego rzeczą raczej obojętną dla czytelników, choć niewątpliwie zasługującą na uwagę krytyków literackich, jest zaga-

dnienie, o ile szczegóły fantazji zbliżają się do prawdy historycznej. Z pewnością nie byłbym zabierał głosu w sprawie „Ogniem i Mieczem“ np. dlatego, że rzeczywisty Bohun był ciężko ranny, ku wielkiemu zmartwieniu Chmielnickiego, przy brawurowym czynie pod Zbarażem, — o czym Sienkiewicz nie wiedział, — a nie w tych wszystkich walkach i pojedynkach, jak to opowiada „Ogniem i Mieczem“. Podobnie istoty rzeczywistego obrazu w „Potopie“ nie naruszy zagadnienie, czy Tatarami już od Lwowa i marca r. 1656 dowodził powieściowy Kmicic-Babinicz. Pewne głębsze nawet błędy, a raczej opuszczenia, wyniknęły automatycznie z kontynuowania dziejów postaci, wprowadzonych w „Ogniem i Mieczem“. Patrjalchalna księżna Gryzelda w rzeczywistości pustoszyła przy pomocy Wiśniowieczyków w r. 1666 dobra Zamoyskich („Prawem i Lewem“ I — 67). Tak samo nie mogli bohaterowie „Potopu“, t. j. Czarnieccy przychyłać się ku wyborowi syna Jaremy, bo tych prawdziwych „regalistów“ „Potopu“, (wśród których Sienkiewicz umieścił Michała Wołodyjowskiego we wstępie (str. 2) do „Pana Wołodyjowskiego“) zaskoczonych w moczarach Noteci, wyrznęły do nogi pod Mątwami szable polskich rokoszan Lubomirskiego, z okrucieństwem i barbarzyństwem (por. Szujski III — 467). nienapotykanem między walczącymi wojskami w wojnach kozackich 1648/49. Możliwość dojścia do skutku wyboru Piasta, czy Michała Wiśniowieckiego, była właśnie uwarunkowana wyróżnieniem bohaterów „Potopu“, moment, który przeskoczył Sienkiewicz celowo i świadomie, przechodząc odrazu w toku fabuły „Pana Wołodyjowskiego“ do czasów po abdykacji Jana Kazimierza.

Po „Ogniem i Mieczem“ i dyskusjach lat 1884/85 stale już będzie towarzyszyć powieściom historycznym Sienkiewicza tak charakterystyczna dla polskiego sposobu myślenia, nawet w artyźmie, idea, czyli wskazania dla narodu, odąd konsekwentnie przeprowadzana w „Potopie“, w „Panu Wołodyjowskim“, w „Krzyżakach“, oraz w „Quo Vadis“, gdzie nawet ogólnościatowa ideologia ma przez osobę Ligji swoje polskie zabarwienie. Sienkiewicz bowiem, stanąwszy raz wysoko niebywałym sukcesem „Ogniem i Mieczem“, — potrafi, dzięki swemu zmysłowi odpowiedzialności, sztandar swój trzymać wysoko.

Innem już zagadnieniem jest sprawa wykresowej krzywej artyżmu, po której wyżywa się jego talent. Sienkiewicz jest wybitnie talentem ewolucyjnym, który się wyrabia. Po rzeczach zdecydowanie słabych, trafia na najwłaściwszą sobie drogę w powieści historycznej i po uświadomieniu sobie plusów i minusów, pracuje stale nad sobą, by się utrzymać na wyżynie. W żadnym może zrębie jego twórczości nie przejawia się to tak, jak w trzech powieściach, objętych potem przez niego samego koncepcją Trylogji, z których każda jest reprezentantką innej fazy i innych cech jego twórczości.

„Ogniem i Mieczem“ jest nieskalkulowanym wybuchem genialnego talentu powieściopisarskiego, którego jeszcze nie hamują „ale“ źródła, ani też naogół obowiązki odpowiedzialności za wpływ na czytelnika. „Potop“ jest pomnikiem wypracowanej głębokości Sienkiewicza, która nigdy nie pozwoli mierzyć go skalą Dumas'a, chociaż niewątpliwie poczucie odpowiedzialności, założenia moralne i pedagogiczne zaciążyły siłą rzeczy poprostu ujemnie na piórze i artyźmie autora „Ogniem i Mieczem“. Narracyjny i sielankowy charakter „Pana Wołodyjowskiego“ z wytwornie ukrytą ideą słów Wołodyjowskiego do Basi: — „nic to“, jest wyrazem scharmonizowania obydwu poprzednich elementów, przy widocznym wyczerpaniu napięcia zarówno pierwszego, jak drugiego. Syntentyczni krytycy literaccy lepiej od piszącego te słowa wytłomaczą, czy, jak, i dla czego w tem ujęciu „Trylogji“ są do odszukania przejawy filozoficznych koncepcji Hegla o dziejach i rozwoju ducha ludzkiego.

Scharmonizowany Sienkiewicz utrzymuje się długo na zdobytych wysokościach, by potem swą linię ewolucyjną gwałtownie obniżyć, z uderzeniem nietyle wieku XX, ile z nadejściem Polski doby rewolucyjnej. Zarówno na terenie powieści historycznej był wyczerpany, jak w zakresie powieści współczesnej, co stwierdzają „Wiry“. Odżywa jeszcze raz niezrównanie twórczość Sienkiewicza, gdy przenosi się na zupełnie nietknięty dotychczas teren, — powieści dla młodzieży, tak jak zmysł odpowiedzialności odżyje w całej pełni z uderzeniem wielkiej wojny, już nie dla pisarza, ale dla człowieka. Opuści najpierw teren rosyjski, potem austriacki, by dokonać żywota na ziemi neutralnej, przy pracy przez wszystkich cenionej, nie pozwalając się np. w sprawie aktu 5 listopada, pociągnąć ku protestom, t. j. ku krokom, z którymi jego zmysł odpowiedzialności się nie zgadzał.

Obok bowiem genialnego talentu z łaski Bożej, który przyniósł „Ogniem i Mieczem“, resztę późniejszej spuścizny Sienkiewicza, nietylko wielkiej, ale także słabej, musimy rozpatrywać pod kątem tego pokolenia, uplastyczniającego i wypowiadającego się obok niego np. w ówczesnym dorobku krakowskiej Akademji Umiejętności, które, działając po powstaniu styczniowym, a przed ruchami rewolucyjnymi wieku XX, pracą naukową i literacką rozumiało nie jako pole efektu i sukcesu osobistego, — ale jako sobie wyznaczoną służbę dla ojczyzny.

## Pokłosie dyskusji o historyczności „Ogniem i Mieczem“

Rozstając się z kwestją historyczności „Ogniem i Mieczem“, oraz ze związanymi z tem uwagami, czy próbą genetycznego podejścia do twórczości Sienkiewicza, siłą rzeczy poczuwam się do obowiązku odpowiedzenia na niektóre z zagadnień, czy zarzutów, jakie padły w czasie ukazywania się mych artykułów w „Pionie“.

Ogólne przesunięcie się dyskusji z poziomu pierwszych ataków na wysokość debat, uwalnia mnie od zajmowania się początkowymi przejawami w prasie, oraz szczegółami pewnych sprawozdań. Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności zaznaczenia tego, jak serdecznie ubawiłem się, gdym się dowiedział, że zdobycie wszystkich stopni uniwersyteckich, członkostwo akademii zagranicznej, studja słynnej Ecole de Chartes, ba,—nawet uniwersytet jezuicki St. Joseph, obok dyplomu wyższej szkoły wojennej, nie uwalniają w Polsce od wydrukowania mi zarzutu „przygodnego historyka o domowym wykształceniu“. Cieszyłem się również, gdy z widoczną życzliwością nazywano mnie młodym, gorzej — gdy ci, którzy nigdy nie zaczęli i niczego nie zaczęli, traktowali mnie per „początkujący“, chociaż me pierwsze obserwacje o polityce polskiej wieku XVII, przed przejściem do średniowiecza, drukowałem niestety już lat równo 25 temu, a przeszło lat dwadzieścia poważne wydawnictwo niemieckie wydało tłumaczenie mojej rozprawy (Quell u. Darst XVIII—1913). Co więcej — już dawno temu w słowach bułgarskiego profesora Deczewa, publikującego wyciągi z mej pracy łacińskiej z r. 1916, wyczyłem, jakgdyby uważał mnie raczej już za nieboszczyka.

Przy tej okazji i z tych tytułów chciałbym poprosić oponentów mych poglądów historycznych, z których niektórzy również w prasie codziennej poważnie do zagadnień podchodzili, by w polemicznym przeciwstawieniu się nie opierali się wogóle na opracowaniach tych spraw, ale wyłącznie na cytatach z oryginalnych wydawnictw źródłowych.



Np. bowiem ustępu w liście Wiśniowieckiego z 20. V. 1648 o oczekiwaniu rozkazów hetmańskich z niecierpliwością, który mógłby w pewnej mierze podważać moją koncepcję kłęski korsuńskiej, w tekście—niemal Podobnie np. Maszkiewicz, djarjusze zbaraskie zawierają szereg niemożliwości, kłamstw i nonsensów, dopiero więc po krytyce szczegółowej mogą być używane, jako źródła wiadomości.

Wreszcie mniej poważnie do zagadnień podchodzących oponentów, proszę uprzejmie, żeby — jeśli czegoś na problemach, lub wyrażeniach nie rozumieją, — chcieli łaskawie ten brak zrozumienia stwierdzać wyłącznie w własnym imieniu, a nie również w mojem.

Po tym małym wyskoku złośliwej satysfakcji muszę przejść do poważnego zarzutu, którego pewną dozę słuszności uprzedzałam w pierwszych słowach moich artykułów, a który nawet ostatnio został podniesiony w prasie (m. in. prof. Wł. Konopczyński. „ABC” 1934—Nr. 1), a mianowicie dlaczego nie czekałem z moimi wnioskami na napisanie sporej i dokładnie udokumentowanej rozprawy, czy pracy na ten temat. Jest to bowiem zarzut, który może być poważnym w odniesieniu do zawodowego historyka.

Przedewszystkiem chodziło mi o problem literackiej twórczości Sienkiewicza, przyczem zdawałem sobie sprawę, że najważniejszym wogóle zagadnieniem jest kwestja wychowania obecnego pokolenia, którego sprawy nie mogą, czy raczej nie powinny czekać nie tylko latami, ale nawet miesiącami. Rola zaś wszystkiego, co jest związane z Sienkiewiczem, była i jest jeszcze może ciągle w tem tworzeniu duszy polskiej tak olbrzymia, że każdy szczegół nabiera wagi. Jest w mem najszczerzem przekonaniu o wiele ważniejszem, co będą wiedzieć i co przemyślą na te tematy w najbliższych miesiącach i latach setki nauczycieli literatury i historii, nawet po zapadłych kątach Polski, niż co przyjmie, lub nie przyjmie zamknięte koło profesorów, docentów i asyentów, zajmujących się daną epoką.

Obok tego równie decydującym momentem jest fakt, że każde literackie podejście do zagadnienia jest jeszcze z innego powodu ważniejsze, aniżeli naukowe. Odczuwaniem przez naród swej przeszłości nie rządzi historjografja sensu stricto, ale jej przejawy literackie. Obowiązuje ten fakt równie dobrze u nas, jak w całym świecie. Podejście historycznej szkoły Aularda do psychiki teroru rewolucji francuskiej stało się własnością całego świata myślącego dopiero wtedy, gdy A. France napisał „Bogowie łakną krwi”. Mam głębokie przekonanie, że gdyby tak Sienkiewicz swoim lwim pazurem, bez pokostu optymistycznego, lub też z tym pokostem, opisał choć jeden sejm, lub jeden dzień sejmu polskiego byłej Rzeczypospolitej, wiedziałby cały naród polski o tej sprawie więcej, niż z wszystkich potępień szkoły krakowskiej. Staje mi poprostu przed oczy-

ma w ujęciu pióra Sienkiewicza np. taki dzień 27. V. 1647, z czasów tuż przed „Ogniem i Mieczem”, gdy niejaki poseł Kiersznowski rżnie Władysławowi IV i Osolińskiemu reprimendę, z gębą pełną prawa i wolności, a równocześnie szepcze do kolegów-posłów szyderczo i cynicznie: „otóż masz, królu, pisarstwo nowogrodzkie”, przy którego wakansie właśnie go pominięto. Byłoby zaś na tem polu również odpowiednie miejsce dla postaci dodatnich, gdyż równocześnie w tym czasie zmarł na apopleksję, czyli jak się mówiło, z „aprehenzji”, miecznik Stanisław Jabłonowski, ponieważ do tego stopnia przejął się kalumniami, jakimi obrzucano go na tym sejmie za to, że występował o potrzeby wojskowe Polski i przeciwstawiał się przy tem zasadzie jednomyślności.

Gdyby takie momenty zechciały opisywać pióra o wrodzonym lwim pazurze. Warunkiem bowiem wszystkiego jest, by ten nieobliczalny talent w myśl „spiritus flat ubi vult”, zabłysnął tak jak ongiś 2 maja 1883 r. W tem bowiem leży całe zagadnienie, a znajomość epoki jest momentem koniecznym i warunkującym dodatni skutek, ale dopiero wtórnym. Niewątpliwie bowiem, by przytoczyć dla ilustracji wypadek współczesny z tego zakresu, znajomość epoki p. Kossak-Szczuckiej w powieści „Złota wolność” jest nieporównanie większa, niż Sienkiewicza, gdy zaczynał „Ogniem i Mieczem”, ale lwi pazur niewątpliwie mniejszy. Niemniej jednak ta treść naszych dziejów, czy raczej ta znajomość przeszłości Polski, może być dla każdego polskiego twórcy, o wyżej określonych ambicjach, dźwignią niesłychanej wagi, elementem, czy inspiratorem najczystszej wody.

Nie przeczę, że do wypowiedzenia tych ostatnich uwag skłoniło mnie również podejście A. Skwarczyńskiego w artykule „Odbudowanie państwa a literatura” („Pion I Nr. 1), który w najistotniejszej części zrozumiałem — dawnym, przedwojennym językiem, — jako stwierdzenie, że literaturatura — „to wielka rzecz”. Niewątpliwie też, jak ongiś, w kilkanaście lat po powstaniu styczniowym, tak podobnie dziś, w kilkanaście lat po tak wielkich wypadkach, poważniejsze myślenie polskie domaga się już ponownie od tej literatury nie inteligentnych i zgrabnych łamańców artystycznych i psychologicznych, ale rzeczy prostych i wielkich, czyli właśnie najtrudniejszych. W poszukiwaniu tej treści pochłanianiani są dzisiaj już nie Wallace’y, Leroux i t. d., ale masami Ludwigi, Zweigi, czy Feuchtwangery — rzeczy, które oczywiście są tylko surrogatem tego poważnego, polskiego, artystycznego karmu na tem polu, poszukiwanego przez obecny intelekt Polski.

Bez chęci ugodzenia kogokolwiek, jasnym jest nietylko dla mnie, ale już dla coraz bardziej licznych, że trudniej napisać jeden akt „Śpiewaków Norymberskich”, czy „Madame Butterflay”, niż dać najlepszą nawet przeróbkę tanga, lub foxtrota, że trudniej dobrze osadzić Batoro pod Pskowem na krześle, lub cisnąć Rejtana na ziemię, niż dać

najbardziej skomplikowaną kombinację linii, czy kolorów. Oczywiście, nikt nie może przekonywać, czy doradzać, by to, co przyjąć powinno, było regeneracją maniery pisarskiej Sienkiewicza. Może to będą „Kamienie” Berenta, czy zwłaszcza jakieś inne „Popioły”, lub „Sułkowski”? Śmiesznym wręcz byłoby doradzanie jakiejś formy literackiej (tak samo jak zniechęcanie do swobodnych rozwiązań malarskich), niemniej jednak leżą przed naszą obecną twórczością, w której jest tyle piór plastycznych, tylu władców jędrnego słowa, dalej odłogiem nieprzebrane zbóża skarbów powieściopisarskich i dramatycznych naszej przeszłości. Poraz trzeci stwierdzam — że, oczywiście nie sposób doradzać, czy to mają być przeżycia tych praojców, którzy od XVII wieku idą ku upadkowi, czy też tych zupełnie nowych Polaków, rodzących się z legionów Dąbrowskiego (zob. moją „Dziej. rzecz“, str. 28), którzy idą walką i pracą najprzód ku wolności, a dziś już ku wielkości.

Brückner („Hist. Lit.“ II, 375) był zdania, że Sienkiewicz swój triumf zawdzięczał przerwaniu się na wiek XVII. Niewątpliwie jest w tem wiele racji, gdyż w tym to wieku rozegrały się zasadniczo losy Polski, dla których wiek XVIII był już tylko wykonaniem. Wiek ten ma też najwięcej uwidocznionego materiału obrazowego i batalistycznego, o ile chodzi o tematy powieściowe. Słuszność jednak tego ujęcia Brücknera nie jest bezwzględna. Mam przekonanie i odczucie, że cała przeszłość polska od podziałów do rozbiorów jest jednym olbrzymim złożem potężnych postaci, ciekawych zarówno świadectw, jak sytuacji, tragicznych, czy dramatycznych, obok sielankowych, czy wesołkowatych. Pozatem każdy dzień przynosi nowe, nieznanne szerokiemu czytelnictwu ujęcia, których wyliczenie np. w przytoczonym artykule prof. Konopczyńskiego z pewnością będzie interesujące dla każdego literata.

Niezależnie jednak od rewizji i nowości, już od Łokietka począwszy widzę ogromne możliwości tych, dotychczas nietkniętych momentów historycznych, uplastyczniających się już samą swą fabułą. Moznaby zacząć od chłopskiego uporu tego genialnego i niepospolitego piniacza politycznego — Łokietka, który np. w artystycznym wykonaniu Jaracza umiałby i dziś Polsce niemal współcześnie powiedzieć, że nie popuści, gdzie jego prawo, gdzie jego krzywdą! A dla odmiany, — czyż tuż obok niema awantur królewicza Kazimierza, o scenach dramatycznych, rozgrywających się na Węgrzech, silniejszych, niż te które przynoszą dzieje francuskie i angielskie? Czyż niema walorów artystycznych postaci delikatnej księżniczki Anjou, królowej Jadwigi, zabłąkanej wśród bezwzględnych wielmożów i słaczej zaufanych do Sandomierza, by sprawdzili, o ile jej narzeczony Jagiełło jest niedźwiedziem, względnie człowiekiem? Albo Zawisza

Czarny, ale niekoniecznie tylko ten symboliczny Tetmajera i Wyspiańskiego, lecz ten bywalec i rycerz-światowiec, zawracający sam jeden konia przeciw nieprzyjacielowi, gdy wszyscy obcy uciekają.

Czasy Jagiellońskie rozpadają się już na setki obrazów, zyskujących na złocistości kolorów dla obydwóch Zygmunatów, a Bona i Barbara — to postacie godne pióra szekspirowskiego, ale Barbara już nie ta Felińskiego, ale raczej L. Kolankowskiego. Batorego, od Słowackiego przez Szujskiego do Goetla i Brończyka, wyczerpaliśmy w naszej literaturze raczej nazbyt, chociaż nie brak w naszych dziejach wielu podobnych sytuacji, niestety nie tak dobrze rozwiązanych.

Setki tych sytuacji czasów Jagiellońskich rozbijają się niemal na tysiące obrazów w czasach Wazów, by dojść do szczytu napięcia w tych latach między „Potopem“, a „Panem Wołodyjowskim“, które celowo opuścił Sienkiewicz, piszący dla „krzepienia serc” Polski przedwojennej. Jeśli w epoce „Ogniem i Mieczem“ zatarty został dla polskiego ogółu Ossoliński, który miał program zarówno Richelieu’go, jak Mazarin’a, ale nie mógł, czy nie umiał go wykonać, to wspomniany okres 1660 — 1668 naładowany jest wręcz sytuacjami dramatycznymi. Weźmy chociażby rozstrzelanie hetmana Gosiewskiego przez własnych żołnierzy i karę za to nadchodzącą. Czyż nie zasługuje na ujęcie w słowa dramatu chociażby mowa abdykacyjna Jana Kazimierza o niepospolitej wręcz sile działania: „znużony wiekiem, trudami wojen, złamany obradami... składam to, co świat najwyżej ceni, koronę... Żem pierwszy bywał w bitwach, a ostatni w odwrocie i nieszczęściu, że i teraz z miłości ku wam tylko berło składam... a, miłością na tron wyniesiony, z miłości ku Rzeczypospolitej z niego schodzę... Wybaczcie losowi lub względem państwa, jeśli w czem panowanie moje się nie podobało“. Oto słowa, które chociażby za tekstem Szujskiego (III. 475), płyną w przestrzeń dziejową, jako właściwe zakończenie „Potopu“.

Trudniej będzie wykrzesać silniejsze, większe tony z okresu Sobieskiego, jeśli się zechce uniknąć tanich, teatralnych efektów. Nic dziwnego, że Sienkiewicz porwał się na to — bez powodzenia. Czasy saskie — to raczej pole dla popisów w charakterystykach, niż możliwość wywołania wielkich zjaw. Dla odmiany jednak, czyż nie daje olbrzymich możliwości okres stanisławowski, jak wyczuwał to Reymont; chociażby tak postać Seweryna Rzewuskiego, który zaczął, jako jeden z pierwszych męczenników polskich, porwany rosyjską kibitką do Kaługi, a skończył przez ciasną służbę dla frazesu tradycji, praw i cnót praojców, — obok Branickiego, jako jeden z twórców konfederacji targowickiej.

Dzieje i typ nowego Polaka, to dziedziczna twórcza powieści, którą jednym wielkim tchnieniem i odczuciem zainicjował Żeromski.

Ciągnie się ona przez wiek cały zgórą, lecz cały ten okres jest w swem bogactwie zbyt znany, by go trzeba dzisiaj jeszcze uprzytomniać.

Zrozumiałem jest jednak dla mnie, dlaczego, przy tych wszystkich dramatycznych możliwościach, dzisiejsi nasi literaci tylko niechętnie się zwracają ku tym złożom treści i sytuacji z dziejów byłej Rzeczypospolitej. Większość podręczników zniekształca przeszłość naszą tonami i nastrojami „Wieczorów pod lipą“, z wyjąłowieniem tych dziejów z wszelkich szczegółów plastycznych i charakteryzujących ludzi, oraz epokę. Na tem polu po dziś dzień jeszcze najwięcej dają zupełnie zapomniane i niewątpliwie zupełnie przestarzałe, ale ciągle jeszcze najbogatsze w treść ilustrującą przeszłość — „Dzieje Polski“ Szujskiego. Nowsze opracowania mają niestrawną dla artystów przewagę elementów ustrojowo-prawnych nad politycznymi i wojskowymi, nie pobudzają fantazji, jeśli nawet zmuszają do myślenia w tym stopniu, co „Dzieje Polski“ Bobrzyńskiego. Historia polityczna w Encyklopedji Akademji rejestruje tok spraw, ale obrazu plastycznego i żyjącego przeszłości nie daje. Najnowsze opracowania, mimo pełniejszego uwzględnienia strony kulturalnej, są zbyt szczupłe i pozbawione charakterystycznych szczegółów. Naukowego zaś, a polskiego opracowania dziejów Polski, zaopatrzonego w źródła, literaturę, charakterystyczne wyjątki i t. d., w przeciwstawieniu do tylu innych narodów — nie mamy.

Niema więc innego wyjścia dla tych, którzy zechcą zasilić swą twórczość treścią przeszłości, jak metoda, którą z czasem tak świetnie wykształcił w sobie Sienkiewicz, t. j. rozczytywanie się wszechstronne w źródłach, które same rzucą nieporównanie więcej treści i obrazów, niż wszystkie opracowania, same więcej powiedzą, niż wszystko, co z nich dotychczas wydobyli historycy. By przytoczyć jeden celowo niewdzięczny przykład, jestem pewny, że cenniego, a nie wolnego od błędów, dzieła Prochaski (2 tomy) o „Władysławie Jagielle“, żaden, nawet najbardziej wykształcony i cierpliwy literat nie doczyta do końca, natomiast tegoż Prochaski zbiór źródeł (w Kodeksie Witolda), pozornie nudny zbiór dokumentów, listów i relacyj z początku wieku XV, można czytać z przejęciem i z całym poczuciem zainteresowania dla tych wszystkich skomplikowanych i ciekawych spraw czasów nawet tak odległych. Ówczesny zaś opis pobytu w Polsce Guilberta de Lannoy czyta się poprostu jednym tchem.

To był jeden z dalszych powodów, dla którego, zachęcony przez redakcję „Pionu“, zaryzykowałem obciążenie pisma literackiego sprawami niemal czysto historycznymi. Dla rządu bowiem dusz i od-

czuwać narodu polskiego każde słowo literatury jest niewspółmiernie ważniejsze, niż rozprawy ścisłej i „zamkniętej w sobie“ nauki.

Poruszyłem sprawę „Ogniem i Mieczem“ — poza wagą zagadnienia literackiego — również z myślą o młodzi historycznej, jeśli te moje uwagi do nich zabłądzą. Pisałem bowiem dla tych formujących się, czy przyszłych „sapere ausuri“, dla tych, którzy będą mieli odwagę myśleć własnymi torami, aby wiedzieli, że tak, jak raz za razem zwracałem na to uwagę na odcinku średniowiecznym, tak na całej przestrzeni naszej przeszłości jest pole do nowych ujęć zagadnień i wypadków, o ile się podchodzi metodycznie i w możliwie najszerszym zakresie źródeł, oraz literatury. Wiem zbyt dobrze, jak młodzież naukowa czuje się nieraz najniesłuszniej upośledzoną, że zostały już dla niej tylko „przyczynki do przyczynków“, podczas gdy dla niej właśnie pozostało przebudowanie naszych dziejów już dla potrzeb Polski Odrodzonej. Po olbrzymich bowiem pracach, dokonanych na terenie zagadnień ustrojowych, zostały rozległe pola spraw politycznych, a zwłaszcza wojskowych, na których w odniesieniu do spraw południowo wschodnich z dawnego dorobku kamień na kamieniu nie zostanie. Pod tym względem — pomimo tych różnych protestów — wiem dobrze, że po szeregu moich uwag nigdy już nie wrócą do historjografji polskiej te rekonesanse, wysyłane pod Zbaraż w sile 30.000 jeźdźców, t. j. ca dwóch armji Budiennego (Kubala I.77; Tomkiewicz, 316; ks. Fraś — Obr. Zb., str. 20). Nie wątpię, że po wykonaniu postawionego przeze mnie planu Monumenta Islamitica, oraz przy uwzględnianiu, obok polskich źródeł, obcych, wejdzie w to miejsce znany, a stały i wyborowy komunik tatarski, który szedł w straży przedniej zagonu hańskiego, w sile 300 do 500 jeźdźców. Ten sposób ujęcia spraw wojskowych utrzyma się napewno w 90, czy 95 procentach, jeśli nawet o pozostałe 5 będę musiał toczyć dyskusję naukową.

Nie wątpię również, że ci przyszli „sapere ausuri“ przyznają sobie ponownie prawo sądzenia o złem i dobrem naszej przeszłości bez tej, wchodzącej coraz bardziej w życie, zarówno na terenie ustrojowym, jak politycznym i wojskowym, zasady „tout comprendre c'est tout pardonner“, wypływającej, może nawet podświadomie, z obawy, by rzeczywista przeszłość Polski nie stała się przypadkiem frapującym uzasadnieniem tego, co się dziś dzieje. Niech rzucą ci przyszli historyczni „sapere ausuri“ okiem na tak ciekawe i skądinąd pełne dowcipu i inteligencji pisma Andrzeja Maksymiljana Fredry z XVII w., a przekonają się, że według jego systemu myślenia nietylko ci „gubią Polskę“, którzy są za budowaniem twierdz (sic!) i zwalczaniem liberum veto, ale także ci, którzy Polskę i Polaków „ganiają“. Słusz-

nie bowiem łączyły się w mózgu Maksymiljana Fredry wszystkie te „grzechy“ razem, a więc budowanie potęgi wojskowej Polski, zwalczanie sejmowładztwa, oraz krytyka historyczna, lub publicystyczna swego narodu, czuł bowiem trafnie — oczywiście ze swego stanowiska,— że są to wszystko razem łącznie elementy budowania silnej i zdrowej władzy w państwie. Nie rozumiał tylko, tak na swe czasy inteligentny i obrotny, Fredro, mimo tylu już wówczas poważnych oznak, oraz wygłaszanych chociażby przez Jana Kazimierza ostrzeżeń, że te, tak hańbiące jego zdaniem, próby budowania władzy były automatycznym ratowaniem — bytu Polski.

Fredro jeszcze tego nie umiał zrozumieć, a wielu z dzisiejszych historyków chciałoby już o tem zapomnieć!

Liczyłem się również z tem, gdy zabierałem głos w tak interesującej młodzieży sprawie „Ogniem i Mieczem“, że moje stwierdzenie „odwrócenia obrazu“ wpadnie do rąk młodzieży gimnazjalnej, nie podzielałem jednak obaw, którymi mnie straszono, że „gimnazjaliści przestaną wierzyć w historję“. Wiem bowiem bardzo dobrze, że tak jak w dawnej trzeciej klasie gimnazjalnej, tak i w obecnym systemie, nauczyciel obowiązany jest przerabiać bardzo racjonalne ustępy o metodzie historycznej, tłumaczące, skąd się bierze i jak powstaje pisana historia. Istnieje również instrukcja ministerjalna, jak też wszechstronne spisy nadobowiązkowej lektury, którą uczniowie czytać powinni. Podobnie nauczyciele historii i literatury powinni zakładać kółka dyskusyjne, odpowiadać na wszystkie interpelacje i zainteresowania młodzieży, oraz budzić już u najmłodszych skłonność do czytania źródeł. Gdzie jest to wykonywane — stan taki jest dodatni, gdzie nie — to może właśnie spory o „Ogniem i Mieczem“, kłótnie młodocianych zwolenników i przeciwników Jaremy, przyspieszą wykonywanie pracy pedagogicznie z wszechmiar nakazanej. Na tem polu winne obecne uwagi położyć kres polecaniu dla tych spraw uczniom obok Kubali—Rawity-Gawrońskiego! (por. T. Czapczyński: Metodyczny rozbiór Ogn. i M. 1922 str. 25). Niewątpliwie zaś od pierwszych przejawów samodzielnego myślenia, aż do wysokich stadjów rozwoju, jest obowiązkiem tych, którzy myślą kierują, wytłomaczenie i wykazanie— że hyperkrytycyzm i skrajny sceptycyzm jest tylko inną formą tej samej ignorancji, która przejawia się ślełą wiarą w każde drukowane słowo.

Mimo zarzutów tendencji politycznych, jakie już padły, nie waham się wreszcie szczerze stwierdzić, że poruszyłem te kwestje z myślą o mych kolegach bojowych, nietylko z tych czasów, gdy szli, jak ci z „Potopu“, długo „osamotnieni“ wśród niechęci i rezerwy psychicznej ogółu, ale także z tego okresu, gdy kierowani genialną i twardą wolą musieli, jak ongiś ci przed wiekami, podjąć walkę z ty-

mi ujemnymi, a wiecznie odradzającymi się, narowami duszy polskiej. Ukochane „Ogniem i Mieczem“, bez wglądu w proces jego powstawania, mogło teraz już niejedno przysłaniać, zwłaszcza wobec tak przepotężnego wpływu Sienkiewicza na cały obóz niepodległościowy, co zresztą należy już dziś do pewników, stwierdzonych np. przez Feldmana. (VI wyd. I. 95). Wiedziałem, że na krytyce prawdy historycznej w „Ogniem i Mieczem“ wielkość Sienkiewicza nie tylko nie straci, ale zyska właściwą, metodyczną oprawę, która może już nigdy więcej nie pozwoli zestawiać go z rolą i twórczością Dumas'a. Równocześnie zaś właśnie dla drugiego okresu walki o Polskę, trzeba było wywołać z rzeczywistości historycznej, bądźto z poza kart Trylogji, bądźto przed uwypuklenie roli „Potopu“, te momenty, które winny im dać dla obecnych czasów to psychiczne umocnienie, które w okresie frontowym dawała cała „Trylogja“, jako taka.

Podkreśliłem to chyba dość mocno i wyraźnie, że naprawę i skutecznie może dać te walory i tę treść myślową, tylko ta nowa literatura, o którą upomniał się już A. Skwarczyński, a w której powinno odżyć to wspomniane poczucie odpowiedzialności wobec czytelnika z przed lat niemal pięćdziesięciu.

Lecz zanim się to stać może, trzeba było, by z treści, nieujętej w karty „Trylogji“, wróciły dążenia Jana Kazimierza, odżył Ossoliński, Kisiel, oraz ten „cham“ polski, którego duszę naprawę, a artystycznie, uczcił dopiero Żeromski w rozmowach legionistów „Sułkowskiego“. Trzeba było wywołać widmo tej strasznej bitwy pod Mławami, oraz świadomość, że bohaterów „Potopu“ będących pod słabym kierownictwem wojskowym (choć wodzami ich byli nie kto inny, jak Jan Kazimierz i Jan Sobieski), bratnie, polskie szable wycięły w pień w imię frazesu, w imię utrzymania anarchji, a na zgubę Polski. Trzeba też było, by ktoś przymoniał garstkę, odprowadzającą zwłoki Ossolińskiego, gdy kniazowi Jaremie do grobu towarzyszyła cała pompa i morze panegiryków. By stanął przed oczyma dzisiejszych Polaków ten, którego mowę abdykacyjną przytoczyłem, a któremu to za jego słabą i względną rękę żadnej krzywdy i nikczemności nie oszczędzono, któremu pamfleciści XVII wieku nawet najdumniejsze imię piastowsko-jagiellońskie Kazimierza skalamburowali (Kazimir = psuje pokój) ku radości ówczesnego tłumu szlacheckiego.

Dziś, gdy zapomniane serce Jana Kazimierza za to, że nie umiał zbawczych zamiarów połączyć z twardą i zwycięską ręką, spoczywa w dalekim, paryskim St. Germain des Prés, gdy dzieci polskich prawie nikt o Ossolińskim nie uczy, nadszedł już w pełni czas, by ci, którzy w walce z narowami duszy polskiej zwycięski udział wzięli i walkę tę dalej prowadzą, uczcili chwilą skupienia tych, którzy ongiś przed wiekami walkę tę, tak tragicznie dla Polski przegrali,—prowadzili.



CZĘŚĆ II.

Odpowiedzi polemiczne



## Ogólna charakterystyka polemiki

Rozkaz sztabowy daje najlepszą dyspozycję myśli, a obraz nowoczesnej bitwy — najlepszy wgląd w sytuację każdego sporu. Porównania bowiem wojskowe mają pewną szczególną wyrazistość.

Toczy się właśnie i jeszcze naukowa batalja o historyczne ujęcie czasów „Ogniem i Mieczem“, wywołana zasadniczym rewizjonizmem historycznym autora słów obecnych, oraz jego artykułami o pierwszych latach (1648— 1651) wojen polsko-kozackich. W rezultacie znajdują się moje poglądy pod żywą kanonadą części prasy, opinii itd., jak dotychczas jednak pod masową kanonadą — ślepymi nabojami. Gdyby bowiem ktoś zadał sobie trud obliczenia wagi papieru, zadrukowanego przez mych oponentów, to doszedłby do wniosku, że mają oni stokrotną przewagę. Jeśli natomiast wziąć za podstawę obliczeń ilość książek, cytatów źródeł, cyfr, danych o stronicach itd., to — (pomijając udokumentowany artykuł dr. Tomkiewicza, operującego materiałem swej książki, i dobrą wolą kierowane wysiłki p. Skrzetuskiego) — jestem w stokrotnej przewadze. Strzelam bowiem wyłącznie pociskami pełnymi faktów, cytatów, dat, numerów, dlatego więc każdy strzał muszę systematycznie i sumiennie montować.

Nie obeszło się nawet przy tej quasi batalji bez ataku gazowego dr. A. Czołowskiego na łamach „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“, ze źródłami apokryficznymi, datami własnej redakcji, eskamotowaniem wyrażen, bytnością równoczesną Wiśniowieckiego na dwóch krańcach Ukrainy itd. Jakkolwiek działanie takich ataków ma szerokie pole zasięgu, są one skuteczne tylko wobec niezabezpieczonej „ludności cywilnej“, bo istnieje łatwa odtrutka w formie fotografii dokumentów, reprodukcji autentycznych tekstów, dat, centymetru dla mierzenia odległości itd.

Nie obeszło się również bez manewrów dyplomatycznych w sensie rozgłaszania, że przeciwnik waha się, wycofuje z twierdzeń dotychczasowych, — a to właśnie wtenczas, kiedy już miałem zamiar

powtórzenia w książce wszystkich swych artykułów: bez najmniejszych zmian i z podtrzymaniem za nie całej odpowiedzialności. Dotychczasowy pozytywny „zysk przeciwnika w terenie“ ogranicza się do... błędu korektorskiego w numerze dokumentu. Z szeregu motywów ostateczną bitwę naukową chciałem rozegrać w „zamkniętem kole”, czy jak to nazwał prof. Wł. Konopczyński („A. B. C.“ 1934 Nr. 1) „przy zamkniętych drzwiach“, co zresztą poprzednio i z własnej inicjatywy zapowiedziałem („Pion“ I. 11.). Rosnąca jednak kanonada ślepych naboí, wytwarzająca z natury rzeczy nieproporcjonalną ilość dymu, skłoniła mnie do szukania rozgrywki zasadniczej na otwartem polu.

Rozpocząłem od zainicjowania tematu czysto literackiego: faz, oraz rozwoju twórczości Sienkiewicza, tak jak uwidacznia się ona w poszczególnych dziełach nazwanych potem łącznie — Trylogją.

Wobec oporu, rozwijałem temat z każdym artykułem, sięgając do coraz to większej ilości faktów i cytatów, a nawet — wbrew początkowym swym zamierzeniom — musiałem, po źródłach znanych, sięgnąć do moich rezerw archiwalnych i materiałów nieznanych. W polemice zaś musiałem już w interesie prawdy, oraz jej twórczych walorów dla formowania duszy polskiej, — przejść systemem bitwy nowoczesnej do „ostatniego kwadransa“ (die letzte Viertelstunde) w artyleryjskim przygotowaniu, gdyż materiałów, nowych danych i argumentów naukowych z pewnością mi nie zabrakło. Dlatego — niezależnie od odpowiedzi polemicznych, drukowanych w „Pionie“, (Rok II. Nry: 5, 8, 9, 10) dalsze kwestje polemiczne omawiałem równocześnie na łamach „Gazety Polskiej“, (Nry: 67, 68, 69, 72—75, 79, 80 z 8, 9, 10, 13—16, 20 i 21 marca 1934), a nawet szczegółowe zagadnienie wojskowe w „Polsce Zbrojnej“ (ogłosz. w nrze z 25.III.1934).

W zasadzie podaję me wyżej wymienione odpowiedzi polemiczne bez zmian, z wyjątkiem „odprawy“ dr. A. Czołowskiemu, z której podaję tylko ustępy istotnej wagi. Uważałem bowiem za zbyt liczne przedrukowywanie wyjaśnień, że rzekomy zarzut wyzyskuje ewidentną pomyłkę druku, skoro ta pomyłka w numerze dokumentu jest obecnie usunięta. Podobnie nie chciałem obarczać czytelników ustępami, mającymi na celu charakterystykę podobnych wystąpień, jak dra A. Czołowskiego. Dlatego ograniczyłem się do połączenia w jednym artykule, — który otwiera moje odpowiedzi polemiczne — wszystkich uwag historycznie istotnych, zarówno z „Odprawy“, jak z „Oświadczenia“ (Pion II. Nr. 5 i 9).

Powyższe rozszerzenie możliwości odpowiedzi poza łamy „Pionu“, pozwoliło mi odpowiadać równocześnie wzmocnionym ogniem z wielu pozycji — by wrócić do charakterystyki tej bitwy polemicznej, ale nadal tylko prawdziwymi i pełnymi pociskami na ten cały dym ślepych naboí!

O ostateczny wynik bitwy, zarówno w formie przyjęcia mych rewizjonistycznych poglądów przez naukę, jak o ich przeniknięcie do procesów myślenia Polski, obecnej i przyszłej, jestem zupełnie spokojny. Nietylko ponieważ walczący powinien być optymistą, ani dlatego, że zdaję sobie sprawę ze służenia sprawie dobrej, jak też nietylko dlatego, że rozporządzam najnowszą bronią techniczną (wstępna krytyka źródeł, uwzględnianie dorobku wszystkich historjografji, wojskowa miara rzeczywistości, bezstronność w ocenie politycznej), ale przede-wszystkiem dlatego, że sama obrona w przewidywaniach dowódców, a bez informowania o tem żołnierzy—widywów, czy sprawozdawców, jest tylko — maskowana.

Przeciwnik jest z góry zdecydowany, przy wszystkich potępieniach moich wystąpień, przejść przynajmniej w punktach zasadniczych i faktycznych, (na ocenę ogólną i nastroje nie mogę mieć wpływu) — właśnie na moje stanowiska naukowe i strzela tylko gwałtownie ślepymi nabojami, by nikt nie przypuszczał, że poprzednie jego pozycje trzymały się tylko siłą ciężkości i naukowego zaniedbania.

Nie mogę jednak dla tej przeciągającej się, obszernej może w szczegółach, ale tylko maskowanej w istotnych punktach sprawy, polemiki przedłużać, czy odkładać druku obecnej książki. Wobec tych więc dalszych artykułów polemicznych, które poczynają się częściami i w odstępach ukazywać, mogę najwyżej wtrącić w czasie druku uwagę, że, jak dotychczas, obracają się one kolo szczegółów drugorzędnych sporu, a w niczem nie zmieniają podstaw mych sądów i ocen zasadniczych. Przy błędach i zniekształceniach wykazują one pewien większy wysiłek w obronie tych historycznych resztek, pozostałych na obstrzelanym przezemnie terenie lat 1648-1651.

Obraz nowoczesnej bitwy, jako próbę charakterystyki polemiki o historyczne ujęcie czasów „Ogniem i mieczem” (Gazeta Polska 8-III-34), kreśliłem przed zamknięciem obecnej książki. Niemniej jednak widzę obecnie, że porównanie przebiegu takiej bitwy nowoczesnej wytrzyma aż do końca zamierzoną próbę obrazowania obecnej mej pracy i polemiki naukowej. Na szerokich polach dawnych poglądów historycznych i literackich na te czasy i ludzi, po ogniu artyleryjskim moich argumentów, wycofano z ostrzeliwanego terenu wszystkie zasadnicze kwestje, jak to zagadnienie winy, ocenę zasług i grzechów, apoteozowanie czynników i elementów najujemniejszych, a krytkowanie postaci dodatnich, sam przebieg wypadków i walk, rzekome setki tysięcy wojsk przeciwników i t. d., a zwłaszcza sprawę istotnego interesu i celów ówczesnej Polski. Jednem słowem wycofał się i zniknął cały ten obraz, jaki na tle literatury i ostatnich opracowań historycznych miałem przed oczyma, drukując mój pierwszy artykuł „Ogniem i Mieczem a rzeczywistość historyczna“ w dniu 21/10 1933, obraz niejako

obowiązujący — bez prawa do protestowania — myślenie polskie aż do tego czasu. Obecnie zniknął — już nawet dla wszystkich mych polemistów — ów genialny i niezłomny wódz, szlachetny i patrijotyczny Jarema, stojący z garstką swych szlacheckich towarzyszy, jako jedyna bohaterska i ofiarna tama przed atakiem setek tysięcy zdziwiałych chłopów, niosących zamierzoną zgubę Państwu polskiemu. Wszystkie te zasadnicze dla sprawy momenty dziś, mimo pięciu już miesięcy ożywionego szukania kontrargumentów, mimo wysiłków starszych uczonych i młodszych adeptów, runęły pod argumentami przytoczonych przezemnie źródeł i faktów.

Zostały w walce i w terenie drobne punkty oporu, szczegóły, a nieraz szczególiki takiego, czy innego wypadku, bronione przez pozostawioną w lejach z pocisków, załogę obrony odwrotowej. Dowództwa cofnęły się już dawno w głąb, daleko na nowe stanowiska, a tem samem dla inicjatora rewizjonizmu tych czasów, czyli autora słów obecnych, wchodzi w grę, poza ewentualnem, przyszłem omówieniem tych prób obrony drugorzędnych szczegółów, obowiązek spokojnego przystąpienia do pracy nad zastąpieniem działania artyleryjskiego, — posuwaniem się piechoty naukowej dla obsadzania zbombardowanych pozycji.

Praca piechoty jest zawsze żmudną, ciężką, długotrwałą i powolną, — niemniej jednak ostatecznie skuteczną i rozstrzygającą o opanowaniu odnośnego odcinka. Czeką mnie ona w postaci bardzo rozszerzonych wyciągów archiwalnych, przepisywań z nieznanymi wydań, studjów nad ustaleniem stanu posiadania ówczesnych magnatów, szczegółowych obliczeń sił jednej i drugiej strony, niemalże na poszczególne miesiące, wyznaczania marszów i itinerarjów, stwierdzania stanu władania w poszczególnych momentach tych walk, tak samo zresztą, jak ogólna konieczność ustalania istotnego biegu wypadków, nieraz wprost na poszczególne dni, czy tygodnie.

Cele końcowe nakreślone dla tej pierwszej fazy bitwy naukowej, by pozostać przy określeniach wojskowych — to śmierć kancle-rza Ossolińskiego, będąca przekreśleniem pierwszych, a jeszcze zupełnie realnych, możliwości rozsądnego i podyktowanego interesem Polski — rozwiązania sprawy polsko-kozackiej. Wyznaczenie tej daty 9/VIII 1650, jako granicy dla pierwszej fazy mego rewizjonizmu, niech będzie samo przez się — zamierzonym hołdem autora tych słów dla roli i planów ostatniego wielkiego męża stanu byłej Rzeczypospolitej z okresu jej prawdziwej niepodległości. Ci bowiem, ponownie wielcy, którzy po nim przyszli w b. Rzeczypospolitej, musieli już działać w okresie gwałtu i naporu obcych bagnetów wewnątrz państwa, — a więc niestety — zapóźno!

## I. O historyczności „Ogniem i Mieczem“

Z odprawy drowi A. Czołowskiemu

Dr. A. Czołowski, dyrektor muzeów m. Lwowa, uważał za odpowiednie wystąpić na łamach dodatku literackiego do „Ilustrowanego Kurjera Codziennego” (Nr. 4 z 22. I. 34 r.) z obszernym artykułem, przeładowanym całym szeregiem w najwyższym stopniu nieprzyzwoitych uwag o moich rewizjonistycznych poglądach. Ma to być widocznie rodzaj rewanzu za moje nadzwyczaj oględne, przeprowadzone z całym szeregiem — jak dziś widzę niepotrzebnych — rewerencji, udowodnienie, że przyjęta na podstawie dociekań d-ra Czołowskiego przez całą naukę i wszystkie podręczniki rzekoma wojna polsko-mołdawska w roku 1359 nie miała miejsca. Udowodniłem bowiem na podstawie najstarszych, a nieznanych dr. Czołowskiemu źródeł rumuńskich, niemożliwość jego wniosków, chociażby poprostu dla tego, że— Mołdawja wówczas wogóle nie istniała (Przeł. Hist. X. 343).

Oдноśnie d-ra Czołowskiego mogę się wogóle ograniczyć tylko do wykazania, że cała jego próba podważenia moich poglądów opiera się na nieautentycznych źródłach i fałszywych cytatach, a obliczona jest na zupełny brak orientacji geograficznej i historycznej u czytelnika.

W artykułach dotychczasowych, celowo i świadomie, poruszyłem niedomagania historjografji tylko tego okresu naszych dziejów i to jedynie w takim zakresie, jaki był niezbędnie konieczny dla dania historycznych wskazań przyszłej krytyce literackiej Sienkiewicza. Pomiąłem dziesiątki tytułów źródeł, prac i t. d., nieuwzględnianych w dotychczasowych badaniach, nie podkreślałem zasadniczych niedomagań metody historycznej, jako takiej, na odcinku lat 1648/49, nie podnosiłem faktu nieczytania źródeł w całości, zszywania ich pêle-mêle ze sobą, bez wchodzenia w ich pochodzenie, wartość i t. d.

Wszystko to były kwestje czysto fachowe, niepotrzebne dla ogółu, które też zamierzałem poruszyć, jak to mi dano zresztą do poznania, przy „drzwiach zamkniętych“, czyli w kole ściśle zamkniętych, erudycyjnych konferencyj, a nie odczytów. Niestety — rodzaj uwag polemicznych pod moim adresem zmusza mnie do poruszenia częściowego i w granicach konieczności także tej strony rewizjonizmu.

Rewizjonizm naukowy musi być oparty o nadzwyczaj ścisłą i bardzo wyrobioną metodę, a więc przede wszystkim o czytanie całości źródeł, które się cytuje, i o wyrobienie sobie sądów o wyzyskiwanym materiale. To niestety w dotychczasowej polskiej historjografji dla spraw polsko-kozackich wieku XVII nie było robione. Jeśli dr. Czołowski twierdzi: „czy wobec przedstawienia w djarjuszu d z i e ń z a d n i e m toku spraw tych dni krytycznych, mogą ostać się twierdzenia dr. Górki?“, — to odpowiem, że jeśliby pamiętnikarska kompozycja Maszkiewicza była rzeczywiście djarjuszem, za jaki uchodzi, to istotnie moje twierdzenia w pewnych punktach mogłyby być kwestjonowane. „Djarjusze“ B. Maszkiewicza, zasadnicze dotychczas źródło dla roli Wiśniowieckiego w maju i czerwcu 1648, są jednak tylko późniejszymi pamiętnikarskimi fabrykatami dla gloryfikacji poszczególnych magnatów, których autor był podrzędnym, niewtajemniczonym sługą. Pod datami dziennymi umieszczane są wiadomości o sprawach późniejszych o cały szereg tygodni (np. Niemcewicz „Zbiór pam. hist. V. 70 i 75: — pod 30 maja i 25 czerwca podawane są wypadki „o trzy niedziele“ późniejsze). Zaraz pierwsza notatka, pochodząca rzekomo z roku 1643, powstała najwcześniej po 1647 (t. j. dacie śmierci Fr. Zebrzydowskiego). Dla szerszych kół wystarczy powiedzieć, że w tym djarjuszu wszystkie daty są pomyłone i pokręcone bez względu na to, czy się przyjmuje stary, czy nowy styl kalendarzowy. Gdyby dr. Czołowski był Maszkiewicza przeczytał w całości, to drogą zasad metodycznych historii byłby przekonany, że jest to twór późniejszy, rodzaj pamiętnika, pisanego najwcześniej w końcu r. 1649, w którym obok szeregu fałszów umieszczono tylko to, co schlebiało Wiśniowieckiemu. Temu motywowi zawdzięczamy nawet wiadomość o zamiarze mordowania króla i senatorów przez Jareme, gdyż w oczach takich Maszkiewiczów podobne zamierzenia podnosiły tylko wartość takich Wiśniowieckich.

W „Aktach Jużnoj i Zapadnoj Rosii“ ustępu o oczekiwaniu przez Wiśniowieckiego z niecierpliwością wiadomości od hetmanów, jak chce dr. Czołowski, czy ordynansów hetmańskich, jak zaznacza dr. Tomkiewicz, niemal! Gdyby ktoś chciał się naocznie przekonać o prawdziwości tego twierdzenia, to zwracam uwagę na ogłoszoną przezemnie fotografię tego dokumentu (Pion II Nr. 5 str. 7). Z fotografii tekstu każdy może się przekonać, że w liście tym do Pleszczejewa wogóle o het-



manach niema mowy, a odnośna wzmianka o hetmanach została przez dr. Czołowskiego, bez uzasadnienia, w dowolne tłumaczenie tego ustępu wsunięta. Jeśliby natomiast dr. Czołowski był naprawdę przeglądał i czytał „Akta Jużnoj i Zapadnoj Rosii”, to dowiedziałby się z cytowanego przez siebie dokumentu, że Wiśniowiecki jeszcze 20 maja (III 184), a więc w trzy tygodnie po rozpoczęciu walk pod Żółtymi Wodami udaje, w myśl swej zmywy z Chmielnickim, przed wojewodami moskiewskimi, że nic wogóle nie wie, ani nie słyszał o jakichś buntach kozackich, czy Chmielnickiego, a zgłasza swą gotowość współdziałania wojskowego, ale tylko w odniesieniu do Tatarów. Jaskrawość tego postępowania, uzasadniona faktem, że czuł się bezwzględnie bezpiecznym ze strony Chmielnickiego, występuje szczególnie w zestawieniu z listem Kisiela w tychże Aktach, datowanym jeszcze z 11 maja tegoż roku (tamże Nr.182), który temuż samemu Pleszczewowi donosi o buncie Chmielnickiego w najostrożniejszych słowach i wzywa go do akcji.

Ten sam system, tylko z coraz bardziej wzrastającym liczeniem na zupełny brak orjentacji u czytelnika, towarzyszy dalszym wywodom dr. Czołowskiego. Na zwalczenie moich dowodów przytacza dr. Czołowski Kronikę, czyli „Litopys Wełyczki”, nie mając pojęcia o tem, że sprawy fej kroniki mają sporą literaturę rozpraw ukraińskich i rosyjskich, oraz rozważań, od Sołowiewa począwszy aż po najnowszą pracę Bahalija, wstęp do nowego wydania, pracę Klepackija i t. d. Oczywiście, nowego wydania I tomu z 1926 dr. Czołowski nie zna. Co więcej — dr. Czołowski zabiera głos imieniem historii i historyków nie znając nawet podręcznika Hruszewskiego, z którego mógłby się dowiedzieć, że rzekome źródło Weliczki, t. j. t. zw. S. Zorka, jest mistyfikacją i apokryfem (Ist. Ukr. Rus. t. VIII/II 206). Nie wie nawet o tem dr. Czołowski, że Weliczko jest obróbką z XVIII wieku wierszowanego utworu Samuela Twardowskiego p. t. „Woyna domowa z Kozaki”. Ukraiński ten apokryf z roku 1720 znany już jest przecież z całego szeregu bałamuctw i fałszerstw, np. zawiera on rzekomą relację z otoczenia Chmielnickiego o schwytaniu i śmierci Czaplńskiego wiosną 1648, gdy o wydanie mu tegoż Czaplńskiego, żyjącego i walczącego, rok po roku upomina się jeszcze potem Chmielnicki. Takim to ukraińskim apokryfem obala p. Czołowski współczesne wypadkom, niemal na dnie i tygodnie, dwie zgodne ze sobą relacje polskiego opata Czołchańskiego i ks. Łaski. Dr. Czołowski, licząc na brak orjentacji pisma codziennego, współczesne akty nazywa „piótkami”, w które ja wpadłem, a apokryficzne fabrykaty wieku XVIII źródłem. którego „autentyczność nie ulega żadnej wątpliwości” (Ilustr. Kurj. Codz. dod. Nr. 22 z 1934). Wpadła tylko redakcja, która podobne popisy „naukowe” drukuje, jakkolwiek niewątpliwa pocztytność tego pisma może

u zupełnie niezorientowanych wzbudzić podejrzenia co do solidności podstaw mego rewizjonizmu lat 1648/49.

Charakterystycznym przytem jest, że wszystkie współczesne i autentyczne relacje z pierwszej połowy r. 1648, które oskarżają postępowanie Wiśniowieckiego, pochodzą wyłącznie ze strony polskiej (list Głucha Zółkiewskiego w Ks. pam. str. 35, list opata Czołchańskiego, relac. ks. Łaski), natomiast skargi kozackie zjawiają się dopiero w drugiej połowie r. 1648, głównie z powodu świdrowania oczu i wbijania przez Jarekę na pal — księży (Michał. Ks. pam. 88., nieuwzgl. relacja Muzyliwskiego).

Dr. Czołowski, chcąc zrobić mi przytyk, zrobił mi komplement przez aluzję do charakteru historyka średniowiecza, gdyż to pozwala mi go pouczyć, że podobne metody naukowe, jak ta, by np. kompilacją Długosza, lub Żywotami z XIII wieku kwestjonować Galla, Rocznik Świętokrzyski, lub dokumenty, czy listy współczesne, są na terenie naszych studjów średniowiecznych rzeczą nie do pomyślenia — od lat przeszło siedemdziesięciu. Trudno mi zresztą sądzić, o ile metodą klasyfikowania źródeł przez dr. Czołwskiego dla wieku XVII kieruje jego zupełna niezajomość tych źródeł, o ile zaś jego liczenie na zupełny brak orientacji u czytelnika. Mam wrażenie, że ten ostatni moment był dla jego artykułu decydujący!

Dr. Czołowski zmyślił datę wyjścia Wiśniowieckiego z Perejsławia, ustanawiając ją na 2 czerwca 1648. Nie figuruje ona w żadnym źródle, ani w rekonstrukcji tego marszu przez dr. Tomkiewicza (por. tamże str. 182). Dobrze! — przyjmijmy nawet tę jego podstawę. Nie wiele mu to jednak widać pomogło, skoro zaraz potem musiał dr. Czołowski użyć innego środka dezorientowania: raz (str. IV dod.) używa nowego stylu kalendarzowego, a drugi raz (str. V dod.) — starego stylu, by czytelnik nie zorientował się, że nie mógł równocześnie Wiśniowiecki od 2 czerwca ruszyć z Perejsławia marszem na Czernihów, a od 4 czerwca (25 maja st. st.) z tegoż Perejsławia ruszać w kierunku odmiennym — do Łubniów. Dr. Czołowski nie zdradził też czytelnikom „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“, że według jego „autentycznych“ źródeł i djarjuszy jest Wiśniowiecki równocześnie daleko na Polesiu, za Czernihowem (umieszcza go tam Maszkiewicz zgodnie z prawdą, bo jest to potwierdzone przez dokumenty) i jednocześnie o 300 klm. w linii powietrznej gdzieindziej, bo w Łubniach, przy zdobywaniu Bukowa i t. d., (dokąd przenosi go Weliczko, t. j. źródło, którego autentyczność — wedle d-ra Czołwskiego — „nie ulega żadnej wątpliwości“). Pomiął dr. Czołowski ten stan rzeczy milczeniem, widocznie dla tego, by zecer, zorientowawszy się w polskiej geografii i w tym absurdzie obecności Wiśniowieckiego równocześnie w punktach odległych o setki kilometrów, na kierunkach

raz do Rzymu, a raz do Krymu — takich wywodów „naukowych“ nie wstrzymał.

Bardziej od tych wszystkich pomysłów geograficznych i źródłowych musi jednak uderzać, że historyk miasta Lwowa i to niejako urzędowy, ucieka się do zwykłej nieprawdy, nigdzie w żadnych źródłach niefigurującej, a to celem pomniejszenia podkreślanych przezemnie zasług mieszczan lwowskich na rzecz ratowania honoru arcyłotra dziejów polskich — Hieromina Radziejewskiego i jego wspólnika — kniazia Jaremy, którzy wyzyskali w niesłychany sposób gotowość mieszczan lwowskich do ofiar na obronę własną i Rzeczpospolitej. Wbrew sądom, do których potem przejdę, opinja całej historjografji poza pomysłami Kubali, przejętymi zbytecznie przez dr. Tomkiewicza, była jednolita co do postępowania Wiśniowieckiego i Radziejewskiego. Napiętnował te fakty Szajnocha dwukrotnie, nietylko w „Dwóch latach“, ale i w studjum o Radziejewskim, zapomnianem przez literaturę tych spraw (Bibl. Ossol. 1863), a Szujski wogóle wątpił, by czemuś podobnemu, jak rozgrabieniu pieniędzy zebranych na obronę, można wierzyć. Najpocieszniej zaś postąpił Rawita-Gawroński („Bohdan Chmielnicki” I. 324), który ostro potępił fakt, że panowie polscy 5. X. 1648, zabrawszy pieniądze, towary, mienie kościelne i prywatne Lwowa „wynieśli się haniebnie z jego murów“, ale dla ostrożności jednocześnie wolał nie zaznaczyć swoim czytelnikom, że tymi „panami“ z 5. X. 1648 był właśnie wielbiony przez niego Jeremi Wiśniowiecki. Za ten system pracy i przedstawiania wypadków dostał Rawita Gawroński wysoką nagrodę naukową.

Szczerze powiedziawszy, jakkolwiek niemądrą była szlachta polska XVII wieku, to jednak nigdy nie próbował Wiśniowiecki tłumaczyć swego postępowania wobec Lwowa takimi argumentami, jakimi bronił go Kubala w wieku XIX, gdyż byłaby mu cała Polska wieku XVII parsknęła śmiechem. Każde nawet dziecko przecież zrozumie, że jeśli Wiśniowiecki podjął się obrony Lwowa, został wodzem tej obrony, zażądał olbrzymich pieniędzy, a mieszczanie mu je dali, — to przecież nie mógł on sądzić, jakoby pozostanie tego wojska i jego, jako wodza obrony, w mieście, będzie dla miasta większem nieszczęściem, niż ucieczka wodza i wojsk. Jeśli nie wierzył w obronę Lwowa, to pocóż przyjmował dowództwo miasta i zabierał pieniądze? Każde dziecko również rozumie, że łatwiej się bronić zasobnemu we wszystko miastu z 4,000 żołnierzy, niż miastu obrabowanemu przez swoich z garścią tylko 250, z których trzecia część padła w walce o Lwów. Zresztą — chyba możemy uwierzyć w tym wypadku Wiśniowieckiemu, który sam o sobie i swych kolegach napisał dosłownie pod datą 6 października 1648 z Jaworowa: „zemknęliśmy się tedy, dragony przy mieście zostawiwszy“ (tekst listu u Kubali „Szkic. Hist.“ I. 68

dod.), a tych dragonów za 1.300.000 złotych zostawił Wiśniowiecki miastu — aż 60 (!). Niema chyba w żadnych dziejach wypadku, by jakąś kradzież i ucieczkę, za którą sejm polski chciał komisarzy lwowskich postawić przed sąd (Michałowski Ks. Pam. 303 i 314 — 315), przedstawiać jako bohaterstwo, gdy nawet sami zainteresowani określili to, jako ucieczkę.

Mieszczanie lwowscy skarżyli się na postępowanie Wiśniowieckiego wszystkimi drogami i we wszystkich pismach (relacje Groszajera i Czechowicza u Zubrzyckiego str. 298 i 311, Józefowicz str. 113/4, nawet Kuszewicz w Zer. Ist. Ukr. IV str. 96), oraz odtąd właśnie, za to obrabowanie i zdradę, zerwali stosunki z Wiśniowieckim. Zdaje się, że przekręcanie rzeczywistości w historjografii tych lat ma nieograniczone wręcz możliwości.

Pomijam wreszcie metodę eskamotowania moich powiedzeń. W „Dziejowej rzeczywistości“ (Polit. Nar. I. 1 str. 19) stwierdziłem, że „często materiał historyczny rządzi historjografią i historykami, a nie odwrotnie“, a to „z pozornie może przypadkowego powodu, że do pierwszej lepszej drobnostki np. Torunia jest więcej łatwo dostępnego materiału, niż do szeregu pierwszorzędných kwestyj wschodnich i południowo wschodnich“. Dr. Czołowski uznał za stosowne przytoczyć część tylko mego twierdzenia i pominąć to, co mówię o trudnej dostępności materiałów, by przy pomocy mojej własnej, zeskamotowanej częściowo, cytaty stwierdzić w mem imieniu mają niechęć do liczenia się ze źródłami i opierania na nich.

Tymczasem sprawa podkreślonej przemennie niedostępności, wgl. niebadania źródeł jest niezwykle doniosłą i najlepiej uwidacznia się, jeśli chodzi o lata 1648 — 49.

Najlepszym dowodem słuszności tej uwagi będzie fakt, że jedyna, współczesna i autentyczna relacja kozacka o wypadkach r. 1648 — 49 Mużyliwskiego jest po dziś dzień przez naukę polską niewzględniona!

Ogólne refleksje nadtemat kultury naukowej pewnych jednostek w Polsce są oczywiście na tle podobnych wystąpień dr. Czołowskiego bardzo smutne. Jest natomiast bardzo pocieszającym dla mego rewizjonizmu lat 1648 — 49, że dr. Czołowski mógł moim wywodom przeciwstawić tylko przekręcone teksty z Aktów i fabrykat o charakterze apokryficznym z wieku XVIII. Tem samem dał — zapewne niezamierzenie — raz jeszcze dobitny dowód na poparcie mego zapewnienia wobec czytelników „Pionu“, że „nie istnieje cytat źródłowy, lub istotny argument, który mógłby moje rewizyjne podejście do tych zagadnień podważyć“ („Pion“ r. II. Nr. 1 str. 8).

To jest przynajmniej naukowa rekompensata za nienaukowe „przyjemności“, a zarazem jedyny powód, że musiałem mych czy-

telników obarczyć czytaniem podobnej, lecz — niestety — koniecznej odprawy.

Wobec zaś dalszego i powtarzanego dezorientowania czytelników, a nawet fachowych historyków (np. prof. Wł Konopczyńskiego „Kurjer Warszawski“ 22-II-1934 r. Nr. 52 str. 4) przez rzekome daty i dane d-ra A. Czołowskiego (Ilustr. Kurj. Codz. z 19-II-1934 r. Nr. 50 dod. str. II, III) ograniczyłem się następnie (Pion II Nr. 9), do stwierdzenia faktu zupełnie ewidentnej pomyłki druku z mej strony, obecnie poprawionej (Nr. 172 zamiast 182 w A. J. Z. R. III). Podkreśliłem równocześnie, że metoda d-ra A. Czołowskiego występuje nieporównanie jaskrawiej w innym wypadku.

Jakkolwiek data listu Kisielea (A. J. Z. R. III Nr. 182) do Pleszczejewa nosi nietylko wyraźną datę wydawcy 1 maja 1648 starego stylu (tamże str. 188), ale nawet zawiera datę w tekście samego Kisielea z Hoszczy „1648 miesiąca maja odnatacotoho dnia rymskim czyśłom“ (tamże str. 190), czyli z wyraźnym podkreśleniem nowego kalendarza i daty 11. V. now. st. — nie wahał się p. dr. A. Czołowski zacytować powyższe wyrażenie Kisielea z Hoszczą, jej odległością do Kijowa i t. d., jako datę „dnia 11 maja st. st., t. j. dnia 21 maja now. st. 1648“ (Ilustr. Kur. Codz. Nr. 50 z 19. II. 1934 str. III kol. lewa). Sapenti sat!

Podobnie datę bitwy („kłęski“) pod Żółtymi Wodami podaje dr. Czołowski jako 16 maja 1648 (tamże str. II kol. prawa).

Bitwa pod Żółtymi Wodami rozpoczęła się atakiem Chmielnickiego, a niedługo potem otoczeniem młodego Potockiego przez Chmielnickiego i Tuhaj-beja, według danych niewątpliwych i szczegółowych, w środę dnia 29 kwietnia 1648 (relacje Bełchackiego u Rawity-Gawrońskiego: Sprawy i rzeczy ukr. 1914 str. 110, relac. w Zap. Tow. Szewcz. t. 144/145 z r. 1926 str. 211, Hruszewski Ist. Ukr. Rus. VIII/2 — 1925 str. 183). Walki te toczyły się bez przerwy do kłęski ostatecznych grup w dniu 14 na 15 maja. Walki skończyły się 15. V. rano (Zap. Tow. Szewcz. t. 144/5 str. 210 i 212).

List więc Kisielea do Pleszczejewa o buntach kozackich i bitwie pod Żółtymi Wodami został wysłany (z wymienieniem miejsca bitwy) w 13 dni po jej rozpoczęciu, o czym zresztą wysłano Kisielowi wiadomość 2. V. 1648 (A. J. Z. R. Nr. 182 str. 189). List zaś Jeremiego Wiśniowieckiego, datowany starym stylem (por. również Tomkiewicz Jer. Wiśn. str. 184), został wysłany 20 maja nowego stylu 1648, a więc w 22 dni po rozpoczęciu bitwy pod Żółtymi Wodami, co określiłem w własnym cytowanym artykule najzupełniej ściśle słowami: Wiśniowiecki... w 3 tygodnie po rozpoczęciu walk pod Żółtymi Wodami udaje przed wojewodami moskiewskimi, że nic wogóle nie wie, ani nie słyszał o jakichś buntach kozackich, czy Chmielnickiego“.

List Wiśniowieckiego przesłany został do Moskwy 21. V. st. st. czyli 31 V. now. st. 1648 (zob. fotogr. „Pion“ II Nr. 5. str. 7).

**Czy ze strony p. dr. Czołowskiego zachodzi cały szereg pomyłek, „bona fide“, czy też są to usiłowania wprowadzenia w błąd czytelnika za pomocą dat, — rozstrzygnie niewątpliwie każdy czytelnik, który zada sobie trud zestawienia twierdzeń mego artykułu („Pion“ II Nr. 5 str. 7/8), oraz wywodów p. dr. Czołowskiego („Ilustr. Kur. Codz.” z 19. II. 1934 Nr. 50 str. 2 i 3) z numerami 172, 182 i 184 w Akty ...Już- noj i Zapadnoj Rossii t. III r. 1861.**

## II. Skrzetuskiego (?) z pod Zbaraża rzeczywiste pochodzenie i rola

Pochodzenie i osoba rzeczywistego Skrzetuskiego były oczywiście dla mych rozważań o „obrazie odwróconym“ w „Ogniem i Mieczem“ szczegółem wagi zupełnie ubocznej i niechętnie poruszonym.

Niemniej jednak obecnie, wobec ogłoszenia zastrzeżeń ze strony p. T. Skrzetuskiego („Pion“ II Nr. 5), oraz licznych uwag w prasie, muszę zabrać głos obszerniej również w tej sprawie. Szkoda tylko, że wobec tak miłego i wyrobionego sentymentu dla swej tradycji rodzinnej, nie przestrzegły p. T. Skrzetuskiego „te inne osoby“, które go „przynagłały“ do zabrania głosu, przed moją jaknajdalej idącą ścisłością każdego szczegółu. Jedyne bowiem w interesie zagadnienia literackiego i tylko narazie poruszyłem te sprawy bez prezentowania mego całego aparatu naukowego.

Gorzej zaś już jest dla mnie, że pp. polemści zmuszają mnie, raz za razem, do produkowania materiałów nieznanymi dotychczasowym badaniom polskim, bądźto nieuwzględnianych, które sam przeznaczyłem dopiero do przyszłego fachowego opracowania przeze mnie tych zagadnień i czasów. Tem samym wcześniej, niż zamierzałem, muszę dać odpowiedź na jędrne, czy nawet lapidarne obecnej dyskusji postawione pytanie przez p. Kaden-Bandrowskiego („Gazeta Polska“ Nr. 339 z 8.XII 33): „przecież papiery, szpargały, pergaminy, z których czerpie Górka, znajdują się w bibliotekach, zbiorach naukowych, nie były, nie są dostępne jedynie dla Górki, mogli chyba w nich szperać i inni uczeni“. Nie miałem zamiaru poruszania tej sprawy, ale wobec głosów protestów muszę odpowiedzieć p. Kaden-Bandrowskiemu, a częściowo p. Tomkiewiczowi („Pion“ II Nr. 4), jeszcze przed dokładniejszą polemiką.

Otóż studjum tego odcinka naszych dziejów przedstawia się — conajmniej — całkiem nieszczególnie. Nietylko szereg relacji drukowanych do tych spraw nie jest znanych nauce polskiej, ale także

pewnych cennych materiałów rękopiśmiennych do tych zagadnień wogóle przede mną nikt z Polaków nie miał w ręku. Co więcej — najcenniejszy zbiór rękopiśmienny do tych spraw, po wydaniu bardzo niedokładnym i częściowym przez Helcla „Michałowskiego Księgi Pamiętniczej” w roku 1864, przez lat 70 przez nikogo, nie wyłączając Kubali, nie był kontrolowany. Jeśliby bowiem był ktoś zaglądał do tych rękopisów, to przekonałby się, że w rękopisie (Kraków, Akad. Um. Zb. Michałowskiego Nr. 9 f. 358 recto) trzykrotnie jest wyraźnie napisane „Skrzewski”, a nie Skrzetuski, raz tylko później — zdaje się za kronikami — poprawione na „Skrzetuski”, tak jak to wydał drukiem bez żadnej podstawy Helcel. Gdyby zaś ktoś był kontrolował zarówno Kubalę, jak ostatnio ks. Frąsia, to przekonałby się, że wszystkie szczegóły przeprawy Skrzetuskiego, które powypisywali na rachunek Skrzetuskiego, figurują w cytowanym rękopisie (Akad. Um. 8a. f. 32 verso) na rachunek żołnierza kwarcianego, który się nazywa „Stapkowsky” w oryginale i poprawce. Co więcej — gdyby ktokolwiek był zaglądał do rękopiśmiennego tekstu drukowanego obszernego djarjusza zbaraskiego, to przekonałby się, że Helcel, — nie wiadomo na jakiej podstawie — opuścił rzecz najważniejszą — nagłówek, stwierdzający, że wszystko działo się w Zbarażu za dowództwa („regimentu”) Andrzeja Firleja, Stanisława Lanckorońskiego i Mikołaja Ostroroga (Akad. Um. 9. f. 359 verso). Nie zrobił tego nikt, ani przed, ani po „Ogniem i Mieczem”, a przecież gdyby Kubali i historii były znane prawdziwe teksty, to nie musiałbym dopiero udowadniać („Pion” I Nr. 11 str. 7), kto był wodzem obrony zbarskiej. Dziś wszyscy historycy mówią, że oczywiście nie — Wiśniewiecki, ale to „oczywiście” zrodziło się dopiero po moich artykułach. Duszą i głową Zbaraża był Firlej, trzymający wszystko żelazną ręką i karaniem „na gardle”.

Gdyby był bowiem Sienkiewicz znalazł w naszej historjografii prawdziwe teksty i prawdziwe fakty, to powziąwszy artystyczny pomysł uświetnienia obrony Zbaraża, byłby nam dał na czele bohaterką postać starego Firleja, z zaufanym Kozakiem-spryciarzem u boku, rodzajem ruskiego Rzędziana, czy Zagłoby, którego — stosownie do nastrojów wobec źródeł — byłby nazwał albo Skrzewskim, albo Skrzetuskim, albo Stapkowskim.

Wracajmy jednak do uwag p. T. Skrzetuskiego!

P. T. Skrzetuski sprezentował bardzo wiele cytatów i antenatów w swym artykule, ale — niestety — wymieniając aż tylu Skrzetuskich do XIX wieku, przeoczył właśnie najważniejszych przedstawicieli tego nazwiska. Podobnie naprowadził bardzo wiele źródeł, z wyjątkiem tych, które nas **naprawdę obchodzą**, t. j. autentycznych i współczesnych relacyj, opisujących przejście Skrzetuskiego (?) z obozu zba-



raskiego do Toporowa. Skrzetuskim, jako takim dajmy pokój! Szkoda tylko, że p. T. Skrzetuski, zamiast sięgnąć do materiałów, przekazanych „w znacznej części w dziedzictwie”, czy w archiwum rodzinnym, nie zaglądnął poprostu chociażby do indeksu „Biblijografji historii polskiej” L. Finkla, do XXVIII tomu „Biblijografji polskiej” Estreicherą, albo do tak cennej „Encyklopedji Powszechnej”, by znaleźć tam nieporównanie więcej o Skrzetuskich, wogóle i w szczególe, niż to jest widoczne z jego artykułu i materiałów. Według wskazówek tych biblijografji byłby się dowiedział o znacznym udziale tej rodziny w ruchu dyssydenckim, o najznakomitszym z nich drukarzu Skrzetuskim, równie zresztą dobrze, jak o rycerskich Skrzetuskich z pod Kircholmu, czy też o znakomitych historykach, prawnikach i t. d. tego nazwiska. Pozatem tylko już odemnie zresztą byłby się nawet dowiedział, np. gdzie znajduje się oryginalny list Jana Skrzetuskiego („Skretusky” - Skrzetuski; Monachjum St. Bibl. Coll. Camerariana Supplement Nr. 205), z r. 1597 (a więc z okresu, w którym ma lukę w swych wywodach), skierowany zaś jest do wielkiego botanika tego czasu!

Wszystko to jednak razem wzięwszy, z majątkiem Skrzetuszewem, lub bez, **nie ma wogóle nic a nic wspólnego** z tym żołnierzem, nazywanym także Skrzetuskim, którego wysłano ze Zbaraża do króla. Nie dziwię się sentymentowi p. T. Skrzetuskiego, ale nie przypuszczam, by jakiś historyk, (jak twierdzą niektóre dzienniki), choćby trochę zorientowany w źródłach i literaturze tej sprawy, mógł tego Skrzetuskiego z pod Zbaraża uważać za Polaka, towarzysza husarskiego, herbu Jastrzębiec i t. d.

P. T. Skrzetuski stwierdza, że H. Sienkiewicz dwóch żyjących Skrzetuskich uważał za potomków swego bohatera z „Ogniem i Mieczem”. Świadczy to bardzo pięknie o uprzejmości towarzyskiej Sienkiewicza, mniej natomiast liczy się z faktem, że gdy planował „Wilcze gniazdo” z bohaterem Skrzetuskim, wydostającym się ze Zbaraża, to właściwie znał tylko tak zawodne, a pełne fantazji, „Szkice” Kubali, panegiryk Maszkiewicza i apokryf Weliczki.

Niedługo przecież potem on sam, po studjach nad epoką, gdy stał się już w „Potopie” realnym znawcą stosunków i pisarzem zbliżonym do rzeczywistości, wysłała na przekradanie się z listami już tylko — Sorokę, a nawet Kmicic musi tam umieć biegle po niemiecku, by móc realizować swe bujne dzieje. Szkoda również, że ten Sienkiewicz z lat po roku 1884 nie zaraził p. T. Skrzetuskiego tą wyrobioną w sobie, a przedtem mu obcą, wytworną ironją w stosunku do rozmaitych tradycji herbowskich, która mu kazała rodowód Muszalskiego z „Pana Wołodyjowskiego” wyprowadzić poprostu ze starożytności, od Samnitów i Musców! Szkoda wreszcie, że nie prze-

strzegł Sienkiewicz żyjących Skrzetuskich przed tem, że nie on brał z tradycji, ale sam stał się źródłem dla tradycji, zwłaszcza dla „tradycji okolic Zbaraża”, na którą p. T. Skrzetuski powołuje się. Tradycja (!) chłopów z pod Zbaraża umie już dzisiaj przechodniom pokazać dąb, pod którym Tatarzy zabili wielkoluda z Litwy, chociaż słodki Longinus Podbipięta zginął właściwie na herbacie w domu Sienkiewiczów, kiedy to w kółku rodzinnem, wieczorem, ciągnięto węzełki, czy gałki, który z bohaterów ma ponieść śmierć w interesie powieściowego prawdopodobieństwa. Gałka, czy węzełek śmierci wypadł na Podbipięte, czemu zresztą zawdzięczamy najpiękniejszy opis śmierci bohatera w całej naszej literaturze.

P. T. Skrzetuski z „Pionu“ i „inne osoby“ nie miały dość zaufania do mego zapewnienia, bądź co bądź wobec całej nauki i całej opinii polskiej, że „Ogniem i Mieczem“ jest nie tylko obrazem niereczywistym, ale obrazem wogóle niemożliwym w naszej przeszłości wieku XVII („Pion“ I Nr. 3), zarówno co do całości ujęcia, jak szczegółów. Transponując to moje, tak daleko idące, twierdzenie na szczególne osoby Skrzetuskiego, przeprowadzę dowód, że Skrzetuski wysłany ze Zbaraża do króla **nie tylko nie był Polakiem**, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, na tle rzeczywistości lat 1648-49, wogóle **nie mógł** nawet być Polakiem. Jeśliby bowiem był w Zbarażu taki namiestnik husarski — Skrzetuski, z Jastrzębców lub Starzów, i t. d., co więcej — pochodzący od Florjana Szarego, (który z powodu wyprucia mu jelit pod Płowcami stał się odrazu genitorem conajmniej ćwierci szlachty polskiej wogóle), to oczywiście nikomu wogóle nie przyszłoby na myśl używanie go do takich funkcji, jak przenoszenie ukrytych listów, zapomocą podstępny udawanej zdrady na dwie strony. Podobnie, gdyby istniał inny namiestnik chorągwi husarskiej — Podbipięta ze Stowejków i pan na niezmiernych włościach — to nikt nie wpadłby na pomysł używania go do podobnych zadań. To też nic dziwnego, że pierwszy wysłannik Wiśniowieckiego ze Zbaraża, który dał impuls losowi Podbipięty, a został zamordowany, lub sturturowany po przyłapaniu go przez oblegających, był w rzeczywistości zwykłym „pachołkiem“ (Michał. Ks. Pam. 456), względnie schyzmatyckim czerncem, czyli mnichem. (Kuszewicz w Zereł. Ist. Ukr. V 21).

Taka bowiem była wogóle w zasadzie rzeczywistość powyższych spraw, oraz ludzi, którzy je wykonywali.

Patrzącym na te czasy i wypadki oczyma „Ogniem i Mieczem“ i Kubali, a więc zarówno szerokiej opinii, jak historykom, tego rodzaju **najnaturalniejsze pod słońcem postawienie kwestji** aż do chwili obecnej wogóle nie mogło przyjść na myśl. Wszyscy, historycy i nie-historycy, patrzają się na poczynania, mające na celu nawiązanie łącz-

ności ze Zbarażem, jako na wielkie rycerskie wyczyny najznakomitszych polskich wojskowych owego czasu. W rzeczywistości — przed powstaniem wojska narodowego — była to funkcja, której podejmowali się tylko ludzie — powiedzmy — niższej klasy, na ówczesne sądy i stosunki, a to dla nagrody pieniężnej, i oczywiście tylko tacy, którzy, wmieszawszy się w obóz kozacko-tatarski, lub zetknąwszy się z oddziałami wojsk Chmielnickiego, mogli bez podejrzeń uchodzić za swoich. Byli więc używani dla tych spraw w zasadzie Rusini, Żydzi, Niemcy, względnie Ormianie, których jedna grupa w tatarskim przebraniu wyruszyła na podjazd (Kuszewicz w *Zer. Ist. Ukr. Rus.* V 22), zresztą bezinteresownie w interesie spokoju Lwowa.

Historjografja polska, łącznie z obydwoma najnowszemi pracami ks. Fraśia („Obr. Zbar.“ 1932 i „Bitwa pod Zbor.“ 1932), nie zna zbioru polskich relacji z wojsk królewskich z czasu od 15 lipca do 14 sierpnia 1649, które ogłoszone zostały w *Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii* cz. 3 t. IV. r. 1914 str. 286 — 302. Otóż powyższe relacje stwierdzają, że tych prób porozumienia się między stroną polską a Zbarażem, względnie odwrotnie, było cały szereg i oczywiście używano do tych zadań wszystkich, — z wyjątkiem Polaków. Obóz zbarski, od północy cernowany, a tylko od południa oblegany, pierwszą wiadomość o nadchodzącej odsieczy otrzymał za pośrednictwem Żydów. Rozmówka, jaką sobie niewychrzczony Żyd ze strony polskiej uciął dnia 3 sierpnia 1649 (Michał. Ks. Pam. 458) z wychrzczonym Żydem ze strony kozackiej, a to przy zgodliwym wspólnem braniu wody, była pierwszym przedostaniem się do Zbaraża wiadomości o ruszeniu się króla i sukcesach Litwy. Równorzędnie zaś, zarówno obleżeni w Zbarażu, jak ci, którzy przygotowywali odsiecz, wszystkimi siłami starali się o nawiązanie łączności zapomocą przekradających się wywiadowców. Tak więc starosta sokalski Denhof w stronę Zbaraża przepawił „kilka Rusinów, którzy dla pewności dali żony swoje i dzieci in obsides“ (*Arch. J. Z. R.* IV. 290) i z których dwóch wróciło z relacjami. „Pani krakowska“, czyli Sobieska, wdowa po Jakobie, ogłaszała wszędzie obietnicę „tysiaca czerwonych złotych“ takiemu, któryby się przedostał do obozu zbarskiego i przyniósł jej wiadomości o synie, Marku Sobieskim. Amnestjonowano również raz za razem więźniów od kary śmierci, wysyłając ich jako wywiadowców. Osobną organizację służby podobnej, dywersyjno-wywiadowczej, powierzono Zabuskiemu, jako Kozakowi (tamże *passim*).

Tak samo poczynął sobie Zbaraż, wysławszy „poddanych starosty krasnostawskiego“, którzy pobrali listy, a nie myśleli o wychodzeniu (*Zakł. nar. Ossolińskich*, rękps. 1389/II str. 132). Wiśniowiecki wysłał na swoją rękę jakiegoś pachołka, czy czerńca schyzmatycznego, późniejsze bowiem wersje o przejściu Stąpkowskiego, Wolickiego

i t. d. jest to raczej próba zapisania udanego przedsięwzięcia Firleja na jego rachunek. Dopiero bowiem Firlej przez wysłanie Skrzetuskiego (?) ten sam rodzaj ciągle podejmowanych prób skomunikowania się obłożonych zapomocą Rusinów, czy schyzmatyków, zrealizował. Pomijam już na tem miejscu obszerniejsze wywody, na podstawie rozbioru djarjuszy zbaraskich oraz relacji nuncjusza, z których wynika, że **wysłanie Skrzetuskiego nastąpiło w tajemnicy przed Wiśniowieckim**. Pomijam również wskazywanie na szkody wojskowe, jakie wyrządził akcji wojsk polskich ów Skrzewski, Skrzetuski, czy Stąpkowski, swemi fałszywymi relacjami o siłach Tatarów, jako nieprzekraczających kilku tysięcy ludzi. Są to szczegóły należące do mej pracy historyczno-wojskowej. Natomiast po wykazaniu, jak do zakresu niemożliwości należy zaliczanie wysłannika Zbaraża do kategorii wybitnych i polskich przedstawicieli wojska, przytoczę źródła, kim był rzeczywiście ów wysłannik i jak swą funkcję naprawdę wykonał.

Ten moment bowiem dzięki jakim cechom swą rolę ów wysłannik spełnił, jest nawet ważniejszy niż jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Nuncjusz zwie go „Skrzetunowski“, Kuszewicz — „Skrzetuski“, Kubałi i Sienkiewiczowi za podstawę służący list biskupa Szołdrskiego zwie go w rękopisie „Skrzewskim“, a tylko w błędnem wydaniu „Skrzetuskim“. Twardowski i Rudawski mienia go „Skrzetuskim“, natomiast 1) Kochowski, 2) niewydana, a bardzo błędna relacja Michałowskiego, oraz 3) niewydany opis wierszem tych wypadków (Akad. Um. 1275 str. 12) nazywają go „Stąpkowskim“, z którego to literatura za djarjuszem zbaraskim robi oddzielną wyprawę innego wysłannika. W rezultacie nie jest to momentem decydującym. Prawdopodobnie albo zwał się Skrzetuskim, albo z biegiem czasu kozackie swoje nazwisko upodobnił do znanego nazwiska szlacheckiego, skoro znacznie później Łoś go tak nazywa. W gruncie rzeczy z przebiegu sprawy wynika, że nikt ze współczesnych nazwiska rodzowego tego mało znacznego żołnierza szczególnie nie sprecyzował i nie ustalił, natomiast opisano obszernie samą przeprawę, która wywołała sensację. Ostatecznie — nazwisko ustaliło się przez Twardowskiego, którego wierszowane dzieło wniknęło we wszystkie źródła tej epoki, tak że nawet rękopisy według Twardowskiego poprawiano.

Otóż — o przedostaniu się tego pierwszego wysłannika ze Zbaraża, którego odtąd będę już nazywał Skrzetuskim bez pytańników, mamy tylko jedną relację, pełną szczegółów osobistych o nim, a napisaną tuż po przybyciu jego do króla i bezpośrednio pod wrażeniem jego opowiadania. Jest to dokładny opis tej sprawy przez nuncjusza De Torresa pod datą 14.VIII. 1649, napisany na podstawie listu wysłanego przez jego reprezentanta w najbliższym otoczeniu królewskim, z samego Toporowa, dnia 7. VIII, a więc tego samego dnia, w któ-

rym przybył Skrzetuski („Da Toporuf de 7 del corrente s'hanno lettere“; Zer. Ist. Ukr. t. XVI, str. 51/2). Podaję dokładne tłumaczenie tekstu włoskiego (o. c. 52) wobec tego, że streszczenie, względnie tłumaczenie u ks. Frąsia („Obr. Zb.“ 58) jest w jednym istotnym punkcie błędne (sprawa towarzyszącego sługi), a w drugim (sprawa przeprawy czołnem) — fałszywe. Relacja nuncjusza brzmi (w tłumaczeniu z włoskiego): „Tego samego dnia przybył do obozu króla jegomości p. Skrzetunowski, Rusin, schyzmatyk, który był się znalazł w sytuacji oblężenia naszych innych ludzi i przeszedł przez nieprzyjaciół z pomocą przemyślanego manewru. Uzgodniono z głową naszego wojska, że on uda ucieczkę od nich. W wielkim sekrecie zawiadomił o tem potem wszystkich swoich służących, którzy byli także schyzmatykami, a to celem przejścia do Chmielnickiego (Chmielnickiego), jako do sprawy bardziej korzystnej i bardziej bezpiecznej dla nich wszystkich. Służący przyrzekli pójść za nim i przybyli zapomocą tej finty do nieprzyjaciela. On (Skrzetuski) zabawił tam przez trzy dni następne, przez które miał czas obserwować ich siłę, oraz jakie miejsce jest najłabsze, a następnie ubrany za chłopca uciekł bez żadnego służącego. Droga okrężną i bagnistą, a w wielu miejscach wpływ, przybył do króla, przez którego był przyjęty, jak należy, z największą ludzkością. Przyrzeczono mu następnie pierwsze starostwo, albo urząd, który zawakuje, a Pan Wielki Kanclerz Królestwa odział go z miejsca we własne ubranie. Ten przyniósł listy do króla, podpisane przez większość oblężonych oficerów, którzy już wiedzieli o marszu osobistym króla“.

Jasnym więc jest, że nie było wogóle mowy o jakimś potajemnem przedostaniu się przez obóz Chmielnickiego i t. d., a chodziło tylko o podstęp, polegający na udanej zdradzie i dezercji do Chmielnickiego, który to podstęp wywołał u nuncjusza, jako u typowego Włocha, cały zachwył dla tej „giuridicosa stratagemma“. Nuncjusz, wbrew wątpliwościom p. T. Skrzetuskiego, nietylko najlepiej się orjentował, kto był schyzmatykiem, a kto katolikiem, ale on właśnie, niejako z urzędu, dzieli wszystkich ówczesnych ludzi Polski i Kozaczyzny najskrupulatniej na łacinników, unitów i schyzmatyków, a to przez dziesiątki stron swoich relacji. Tej to jego zasadzie należy przypisać podkreślenie schyzmatyckiego charakteru Skrzetuskiego, co poprostu żadnemu piszącemu Polakowi nie przyszłoby wówczas na myśl.

Druga współczesna relacja, która przynosi szczegóły osobiste o Skrzetuskim jest list Kuszewicza z 17. VIII. 1649 (Zer. Ist. Ukr. Rus. t. V. 19), który podaje w swym tekście polskim, że „niejaki pan Skrzetuski, towarzysz z pod chorągwi pana Gdeszyńskiego, wyszedłszy z czeladnikiem swoim z obozu oblężonego z wielką odwagą zdrowia swojego, zażywszy wiele niewczasów, przez wielkie błota

i kałuże, oganiając się psom, których dla gęstego trupa na polach wszędy pełno, przyszedł do obozu Kr. J. M., natenczas pod Toporowem będącego“. Ta druga relacja, nieco późniejsza, zlewa już wyjście ze Zbaraża z przeprawami po wyjściu z obozu kozackiego, ale podaje cenną wskazówkę przynależności wojskowej Skrzetuskiego.

Obydwie te relacje, współczesne i dokładne, nie były znane Kubali, a tak samo oczywiście Sienkiewiczowi aż do jego zgonu. Gdyby był Sienkiewicz znał charakter przeprawy Skrzetuskiego, nigdy nie byłoby mu przyszło na myśl, jako autorowi „Ogniem i Mieczem“, robienie ze Skrzetuskiego z pod Zbaraża polskiego ideału rycerskiej prawości i bohaterstwa. Raczej byłby go przecharakteryzował w stylu Zagłoby, który też w swoich przeprawach ukraińskich, jako ruski dziad i lirnik jest nie tylko świetny literacko, ale prawdopodobny.

Inne relacje, które znał częściowo Kubala, czy to błędnie wydane (Michał. Ks. Pam. 430/31), czy też rękopiśmienne (Akad. Um. 1275 i Zb. Mich. 8a 32) nie przynoszą żadnych szczegółów bliżej określających osobę Skrzetuskiego (poza przynależnością do wojska kwarcianego), co właśnie dało pole dla odtwórczej fantazji, niestety w kierunku nierzeczywistym. We wszystkich tych czterech relacjach współczesnych niema mowy o wpływ przez staw, czólnie i t. d. Wszystkie te szczegóły były potem coraz bardziej zmyślane, najprawdopodobniej w opowiadaniach samego Skrzetuskiego, wysiłające się z natury rzeczy, by z czasem coraz bardziej zatrzeć właściwy charakter swej przeprawy. Stąd bajeczki w pamiętnikach Łosia (str. 49) o „dziwnej sztuce“, dzięki której przy przebywaniu wpływ stawu przewożone listy mu się nie zamoczyły.

W zgodzie z moją tezą, że ujęcie rzeczy w „Ogniem i Mieczem“ **nie tylko nie istniało, ale istnieć nie mogło**, oraz powyższem ustaleniem faktycznego przebiegu tej sprawy, jest już wniosek, że do próby podstępnej, jak czyn rzeczywistego Skrzetuskiego (czy Skrzewskiego, Stapkowskiego), mógł być użyty przez Firleja tylko znany i wypróbowany żołnierz, ale zarazem tylko Kozak i schyzmatyk, którego charakter sam przez się wzbudzał u Chmielnickiego i Kozaków zaufanie do faktu dezercji na ich stronę. Nic więc w tem dziwnego, że na ten cel wybrano towarzysza z kozackiej, a kwarcianej chorągwi Marka Gdeszyńskiego, której rozbitki z czasów Korsunia (por. Michał. Ks. Pam. 20, 21, 24, 35) niewątpliwie częściowo wsiąknęły do Chmielnickiego. Mogli oni poręczyć za zbiega Skrzetuskiego, że to dobry Kozak i dobry schyzmatyk. Odwrotnie — po dotarciu do Toporowa i do otoczenia króla, napotykał tenże sam Skrzetuski u boku króla swego dawnego dowódcę, — Marka Gdeszyńskiego, — który teraz dla odmiany wobec króla mógł zaświadczyć, że mimo pozorów zdrady słowa Skrzetuskiego zasługują na wiarę.

Słuszne przypuszczenia dały słuszny rezultat. Ponieważ raz za razem uciekano z obozu zbaraskiego na stronę kozacką, a to mimo najsroźszych kar ucinania rąk i nóg przyłapanym zbiegom, zjawienie się Skrzetuskiego i jego poczty kozackiego u Chmielnickiego było czemś zupełnie naturalnem. Widocznie potrafił Skrzetuski na tyle wzbudzić u Kozaków zaufanie, że nie poddano go „konfessatom“, czyli torturom, które jednak Kozacy aplikowali wobec zbiegów ze Zbaraża (Z. N. Ossol. rękps. 1389/II str. 132 i passim). Wzbudziwszy zaufanie, przesiedział sobie w obozie kozackim trzy dni, poczem wymknął się w przebraniu chłopskim, kołując z obawy przed oddziałami tatarskimi, które po dostaniu go w ręce, byłyby go wyekspedjowały na Krym, bez względu na to, czy był szczerze, czy pozornie oddany Chmielnickiemu.

**Tyle jest rzeczywistości historycznej na całej tej sprawie.** Pochopny, jak zawsze, do hojnego wynagrodzenia Jan Kazimierz obiecał w pierwszym rozpędzie Skrzetuskiemu najbliższe wolne starostwo. Widocznie jednak, skoro mu wytłumaczono, kto to zasz Skrzetuski, oraz, że będzie o to krzyk na króla, skończyło się wszystko na nagrodzie pieniężnej 100 talarów z kieszeni królewskiej, oraz darach w ekwipunku ze strony kanclerza Ossolińskiego. Prawdopodobnie osłabiło także wrażenie czynu Skrzetuskiego przybycie ze Zbaraża do króla pod Białą Kamień między 8 a 12 VIII. 1649 żołnierza-Niemca („un soldato tedesco“ Zer. Ist. Ukr. XVI.53), z późniejszymi wiadomościami, niż dane Skrzetuskiego, która to przeprawa jest nieznaną naszej literaturze. Wymieniony natomiast w djarjuszu zbaraskim pod datą 11.VIII. 1649 Stąpkowski, czy Stąpkowski (Michał. Ks. Pam. 461; ks. Fraś. 61), i jego dwaj Tatarzy, według wszelkich danych, nigdy nie wyszli i są odgłosem pierwszej wyprawy i t. p. Skrzetuskiego-Stąpkowskiego i jego towarzyszy, względnie tego żołnierza niemieckiego. Literatura historyczna bowiem nasza, mimo wydania przed laty siedemdziesięciu, nie orjentuje się po dziś dzień, że t. zw. obszerny djarjusz Zbaraża jest wytworem otoczenia Wiśniowieckiego **z czasów w każdym razie po wyswobodzeniu Zbaraża** i po zakończonej wojnie. Podobnie wyprawa z tej samej daty nieokreślonych nazwiskiem wysłańców z „porucznikiem Wolickim“ (u Tomkiewicza Jer. Wiśn. 325 błędnie „Wolski“) wspomniana przez djarjusza Sierakowskiego (Z. N. Ossol. rękps. 1389/II 132) nie była wykonaną. Poza tem znany tekst tego djarjusza jest niepewny.

Skrzetuski, ten z pod Zbaraża, służył dalej wojskowo w chorągwiach kozackich, czy powiatowych, chętnie opowiadając o swoim czynie i podkreślając marną nagrodę 100 talarów, jaką otrzymał, co przebija z nastroju słów relacji Łosia („Pamiętniki Łosia“ str. 49). Nic dziwnego wreszcie w tem, że stawszy się głośnym towarzyszem

już w roku 1649, jest w 1660 porucznikiem chorągwi powiatowej, oczywiście jakiegoś lekkiego znaku, bo w husarji, ani przedtem. ani potem ów Skrzetuski z pod Zbaraża i Toporowa nie służył.

W zakończeniu jeszcze jedno słówko pod adresem tak miłej i uprzejmej obrony swej tradycji rodowej przez p. T. Skrzetuskiego. P. T. Skrzetuski myśli oczyma herbarzy i dlatego — zgodnie zresztą z całą dotychczasową historjografią tych spraw — nie bierze pod uwagę faktu, że spośród bohaterskich obrońców Zbaraża conajmniej, jak sądzę, cztery piąte nie miało prawa przyznawania się do jakichś herbów. Wówczas także bezpośrednim bohaterem był „nieznany żołnierz“ i dlatego to z takim naciskiem upomniałem się wobec naszej historji o bohaterstwo „chamów“.

Samo brzmienie nazwiska w tych czasach niczego nie dowodzi. Pomijam już tę lukę p. T. Skrzetuskiego, że właśnie w tych latach 1648/49 w licznych wykazach szlachty ziem ruskich, ani przed tą datą, ani po tej dacie, żadnych szlacheckich, czy polskich Skrzetuskich nie znajdujemy. Jeśli się nazwisk szuka tylko w herbarzach, to jest to bardzo proste, ale zarazem nieco naiwne, chociaż stosowane przez fachową historjografię, gdyż np. Kalinowscy, czy Potoccy w tych czasach byli zarówno rodu senatorskiego, jak typu szlachty ziemiańskiej, szlachty chodackowej, a występują z temi samemi nazwiskami wśród chłopów zarówno polskich, jak ruskich i t. d. Gdyby p. T. Skrzetuski zbadał rodowody tych wszystkich Skrzetuskich, których znajdzie chociażby w podanych przezemnie bibliografjach, to przekona się, że było ich wcześniej bez liku w Wielkopolsce i Krakowskiem, a zdaje się najpóźniej na ziemiach ruskich. Musi się więc zdecydować p. T. Skrzetuski na pochodzenie, albo od tych Jastrzębców, którzy osiedlili się jako średni ziemianie w okolicach Zbaraża, ale **dopiero** w sto lat po jego obłężeniu, albo na pochodzenie od zasłużonego schyzmatyka i Rusina, który się przedarł z pod Zbaraża do Toporowa zapomocą podstępu udawanej zdrady.

Ja osobiście jestem przekonany, że p. T. Skrzetuski jest „z tych Jastrzębców“ z Wielkopolski, a natomiast temu Skrzetuskiemu z pod Zbaraża pozwólmy umrzeć spokojnie, jako żołnierzowi, stale służącemu w kwarcie, — w starokawalerstwie. Proszę mi zresztą wierzyć, że szczerze wdzięczny jestem Longinusowi Podbipięcie za jego przestrzeżenie cnoty czystości, gdyż bądź co bądź byłbym w kłopotcie, gdyby obecni Longinowie i Podbipięty przyznawali się do niego jako przodka, a w dodatku odziedziczyli jego wzrost i siłę.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga, już w tym wypadku nietylko pod adresem starannych i dobrem przekonaniem kierowanych wysiłków p. T. Skrzetuskiego, ile raczej wielu innych moich oponentów.

Historja nie jest zszywaniem tu i tam zebranych wiadomości,



oraz fabrykowaniem z dziesięciu książek — jedenastej, czy z dziesięciu cytatów — jedenastego artykułu. Historia jest to taka sama nauka jak np. chemia, to też naprawdę dobrze wyszkolony, zwłaszcza na szkole średniowiecznej, historyk, tak jak chemik po zanurzeniu papierka lakmusowego, od razu widzi, które źródło farbuje, a które nie, czego laik, dyletant, a nieraz nawet tak niepospolicie zdolny samouk, jak Kubala, wogóle nie potrafi się domyślić.

Historia jest również taką samą nauką, jak np. medycyna, z czego oczywiście nie wynika, by wszyscy, czy nawet większość doktorów med. stawiała trafne diagnozy, oraz żeby od czasu do czasu wyjątkowo, nawet ktoś bez dyplomu, nie był fenomenalnym wręcz diagnostą. Niemniej jednak do poważnej i ciężkiej operacji potrzeba wyszkolonego chirurga — z dyplomem. Nie wszyscy to jednak rozumieją! Jest zaś ta analogia z medycyną do zastosowania z dużą słuszością także w odniesieniu do obecnej, tak szerokiej, dyskusji o historyczności „Ogniem i Mieczem“.

Powszechnie znaną jest anegdota, jak to nieśmiertelny Stańczyk, obwiązawszy sobie chustką twarz, wygrał w Krakowie zakład, że po świecie najwięcej chodzi doktorów, każdy bowiem przechodzeń aplikował mu rady i medykamentu. Jak na chwilę obecną ś. p. Stańczyk założyłby się napewno o to, że najwięcej jest w Polsce historyków i zakładby taki wygrał!

Ale jako, że medycyna jest dla ciała, a historia dla ducha, jako że dzięki temu zapomniane książki i postaci wyskoczyły nareszcie w Polsce z półek bibliotecznych, a studjum Sienkiewicza odżyło, — niech będzie temu stanowi rzeczy chwała i długi żywot.

### III. Książ Jarema w historycznej rzeczywistości

Polemiczna odpowiedź p. Dr. Tomkiewiczowi

Obowiązek odpowiedzi d-rowsi Wł. Tomkiewiczowi na jego polemiczne uwagi o mych artykułach pragnąłbym połączyć z końcowym niejako podkreśleniem i ujęciem w pierwszej części strony ogólnej i zasadniczej sprawy.

Szczegóły polemicznych różnic omawialiśmy z d-rem Tomkiewiczem dwukrotnie w publicznych dysputach (14.XII.33 i 8.II.34 r.), wymieniając ze sobą strzały argumentów i kontrargumentów, tak że obecnie w końcowej części odpowiedzi chciałbym wchodzić w szczegóły już tylko o tyle, o ile jest to konieczne dla odparowania pewnych jego uwag w ostatnim artykule (Pion II, nr. 4).

Ogólna istota artykułu p. d-ra Tomkiewicza sprowadza się a) do zarzutu, że — w myśl własnego mego wyrażenia — traktowałem osobę Jeremiego Wiśniowieckiego cum ira, co niesłusznie zidentyfikowałem z tendencją ujęcia w „krzywym zwierciadle historycznym“ tej postaci, b) do odpowiedzi p. Kaden-Bandrowskiemu, — co poruszyłem już w moim artykule o Skrzetuskim (Pion II, nr. 8) — w sensie udzielenia przez d-ra Tomkiewicza wyjaśnień, że nad tym odcinkiem dziejów pracowano w naszej nauce. Wysuwam te dwie sprawy na czoło, bo one interesują ogół bardziej, niż szczegóły, a zarazem łączą się ze sprawą nie tylko historyczną, ale również pedagogiczno-literacką sporu o rzeczywistość tła historycznego w „Ogniem i Mieczem“.

Kontrowersja polemiczna pomiędzy moim stanowiskiem historycznym, a d-ra Tomkiewicza, jest zarówno prosta, jak też obejmuje równocześnie obydwie powyższe kwestje, które wysunąłem na czoło. Dr. Tomkiewicz, zgodnie z nastrojami, wytworzonymi przez Kubalę i Sienkiewicza, z których ten ostatni wywarł ewidentny, ale niezamierzony wpływ na psychologiczne nastawienie naszej nauki, — rozwiązał osobę i działalność Wiśniowieckiego dodatnio, na plus, ja na-

tomiast rozwiązałem go historycznie ujemnie, na minus. W rezultacie, — p. dr. Tomkiewicz przez sporą swoją książkę musi bezustannie tłumaczyć i usprawiedliwiać postępowanie Wiśniowieckiego, a pewne momenty wręcz pomijać, a później, w konsekwencji swej trudnej pozycji, ograniczać się w obecnej polemice do pełnej koncepcji obrony historycznej postaci przed moimi zarzutami, rzekomo zbyt krzywdzącymi. Ja natomiast, w swym ataku, czy „szarzy“ oskarżeń jestem w sytuacji odmiennej, a rozwiązanie spraw daję proste. Raz za razem przytaczam niezbite fakty i cytaty źródeł, uwidaczniające coraz to nowe, a nieznanie naszej nauce, momenty, uwidaczniające wyjątkową wręcz ujemność tej postaci dziejowej; raz za razem mogą naprowadzać, coraz to dalsze, coraz to nowe fakty, uwidaczniające „odwrócenie“ tego obrazu lat 1648 — 49 i postaci Wiśniowieckiego, jaki przez genialną, a całkiem przypadkową, sugestję wrósł w myślenie polskiego ogółu przez ostatnie lat pięćdziesiąt.

Niemniej jednak nie ja jestem, czy byłem najsurowszym sędzią Jeremiego Wiśniowieckiego, a już najmniej miałem potrzebę „krzywego zwierciadła“. Z połową bowiem tych ujemnych i hańbiących danych w ręku, którymi ja już mogę rozporządzać, przy znajomości części tylko jego zbrodni, wad i zdrad, — całe dawne, a tak wielkie i poważne myślenie zarówno historyczne, jak literackie Polski potępiło najsurowiej i najbezwzględniej kniazia Jaremeę. Nie mógł bowiem, — już chociażby na podstawie ułamku materiału, obciążającego Wiśniowieckiego — wyrok wypaść inaczej, zanim niekrytyczne fantazje Kubali nie zaciemniły sądu, podówczas jeszcze bardzo niewyrobionego, Sienkiewicza z r. 1883, a następnie wprost, lub przez tegoż Sienkiewicza, całego ogółu polskiego.

P. dr. Tomkiewicz popełnił błąd, czy grzech nietylko wobec swojej książki, ale wobec siebie samego, że nie opanował, czy nie zapoznał się z całą dawniejszą literaturą tych spraw i osoby Wiśniowieckiego. Mam tu na myśli nietylko poglądy Szujskiego, który zresztą dopiero przez moje artykuły wrócił na dziś i w tej sprawie do zasłużonego głosu, nietylko inne prace Szajnochy (poza „Dwoma latami“), czy też każdemu historykowi znane „Prawem i Lewem“ Łozińskiego, ale całą dyskusję, pozornie literacką, a w gruncie rzeczy bardzo rzeczową i bardzo historyczną, jaka się toczyła w roku 1884. Jakkolwiek bowiem nie figuruje ta dyskusja w biblijografiach historycznych, miało to całe pokolenie wielkich mózgow, które zabierało głos w sprawie „Ogniem i Mieczem“ jeszcze w r. 1884, nietylko więcej zrozumienia dla tych czasów i zagadnień, ale także więcej znajomości samej *historji, jako takiej*, niż niejednen z tych, którzy obecnie w formie nieraz głośłownych inwektyw głos zabierają. Byłby może wówczas wyczuł p. dr. Tomkiewicz, że *znajomość tych czasów*

*i wypadków*, mimo wzrostu opublikowanego materiału historycznego, pod wpływem fantazji Kubali i nieprawdopodobnie nienaukowych wywodów Rawity-Gawrońskiego, *cofnęła się poprostu w nauce polskiej — wstecz*. Byłby wtenczas z pewnością zawahał się, by za tło swej pracy obrać Kubalę i Hruszewskiego, jak sam to stwierdza (str. IX), oraz zauważył, że fantazja Kubali i wymyślenia Gawrońskiego służyły tylko za wygodną, naukową, odżywkę dla tendencji politycznej w ujęciu tych zagadnień przez Hruszewskiego.

Wśród tych wszystkich bowiem roczników z roku 1884, „Kraju“, „Prawdy“, „Przeglądu Tygodniowego“, „Wędrowca“, „Biblioteki Warszawskiej“ i t. d. byłby znalazł szczegółowe i rzeczowe debaty o Wiśniowieckim, w których każde zdanie uderza wprost swą głęboką treścią myślową i rzeczową, w których poza wysoką, a dziś już tylko rzadziej napotykaną kulturą polemiki, tkwi wielka wiedza, szerokie odczytanie, oraz przemyślenie problemów. Wtenczas niewątpliwie nie byłby dr. Tomkiewicz podnosił zarzutu mojej łączności ze stanowiskiem Wiaczesława Lipińskiego, jak inni moi, bardzo rozmaitego zresztą gatunku, polemisci, wśród których przecież, obok tytułu znajomości zagadnień, góruje również nieporównanie wyższym poziomem dyskusji. Dajmy bowiem spokój tej książce „Z dziejów Ukrainy“ Wiaczesława Lipińskiego, będącej raczej chaotycznym zbiorem pierwszorzędných materiałów, niż opracowaniem. Nikt w Polsce w całości jego książki nie przeczytał, skoro nikt przedemną do materiałów Lipińskiego nie dotarł, a w rezultacie zajmuje się on raczej wszystkimi innymi kwestjami, niż tymi, które ja poruszyłem. Incydentalnie tylko cytowałem go dla możności szybkiego i łatwego kontrolowania moich dowodów źródłowych.

Gdyby był bowiem dr. Tomkiewicz nie uległ iluzji, że książki, które są później drukowane, muszą już tem samem stanowić postęp w stosunku do książek poprzednio drukowanych, a rozglądnął się w tej dawniejszej literaturze, to musiałby się zastanowić nad faktem jednak uderzającym. Oto — umysł tak głęboki, jak B. Prus, górujący na całej linii nad Sienkiewiczem z roku 1883, wiedzą i myśleniem, a nawet znajomością faktów historycznych, — zresztą także nad niejednym z moich dzisiejszych oponentów — nie wahał się skwalifikować Wiśniowieckiego, już w połowie jego kariery, jako zasługującego na „miecz“, oczywiście — katowski („Kraj“, 1884 nr. 30, str. 2), chociaż nie znał on jego stosunków z Chmielnickim, jego zdrad i knozań z Rakoczymi, jego systemu obrabowywania wdów i sierot, a uważał go za znakomitego wodza, zasłużonego dowódcę Zbaraża i obrońcę Rzplitej. Byłby p. dr. Tomkiewicz znalazł w tym artykule „Kraju“ najlepsze może, choć literackie, ujęcie tego, co zrobiono z Wiśniowieckim w naszej literaturze historycznej, po zerwaniu nau-

kowej łączności ze źródłami i rzeczywistością dziejową, a mianowicie — jak stwierdza tenże Prus (Nr. 30, str. 2) — zapoteozowano „jako jednego z najlepszych synów ojczyzny człowieka, który był jednym z najgorszych jej pasierbów“. Głębokością swego umysłu wyczuł Prus to, co mnie w skrajnej jaskrawości powiedziały źródła, czytane krytycznie, z wchodzeniem w ich wartość, czas powstania i w genetyczną inspirację. Źródła te kazały mi postawić go, jako charakter obok Stadnickiego, Radziejowskiego i Branickiego, z jednym zastrzeżeniem, że nie dorównywał im naogół talentem, ryzykancką odwagą, względnie wykształceniem.

Broni p. dr. Tomkiewicz w polemice już całkiem łagodnie Wiśniowieckiego, że „przyjemnym sąsiadem nie był“, a w dyskusji — o ile mnie pamięć nie zawodzi — tłumaczył go ogólnym tytułem „magnata-warchoła“. Jaskrawszą jednak zdawałoby się być inna entencja, której pominąć nie mogę. Jakkolwiek trudno mi polegać na nieraz tak zawodnych sprawozdaniach w prasie („Illustrowany Kur. Codz.“, art. dr. Krzemickiej z 19.II.34r.) podobno również prof. St. Zakrzewski obok obrony „polskości“ Skrzetuskiego, przedstawiał kniazia Jareme w ten sposób, że „typ jego ze swymi przywarami nie odbiegał od ogólnego typu szlacheckiego owych czasów“, a nawet zestawiał go narówni („takie same cechy“) — *horribile dictu* — z psychiką Jana Sobieskiego, nie oglądając się na to, że psychikę tegoż Jana Sobieskiego, wśród innych realnych momentów i ludzi ówczesnej Polski, wcielił Sienkiewicz w postać Kmicica.

W imię przeszłości dawnej Polski nie mógłbym się nigdy na takie ujęcie, czy na taki sposób usprawiedliwiania kniazia Jaromy zgodzić. Niewątpliwie mój sąd o naszej szlacheckiej rzeczywistości wieku XVII jest surowy, czy „czarny“, zresztą w zgodzie z t. zw. szkołą krakowską, ale przecież nie mógłbym w tem „samooskarżeniu polskiej rzeczywistości“ wynaturzyć siebie aż do twierdzenia, że każdy „przeciętny“ ówczesny magnat polski, gdy zajechał na pogrzeb swego stryja, to zaraz obrabował przy okazji swą stryjenkę z gotówki i kosztowności, że każdy używał pretekstu gościny dla zdrady i rabunku, że każdy wybierał się mordować króla, kanclerza, senatorów, że każdy knuł spiski i łąsił się do Chmielnickiego, udając na zewnątrz jego nieprzejednanego pogromcę, pomijam już bowiem spiski z Rokoczymi. Tak samo polscy wodzowie-magnaci, po okresie Żółkiewskich i Chodkiewiczów, nie raz i nie dwa nie dopisywali w swych zadaniach, ale nie każdy, jak Radziejowski i Wiśniowiecki, był zdolny do wzięcia na siebie obowiązków wodza i obrony, by w nocy chyłkiem z wojskiem i pieniędzmi uciec, wydając najcenniejsze miasto Polski bez walki na łup nieprzyjacielowi. Wreszcie — niewątpliwie nie jeden i nie drugi raz żołnierz polski był okrutny, a ręka polska

sroga, ale nie każdy wódz polski zajmował się wbijaniem na pal i świdrowaniem oczu księżom ruskim („świaszczennykom“) tak, jak Wiśniowiecki. Żadne bowiem tłumaczenia i ukrywane motywy obrony tego, który wstawił się przedewszystkiem rekordem okrucieństw nad własnym, a nam — według Sienkiewicza — pobratymczym narodem nie zmieniają stanu, że tylko na Wiśniowieckim ciążyą takie fakty, stwierdzone wiarogodnemi i współczesnemi źródłami.

Jeśli bowiem ta *rzeczywistość polska w XVII-go* była naprawdę smutną i ciężką, to jednak *nie była tak potworną*, jak chcieliby niektórzy historycy, uznając tego pasierba Polski — kniazia Jareme — za przeciętny typ magnata polskiego.

Tyle było koniecznem dla ogólnej charakterystyki. Pozostają jednak jeszcze dalsze strony sporu, a zwłaszcza na czele sprawa stanu badań nad temi zagadnieniami. Jeśli p. dr. Tomkiewicz nie wziął pod rozwagę i osąd całej literatury tych spraw, to także nie wykonał pracy, któraby mu pozwoliła zrozumieć pochodzenie całej famy o Wiśniowieckim, a dała niezbędną podbudowę wszystkim badaniom tego okresu. Gdyby był p. dr. Tomkiewicz zapoznał się w całości z tem, co zrobiła literatura ukraińska, poddawszy np. wyczerpującej krytyce swoje źródła, tych rozmaitych Weliczków, Samowidców i t. d., to przekonałby się, że — w przeciwstawieniu do strony polskiej, — roi się ona wprost od studjów, badań i wydań prac, oraz źródeł do powyższych zagadnień. Pracuje przez ostatnich lat 50 (obok Hruszewskiego, — Kamanin, Lipiński, Tomaszewski, Krypiakiewicz, Korduba i t. d.) nietylko cały ukraiński historyczny Kijów i Lwów, ale dziś nawet, niemal nieznanne, Instytuty w Niżynie, czy Połtawie, przynosząc moc publikacyj, których większość nauce polskiej nawet z tytułów nie jest znana, jak to łatwo można sprawdzić chociażby na podstawie krótkich sprawozdań Doroszenki w Zeitsch. f. osteurp. Gesch. (t. V str. 453 — 462) i M. Korduby w Minervazeitschr. (IX 1933 zesz. 9—12). Oczywiście — zagadnienia powyższe są dla historjografji ukraińskiej zasadnicze, podstawowe i z całym nakładem pracy wykonywane, a dla nas tylko *jedne ze spraw głównych*. Niemniej jednak było i jest obowiązkiem nauki polskiej wykonanie tych zadań z naszego stanowiska i wobec naszych źródeł.

Podjąwszy się tego zadania, byłby p. dr. Tomkiewicz — w miejsce eklektycznego powoływania się raz na jeden, a raz na drugi cytat, musiał przedewszystkiem skonstruować przedwstępny rozbiór źródeł do tych spraw i czasów. Przekonałby się wówczas, jak się te poszczególne wersje łączą, powtarzają i przeważnie są wytworem tych samych ogniwi. Może wtenczas doszedłby do przekonania, że spora część tych źródeł jest to, jakby piramida, stojąca na swoim szczycie, u której podstaw tkwi Twardowskiego — „Wojna domowa z Kozaki“?

Może wówczas byłoby go uderzyło, że właśnie ten Twardowski był klijentem rodziny Wiśniowieckich!

Napewno zaś po takiej pracy nie byłby już w polemice ze mną i dla kwestjonowania moich poglądów powoływał się i opierał o tego samego Weliczkę, którego w pracy swojej sam słusznie nazwał, że jest źródłem „niepoważnym“, „pełnym błędów“ („Jer. Wiśn.“ str. 204 i XII). Byłby w takim rozbiorze stwierdził również to, co powiedziałem o Hannoverze, a mianowicie, że jest on „dowodem, co czuły i myślały setki ghatt żydowskich“, a nie polemizował ze mną argumentami, że na dworach szlacheckich nie czytano po hebrajsku (por. „Pion“ II Nr. 4). Oczywiście — Żydzi ówczesni czytali po hebrajsku, ale szlachtę informowali swoją polszczyzną.

Dr. Tomkiewicz wyszedł, niestety, z niesłusznej podstawy i sądu, że już istnieje jakaś nowa, krytyczna podbudowa dla kontynuowania badań nauki polskiej nad okresem 1648/51. W rzeczywistości należy dopiero zaczynać od podstaw i od krytyki źródeł, od uzupełnienia badań przez archiwalja nietknięte (np. całość zbiorów Michałowskiego, zbiory Rusieckich i t. d.), a w literaturze sięgać po myśli i poglądy do tych naprawdę wielkich umyśłów Polski z przed lat 50, którzy — niestety — przed moimi artykułami poszli zupełnie w zapomnienie, pod wpływem niesłychanie ubogiej, — nawet na wagę papieru, — choć sugestywnej, ale zato pełnej błędów i zdecydowanych fałszów późniejszej literatury historycznej. Powinno było przecież uderzyć dr. Tomkiewicza, — skoro prof. Wł. Konopczyński, ustalając bieg tych czasów dla powszechnego, naukowego użytku, nie umiał tego zauważyć, — że takich oceanów lodowatych pod Beresteczkiem, jak to wytknąłem przykładowo (por. mój art. „Pion“ I nr. 1), jest np. u Kubali — moc! Wszak już Hruszewski zwrócił uwagę na niesłuszne włączenie przez Kubalę Czaplńskiej do spraw Zborowa przez pewne nierozumienie źródeł (Ist. Ukr. Rus. VIII/3, str. 221), a Korduba (Zap. Tow. Szewcz. T. 133, str. 109), wytknął nawet galimatjas Kubali (J. Ossol. II 284), który w swych wywodach poróżnił Zasławskiego z Koniecpolskim z powodu rzekomych zabiegów o rękę siostry Rakoczego, której wogóle na świecie nie było!

Sprawy wojskowe w obecnych uwagach i na łamach „Pionu“ pomijam, a to zarówno Górskiego, jak ks. Frąsia, czy nowelę Kubali o Beresteczku, rezerwując te sprawy do odpowiedzi polemicznej gen. M. Kukielowi (zob. jego art. w „Kurjerze Warszawskim“ 14.II 1934 Nr. 44) i wykazania, nietylko, jak dalece mój rewizjonizm jest zasadniczy, ale także dlaczego to na tym terenie zarówno co do oceny, zwalczania cyfr astronomicznych, jak „chamów“ byłem prawie bez poprzedników. Odpowiem również w dalszym ciągu prof. Wł. Konopczyńskiemu, na którego polemikę w „Kurjerze Warszawskim“

(22.II 1934, Nr. 52) zwracam pośpiesznie uwagę wszystkich interesujących się sprawą, jako na bieżącą ilustrację mych obecnych wywodów o obniżaniu się w Polsce, zarówno poziomu polemiki naukowej, jak znajomości faktów. Wyruszył bowiem prof. Wł. Konopczyński do boju z dokumentami w „redakcji” dr. A. Czołowskiego dla „Ilustrowanego Kurjera Codziennego” i danemi z pism, ale zato bez znajomości chociażby daty bitwy — pod Żółtymi Wodami!

Jeśliby był dr. Tomkiewicz oderwał się od sugestji tych zupełnie niekrytycznych prac Kubali i Rawity-Gawrońskiego i od obrazu, wynikającego z tych przesłanek u prof. Wł. Konopczyńskiego (Hist. Polit. Enckl. Akad. Um. II, 309 — 323), byłby spostrzegł, że *przez ostatnie lat 50 nauka polska — poza wydawnictwem materjałów — wogóle nie pracowała na tym odcinku, a w ogólnej znajomości i rozumieniu tych spraw poszła wstecz*. Niech więc mi będzie wolno — właśnie przy wszystkich moich krytycznych zastrzeżeniach — podkreślić zasługę dr. Tomkiewicza, że wogóle wszedł ze swą pracą na ten, chyba najbardziej zaniedbany, a tak ważny teren polskiej historjografji, oraz zaznaczyć fakt uwzględniania przezeń publikacji rosyjskich, których pomijanie kwestjonuje np. dorobek monografji ks. Frąsia.

Odziedziczył dr. Tomkiewicz po poprzednikach ogólny pogląd, że istotę ówczesnej polityki polskiej lat 1648 — 50 stanowiła walka partji militarystycznej z partją pacyfistyczną, podczas, gdy był to dalszy ciąg walki stronnictwa wielkiej i zewnętrznej wojny dla celów Rzeczypospolitej (z Wazami, Ossolińskim, Kisielom i t. d. na czele) z partją małej, domowej wojny, w pierwszej linii wyłącznie dla prywatnych interesów chorążego Koniecpolskiego i Jeremiego Wiśniowieckiego. Musiałbym na tem miejscu niemal całą rozprawę napisać, pełną cytatów wykazujących, że właśnie kanclerz Jerzy Ossoliński był tym, który pacyfizm i kwietyzm szlachty polskiej piętnował, jako źródło całego jej ówczesnego moralnego rozkładu, że on właśnie walczył wszędzie i bez przerwy o sprawy wojska i wojny, rozumiejąc przytem, że ta zupełna bezwartościowość bojowa pospolitego ruszenia winna jednak pozostać tajemnicą państwową i t. d.; to wychodzi jednak poza ramy obecnej polemiki.

Wracając ściśle do osoby kniazia Jaremy i szczegółów spraw, niewydobył p. dr. Tomkiewicz dwóch głównych, prostych i jasnych, a bez zastrzeżeń egoistycznych, rysów postępowania Jeremiego Wiśniowieckiego, bo o dążeniach politycznych w sensie jakichś koncepcji trudno wogóle mówić w odniesieniu do niego. Wiśniowiecki — w przeciwstawieniu np. do uczciwej taktyki Kisiela, lub wręcz odwrotnej, ale jednolitej chorążego Koniecpolskiego, prowadził równocześnie dwie gry: jedną na terenie Polski, a drugą u Chmielnickiego,



z którym był związany dawna przyjaźnią, jak sobie to bez przerwy nawzajem aż do śmierci Wiśniowieckiego wypominali. Na terenach Polski *dążył* wszystkimi środkami oszczerstw, rozbijania karność, podrywaniem zaufania, buntowaniem na wodzów, konfederacją i t. d., *do chwycenia władzy wojskowej w swe ręce*, oczywiście — dla swoich celów prywatnych, a na terenie kozackim, zarówno od momentu zbierania się burzy Chmielnickiego, jak po swej ucieczce w czerwcu 1648, stara się *przez osobę Chmielnickiego uratować, względnie odzyskać swe dobra zadnieprzańskie*.

Na terenie Polski występuje, jako nieprzejednany wróg Kozaczyzny, który rzekomo dokonał bardzo wiele pod względem wojskowym, a prowadził to inspirowanie opinii tak zręcznie, że nie tylko wszyscy Żydzi polscy wprowadzeni są w błąd, ale równocześnie wszystkie dzwony kościelne Polski biją na chwałę bitew Wiśniowieckiego, których nie było. Na terenie kozackim miał znowę z Chmielnickim, przypuszczalnie z okresu między tegoż zbiegostwem na Niż, a bitwą korsuńską. Jest to sprawa dla mnie nadal niewątpliwa, ale dzisiaj tak zagmatwana lansowaniem w opinię polską dorabianych dat i danych, że bez prezentowania całego aparatu naukowego dosadne, a krótkie jej omówienie jest niemal niemożliwe. Jedyne dla informacji p. dr. Tomkiewicza, który bardzo przedwcześnie wytknął mi brak studjów archiwalnych nad temi kwestjami, komunikuję, że nie tylko dane przytoczonych przezemnie relacji zarówno opata Czołchańskiego, jak ks. Łaski są najbezwzględniej ściśle, ale mają swe dalsze potwierdzenie w archiwaljach, które po ich odkryciu zastrzegłem dla siebie i mego przyszłego szczegółowego opracowania. Według tych danych pułkownik kozacki Nebaba opanował dobra Wiśniowieckiego, zabił pozostawionego tam administratora Jaremy, ale Chmielnicki ujął się za prawami Wiśniowieckiego, wysłał ekspedycję karną, a schwytanych odesłał kniaziewi Jaremie, tak jak to zresztą podawała niedoceniana co do swej wagi relacja ks. Łaski. Oczywiście — tak samo rozbiór czysto wojskowy sprawy korsuńskiej wymaga znacznie szerszych ram, niż to jest możliwe w polemice, a zwłaszcza rozbioru i mapy marszu Mikołaja Potockiego, z którego wynika, że hetmani cofali się najprzód ku Wiśniowieckiemu, a potem, straciwszy po liście Wiśniowieckiego wszelką nadzieję pomocy z jego strony, skręcili ku Białocerkwi, na której to drodze nastąpiła klęska pod Korsuniem i zniszczenie wojsk koronnych. Jasnym jest, że w rozbiór tej sprawy wchodzi również stały moment psychologiczny charakteru Wiśniowieckiego, który zawsze broni się i bronić się będzie aż do ostateczności przed poddawaniem siebie i swoich wojsk pod wyższą komendę organów Rzeczypospolitej, oraz sprawa jego stosunku do Mikołaja Potockiego, Koniępcowskiego i t. d.

Jeśli z tych wszystkich, tak dla Polski niebezpiecznych, wrogich, a licznych zamierzeń Wiśniowieckiego wogóle nic nie zostało doprowadzonym aż do swej ostatecznej szkodliwości, to głównie dla tego, że był on jednym z najgorszych organizatorów wojskowych, jacy kiedykolwiek w byłej Rzeczypospolitej działali. Na upragnioną bowiem rolę conquistadora brakowało Wiśniowieckiemu zarówno hiszpańskiej odwagi, jak niemieckiego zmysłu organizacyjnego. Najdobitniej to występuje właśnie na terenie wojskowym. Od Zygmunta Starego do Maciejowic zawsze Rzeczypospolita miała choćby kilka tysięcy zorganizowanych, czy skoncentrowanych wojsk. Wyjątek stanowi jeden z najkrytyczniejszych okresów, a to ten, gdy Wiśniowiecki, na podstawie bezprawnego okrzyknięcia go wodzem przez lwowskich dezertarów, przez spryt i inspirację swego stałego przyjaciela Radziejowskiego, chwycił w swe ręce najwyższą władzę wojskową w Polsce, zresztą potem przez sejm zlegalizowaną. Z momentem objęcia władzy przez Wiśniowieckiego, a po jego ucieczce ze Lwowa, rozleciało się całe wojsko do reszty, nawet ten zaciąg za pieniądze mieszczan. Choćgdy bądźto pojedynczo puciekały za Wisłę, bądźto w liczbie przeszło 9.000 żołnierstwa włączyły się po Polsce bez żadnej więzi organizacyjnej (Ks. Pam. Michałowskiego — *passim*), a obserwator i poseł cesarski właśnie dla tego okresu, t. j. elekcji, stwierdził, że Polska ze względu na Chmielnickiego musiała wybrać Jana Kazimierza, bo nie miała żadnych wojsk (Zer. Ist. Ukr. Rus. XII str. 100 „von polnischer Seit kein Heer vorhanden war.”). Wiśniowiecki ku oburzeniu nawet sejmu polskiego tym stanem rzeczy się nie zajmował, ani wojsk nie organizował, chociaż Chmielnicki zapuszczał z pod Zamościa zagony na wsze strony. Wystarczyło mu bowiem, że z resztą 800 jeźdźców, opłaconych pieniędzmi mieszczan lwowskich, zdążył w charakterze magnata na elekcję, gdzie awanturował się z ludźmi prymasa i buńczucznie upominał o wdzięczność Rzeczypospolitej, gdy wszyscy wołali dosłownie: „karaćby was należało”. Rozpaczliwą sytuację, wytworzoną głównie przez Wiśniowieckiego, uratowała tylko taktyka polityczna Ossolińskiego i Kisiela.

Zmuszony jestem skracać się i wracać do rektyfikowania szczegółów. Wymowa źródeł była aż zbyt jasna i kategoryczna, by dr. Tomkiewicz nie musiał w pewnej mierze ich tenoru łagodzić. Może dlatego (str. 258) właśnie na wyżej wspomniany, fatalny okres najwyższej władzy wojskowej Wiśniowieckiego podał zwycięstwo Jaremy nad 3.000 Kozaków, chociaż cytowane przezeń źródło (rel. Torresa Zer. Ist. Ukr. XVI, 30) nic nie mówi — w odróżnieniu od innych wypadków — o żadnych Kozakach, tylko o „3 m. banditi e villani sollevatisi“, co może się odnosić do walk rozpuszczonego żołnierstwa równie dobrze z chłopstwem polskim, jak ruskim, przy oczywistej

przesadzie cyfry. Chmielnicki i jego wojska oblegały spokojnie Zamość przez nikogo nie molestowane, nawet przy zagonach za rabunkiem. Podobnie w innym miejscu, wobec faktu, że Ostroróg rozповідаł o tchórzostwie Wiśniowieckiego pod Piławcami (Szajnocha „Dwa lata“ II, dod. str. 467), p. dr. Tomkiewicz wspomina (str. 249), że Wiśniowiecki zarzucał to nawzajem Ostrorogowi, chociaż tego w cytowanym źródle niema. W tłumaczeniu oświadczenia Wiśniowieckiego, że w razie, gdy mu sejm we wszystkim nie ulegnie, to nagotuje Polsce piwa gorzej, niż Chmielnicki (A. J. Z. R. III — 401, por. „Pion” I Nr. 11 str. 8 i wyżej str. 29), opuścił p. dr. Tomkiewicz słowo „we wszystkim”, chociaż właśnie to ważne słowo najlepiej charakteryzuje, że jakakolwiek kollaboracja Polski, czy monarchy z rozbójniczym kniazem była wogóle niemożliwa.

W konsekwencji swego nastawienia wobec Jaremy i z natury rzeczy nie uwypuklił p. dr. Tomkiewicz faktu, że *głową, myślą, rzeźnikiem i obrońcą na sejmach, współnikiem z Piławiec i Lwowa, a najbliższym przyjacielem Jeremiego Wiśniowieckiego od czasów Władysława IV do Beresteczka jest właśnie i ciągle „arcyotr”* — według mego określenia — *Hieronim Radziejowski*. Jeśli ktoś z interesujących się obecną dyskusją zechce przeczytać opis tegoż, ale już historycznie w rzeczywistości dziejowej zorientowanego, Sienkiewicza, jako Radziejowski, wbrew obawom Szwedów, mimo obowiązków i nastrojów szlachty, umie pod Ujściem sam jeden odwrócić sytuację ku zdradzie („Potop” wyd. Ossol. I. str. 113 — 126), to od razu zrozumie rolę kniazia Jaremy w Polsce. Mózgiem bowiem Wiśniowieckiego — na ogół niewykształconego, nie umiejącego przemawiać — był na terenie Polski od r. 1647 do 1651 stale nie kto inny, jak „suo amico” (wyrażenie Torresa) — Hieronim Radziejowski! Początkujący dopiero w historii autor „Ogniem i Mieczem” wogóle nie domyślał się nawet istnienia tej spółki historycznej, politycznej i finansowej — Radziejowski i Wiśniowiecki.

Szkoda również, że nie poszedł p. dr. Tomkiewicz na poszukiwania za poufnymi wypowiedziami się Wiśniowieckiego przed Kozakami, chyba ważniejszymi, niż trómtadracki „hurra-patryjotyzm” jego kancelarji. Zobaczyłby wtenczas, że żadne względy na Polskę, czy Polaków, nie wchodziły u niego w grę, gdy łąsił się u Chmielnickiego raz za razem o zwrot swoich dóbr i zapewniał kozackiego hetmana, że pośle w te swoje grody „uradnikow christian, ze a nie Lachow” (christian — schyzmatyków: według cytatu relacji Neronowa w A. J. Z. R. t. VIII str. 316). Oczywiście — nie składał Wiśniowiecki takich deklaracyj sejmowi, czy nuncjuszowi, który go uważał za puklerz katolicyzmu, podobnie, jak nie obsypywała jego kancelarja sejmików szlacheckich wiadomościami, że Chmielnicki osłania jego dobra przed

innymi Kozakami, którzy go zresztą naprawdę nienawidzili, odgrążając się wszędzie, że go będą ścigać z pomstą za dokonane okrucieństwa aż do Gdańska.

Sprawy odwagi jego osobistej właściwie nie poruszałem, mając raczej na myśli jego charakter dowódcy, gdy go określałem, jako „uciekającego raz za razem przed wrogiem z pohańbieniem najbardziej zasadniczych obowiązków żołnierza i wodza“ („Pion“ I—3), lub gdy stwierdziłem, że on to (z pod Piławiec) „uciekając jeden z pierwszych dobił do Lwowa w stanie, który się nazywa po wojskowemu „bez portek“ („Pion I — 9), oraz konstatowałem, że uciekł ze Lwowa tak, „jak przedtem uciekł najhaniebniej z Zadnieprza, jak uciekł z pod Piławiec, jak potem ucieknie z Zamościa“ („Pion“ I — 9). Poza tem, rozważając psychologję jego przerzutów w taktyce życiowej, charakteryzowałem go jako człowieka, który był równocześnie przy korzystnym zbiegu okoliczności „groźnym napastnikiem, jak zdecydowanym tchórzem wobec poważnego niebezpieczeństwa“ („Pion“ I Nr. 11). Wszystkie te obserwacje uważam za słuszne i podtrzymuję w całości bez możności rozprowadzania, musiałbym bowiem wpadać w powtarzanie się. Cały bowiem rok 1648 jest jednym ciągiem haniebnych ucieczek Wiśniowieckiego przed Kozakami, z którymi — ściśle biorąc — wogóle się nie stał. *Kwestja odwagi czysto osobistej musi być, wbrew całej opinii historycznej, conajmniej pod znakiem zapytania.* Ówczesny typ wojny narażał biorącego wprost udział w walce nietyle na śmierć, ile na częste rany, nawet w charakterze dowódcy. *Z Wiśniowieckim nigdy to nie miało miejsca*, a niewątpliwie byłoby to opisał jego panegirzyści całymi łokciami, gdyby był wogóle kiedyś w walce stał się wprost. Wytlumaczę przykładowo przez oszczędność miejsca: w czasie oblężenia w Zbarażu ta wysmiewana „łacina“ Ostro-róg jest dwa razy ranny rydłem chłopskim, a raz kulą. Jasnym więc jest, że bił się w pierwszej linii, chociaż był dowódcą i regimentarzem wojsk. Natomiast o Wiśniowieckim zanotowano pośpiesznie w obszernym djarjuszu oblężenia (Ks. Michał, str. 462) aż o tak strasznej rzeczy, że niedaleko od niego zastrzelono psa. Niewątpliwie, gdyby był w czasie jakichkolwiek walk znalazł się w niebezpieczeństwie osobistem, skrzyżował w starciu szablę i t. p. — to mielibyśmy o tem szeregi opisów, skoro nawet pies, który miał zaszczyt być postrzelonym opodał Jaremy, znalazł się w źródłach, w konsekwencji w monografiach historycznych (por. Jer. Wiśn. str. 327).

Dotychczasowe zachwyty dla jego udziału w walkach Beresteczka wynikają również tylko z braku krytyki źródeł, czem się zajmę gdzieindziej. Dla odmiany zaś charakterystycznym jest, że panegirzysta, ale bardzo nieinteligentny, — Maszkiewicz, — który chwalać Wiśniowieckiego, raz za razem mimowoli zdradza ujemne jego strony (por.

moje uwagi „Pion“ II Nr. 5 str. 6), wyraża się, że gdyby nie bronienie się przed chłopami, czy Kozakami, szlachty w Czernihowie, „nabrałby się księżę z księżną strachu“ (Niemcewicz, Zbiór Pam. Hist. V — 70). Widocznie Maszkiewicz nie uważał go za człowieka niedostępnego strachowi, chociaż go chwalił, jak tylko mógł i jak przy swym braku inteligencji — umiał. Ossoliński i Ostroróg zarzucali Wiśniowieckiemu wprost tchórzostwo, co przebieg wypadków potwierdza w każdym razie w stosunku do niego, jako do dowódcy, ulegającego panice. Sądzę, że nawet bez zestawienia Wiśniowieckiego np. z Gustawem Adolfem, Karolem Gustawem, Janem Kazimierzem, Czarnieckim, pokrytym ranami, czy zgonem Żółkiewskiego, muszą zastanawiać te bezustanne rany ówczesnych polskich hetmanów (np. nawet pijak, wielki hetman koronny Mikołaj Potocki, cięty kilkakrotnie szablą, hetman polny Kalinowski, ranny raz za razem, ginie w polu, tak samo samodz. dowódca Stefan Potocki i t.d.), czy wybitniejszych dowódców owych czasów przewagi walki wprost (np. dowódcy samodzielnych wojsk kozackich Krzyczewski, Nebaba i t. d.). Każdy musi uznać za zastanawiające, że o rzekomo najodważniejszym z nich, a omawianym i gloryfikowanym we wszystkich szczegółach swych poczynań, — Wiśniowieckim, — wiemy naprawdę, o ile chodzi o jego osobę, tylko tyle, że obok niego psa ustrzelono. Już bowiem dla tego konia pod Żońlinem (r. 1638) znowu musiałbym wejść w sprawę rozbioru źródeł, Okolskiego i t. d.

Reasumując więc, stwierdzam, że jako wódz Jeremi Wiśniowiecki raz za razem wykazywał haniebne tchórzostwo, a odnośnie do jego odwagi osobistej, to wogóle nie mamy danych, by o udziale w walkach wprost można było mówić, a tembardziej o jego odwadze.

Jeszcze parę szczegółów muszę sprostować, a to w tym wypadku, zwalczając p. dr. Tomkiewicza z polemiki w „Pionie”, najlepiej p. dr. Tomkiewiczem — autorem „Jeremiego Wiśniowieckiego“.

Zapytuje się np. dr. Tomkiewicz, „dlaczego Wiśniowiecki, mimo zawartej rzekomo zmowy, nie pozostaje na Zadnieprzu, a uchodzi na Polesie, by wszcząć walkę z Kozakami na Ukrainie?“ („Pion“ II Nr. 4 str. 6). Na część pytania odpowiedziałem poprzednio, wskazując na rozbiegnięcie się jego wojsk, a zarazem nadzieje na buławę. Dlaczego zaś wyszedł z powrotem z Polesia, — chociaż obecnie chce p. dr. Tomkiewicz, że rzekomo dla walki z Kozaczyzną, — to przecież najlepiej i najstuszniej odpowiedział on sam w rozprawie. Przecież mówiąc o wyjściu Wiśniowieckiego z Polesia na ziemię ukraińskie, co doprowadziło do walk z chłopami, czy Kozakami, sam p. dr. Tomkiewicz zaznaczył, że „postanowił udać się wojewoda Wiśniowiecki) w tamże strony, by... wybrać co się da z gotowizny“ (str. 196), oraz że chodziło mu o „uratowanie, co się da z posiadłości synowców i po-

większenie zastępów zbrojnych“ (str. 208). Odpowiedź więc jest prosta, jasna i słuszna. Podobnie w polemice („Pion“ Nr. 4 str. 7) dla zlekceważenia sprawy Lwowa twierdzi p. dr. Tomkiewicz, że Radziejowskiemu „wytykano brak 15.000 złotych“, natomiast w pracy „Jeremi Wiśniowiecki“ podaje słusznie rozrachunki lwowskie („Jeremi Wiśniowiecki“ str. 253), zwracając uwagę,—jak „Radziejowski tłumaczył się na sejmie, że wziął 86.000, podczas gdy Ostroróg mówił o 175.000“. Niewątpliwie gros sumy zagarnął do swej kieszeni Radziejowski, jako sprytniejszy w tej spółce, ale zato Wiśniowieckiemu zostawił nietylko „traktament“ dla niego i wszystkich jego, tak z prawem kolidujących pomocników, czy podkomendnych, ale także zaciąg wojskowy, z którego resztki dociągnął przecież na elekcję do Warszawy.

Zemknął według własnych, wyraźnych słów Wiśniowiecki ze Lwowa dlatego, że od momentu zrodzenia się idei obrony u mieszczan lwowskich planował obrabowanie miasta i ucieczkę. Nietylko mogła, ale powinna była przyjść ta myśl p. dr. Tomkiewiczowi, gdy zestawiał w książce (str. 254/255) jego zaciąg lwowski, a mianowicie na 3.154 jazdy zaciągnął Wiśniowiecki zaledwie 230 piechoty, wliczając w to zresztą piechotę miasta. Jeśli zestawimy to faktem, że Ostroróg w okresie, gdy miał jeszcze „coś do gadania“, zabiegał wyraźnie tylko o piechotę dla Lwowa, to jest zupełnie jasne, że Wiśniowiecki z Radziejowskim ukartowali komedję organizowania obrony miasta, celem obrania z pieniędzy mieszczan, oraz dla zdobycia zaciągów na sejm konwokacyjny. Istniała przytem możliwość, że Chmielnicki po Piławcach, tak jak po Korsuniu — stanie. Na pierwszą jednak wiadomość o możliwości walk — uciekli! Tak o tem myśleli wówczas wszyscy i dzisiaj nieistnieje inna możliwość tłumaczenia. Lwów zaś obronił się z dziesiątą niemal częścią sił, gdyż był na tym całym terenie po Zamość i Kraków nietylko najsilniejszą twierdzą, ale miał najlepszy materiał mieszczan, od którego w gruncie rzeczy zawsze najwięcej w obronie miast zależało (por. sprawę Baru). Dlatego też nietylko wtenczas, ale stale aż do czasów Karola XII był i pozostał Lwów niezdobytym dla oblężeń i wypraw nawet poważniejszych, niż to, czem dysponował Chmielnicki w październiku 1648.

Ponieważ jednak ten podstępny plan Radziejowskiego i Wiśniowieckiego z października 1648 mógł się stać nieodwołalną katastrofą, już nietylko dla ówczesnego państwa Polskiego, ale dla dziejów narodu polskiego, jako takiego, nie mogę ze stanowiska polskiego takiej postaci, jak książę Jarema, omawiać bez gniewu („cum ira“). Sąd ten wykonuję jednak bez śladu tego, co się nazywa „cum studio“, t. j. bez jakiegokolwiek naginania wymowy źródeł i faktów do mego rozumienia spraw i ludzi ówczesnych.

Pragnąc dobiec do końca, pomijam drobniejsze szczegóły. Np.

określenie banity zaczerpąłem z Szajnochy („Dwa lata“ I. wyd. 1900 str. 224). Oczywiście — byłoby to najmniejsze z przewinień, jakie miał na sumieniu Wiśniowiecki. Podobnie nie mogę obecnie innych, nieraz nawet nieporuszonych, punktów sprawy rozprawiać, posługując się tymi wszystkimi argumentami, cytatami i źródłami, które piętrzą się mi zarówno w myślach, jak w książkach, leżących przedemną. Podziwiam tylko jak Prus, nie znając ich jeszcze, wyczuł swym wielkim intelektem w przeciwstawieniu do niewyrobionego jeszcze, a zapalającego się do Kubali i apoteozowania szlachetczyzny, czy magnatów, Sienkiewicza, że ten Wiśniowiecki był najgorszym z pasierbów Polski, że zasługiwał na miecz katowski, a żył i błyszczał tylko na tle głupoty i anarchji ówczesnej szlachty, oraz talentu (w gruncie rzeczy Radziejowskiego, a nie swego) bezustannego podburzania przeciw królowi, władzy, czy akiejkolwiek polityce, obliczonej na potrzeby państwa polskiego.

Dobiegając do końca, muszę jeszcze kilka słów poświęcić już nie pod adresem historyków, ale pod adresem tej szerokiej opinii, dezorientowanej wersjami dzienników, że historycy Lwowa, Krakowa, Warszawy i t. d. „protestują” przeciw moim wywodom i ujęciom historycznym.

Osobiście na podstawie zebrań, w których brałem udział, nic mi o tem nie wiadomo, z wyjątkiem tych wypadków, które sam najskrupulatniej notowałem zarówno dla czytelników „Pionu”, jak obecnej książki, w której powtórzyłem me wszystkie artykuły bez najmniejszych zmian i z przyjęciem wszelkiej odpowiedzialności naukowej za wszystko, z wyjątkiem błędów korektorskich. Podobnie nic mi nie wiadomo, ażebym się wogóle z czegokolwiek, chociażby z jednego słowa, wycofywał, każde z nich bowiem, przed ogłoszeniem, najpierw sam przed sobą udokumentowałem i przemyślałem. Jak dotychczas, cała ta ofensywa wykazała mi tylko zupełnie ewidentną i widoczną pomyłkę korektorską (por. „Pion” II Nr. 9, str. 9) liczby numeru dokumentu 172 zamiast 182, nie zauważywszy nawet faktycznego błędu korektora, który się wkraść ku memu zmartwieniu zaraz do pierwszego artykułu przez zastąpienie, rzekomo dla plastyczności, słowa „ciężkiej chorągwi” przez błędnie „pancernej” (por. „Pion” I Nr. 3 str. 6 kol. 3).

Jak więc na dotychczasowe sukcesy ofensywy, to nawet nie mogę przyznać zauważenia wszystkich błędów korektorskich, tak samo, jak—oczywiście—nie mogę odpowiadać za to, jakie daty, fakty i cytaty fruują w powietrzu, gdy nie jestem na sali i nie mogę brać udziału w dyskusji. Po szeregu odgłosów w prasie muszę przypuszczać, że conajmniej niektóre daty i cyfry są bardzo dziwnego pochodzenia.

Niemniej jednak muszę przy okazji zamknięcia polemicznego skrzyżowania szpad z p. dr. Tomkiewiczem zaznaczyć, że najmniej chyba we mnie, jako w historyku polskiego średniowiecza, podobne protestowanie, rzeczywiste, lub nierzeczywiste, prawdziwe, lub zmyślone, może budzić przez swój charakter raczej masowy, niż rzeczowy, jakiegokolwiek wątpliwości co do pełnej słuszności mego stanowiska. Protesty te niepodrywają nawet mego przekonania na przyszłość, że chyba *niemal wszystkie moje wywody przejdą od przyszłej konstrukcji historycznej tych czasów i sposobu nauczania*. Podstawą tego przekonania, oraz tą podporą psychiczną na całej linii jest dla mnie wspomnienie tej innej polemiki, kiedy to się sypały raz za razem ataki, artykuły, rozprawy historyczne i filologiczne, by zakwestjonować rewizjonizm nawet tak znakomitego historyka, jak prof. T. Wojciechowskiego na terenie spraw naszego XI wieku. Prawie nikt wtenczas nie występował nazewnątrż w obronie oczywistej słuszności rewizjonizmu prof. T. Wojciechowskiego, chociaż nie sprezentował on nawet żadnego nowego źródła, a tylko dał interpretację. Jakkolwiek jednak wtenczas tylu historyków protestowało, z większym, lub mniejszym aparatem cytatów naukowych, przeciw oczywistym w swej bystrości i w zasadzie ujęcia wywodom prof. T. Wojciechowskiego, *a nikt ich nie popierał*, ostały się jego poglądy w naszej nauce, przeszły do opracowań, a postać Bolesława Śmiałego już dawno wróciła u naszej młodzieży do swej zasłużonej sławy i uznania. Niemniej więc jestem spokojny, że w nauce naszej ostanie się — zwłaszcza po szczegółowym opracowaniu — mój obraz Jeremiego Wiśniowieckiego i tych czterech lat ciężarnych w skutki (od wiosny 1648 do jesieni 1651 r.), a tem samem przeciwnicy Jeremiego Wiśniowieckiego wejdą zpowrotem, — jak za czasów dawnych, a tak wielkich myślą historyków polskich tych czasów, — do serc i czci polskiej potomności.

Nie straci na tem z pewnością Sienkiewicz. Zarzucano mu poprzednio w roku 1884, że z materiału historycznego uwypuklił w „Ogniem i Mieczem” to, co jest nieprawdziwe, a tem samem obarczono go zarzutem niesprawiedliwej tendencyjności. — Ja starałem się wykazać, że Sienkiewicz chciał dać od początku subiektywnie prawdę, — tak jak to uważał za obowiązek powieści historycznej, — a tylko źle wybrana część naszej historjografji dała mu obiektywnie fałszywy materiał i fałszywą strawę dla twórczości. Zaapelował Prus, już wówczas w roku 1884, w plejadzie uwag Jeża-Miłkowskiego, Świętochowskiego, Kaczkowskiego i t. d., by dał w przyszłości dzieło *którego przemyślenie i treść będą godne tego talentu artystycznego, jaki objawił w „Ogniem i Mieczem”*. Sienkiewicz apel ten spełnił, dając „Potop”, który — jak z wszystkich jego wypowiedzi wobec siebie bliskich wynika — sam uważał za swe najlepsze dzieło i za



którego wskazania przyjmował odpowiedzialność. Na przekór bowiem rzekomym, a tak niepotrzebnym obrońcom Sienkiewicza przede mną, tenże Sienkiewicz, na którego już nieraz się powoływałem, w ocenie odpowiedzialności historycznej przed narodem za „Potop”, a „Ogniem i Mieczem”, był właśnie tego zdania, które ja podjąłem się wytłumaczyć błędami historyków, a nie twórcy.

Zdziwiłby się jednak bardzo nie tylko Sienkiewicz, ale także ci wszyscy, którzy o „Ogniem i Mieczem” w roku 1884 debatowali, jak obniżył się nie tylko ogólny poziom sądów i polemik, ale szczegółowa znajomość tych czasów, oraz bardzo smutnie pochyliliby głowę, że zrywa się burza przeciw intencji torowania drogi — w jak najpoprawniejszej formie — nowym prawdom, nowym źródłom i nowym poglądom.

Zaoszczędził sobie p. dr. Tomkiewicz, — którego wysoki rodzaj polemicznej walki już poprzednio podkreśliłem, — oczywiście bez jakiegokolwiek intencji ze swej strony, tych wszystkich naukowych i nienaukowych przykrości, jakie spadają przy obecnych nastrojach i zwyczajach nawet ze strony tych organów, które mają sobie nakazaną troskę o naukę, na głowę tego, który ośmielił się poruszyć fakt rażącego zaniedbania naukowego jednego z najważniejszych odcinków naszej historii, zaapelować o rozszerzenie wiedzy polskiej, oraz domagać się studjów i ocen źródłowych, zamiast bezkrytycznych peanów.

Podkreślam to w interesie tych, którzy może na innych terenach podobną pracę podejmą, mnie osobiście bowiem ani te protesty, ani te przykrości z drogi mej nie sprowadzą. Jeśli już poprzednie me studja o Śląsku, lub Wschodzie Europy budziły zainteresowania, które po dziś trwają, to na terenie dziejów polskich mam swój pogląd i program, którego zasadnicze myśli wypowiedziałem w „Dziejowej rzeczywistości” i t. d. („Polityka narodów” 1933 i oddzielne wydanie z r. 1934). Dlatego już w roku 1925 postawiłem postulat i nakreśliłem możliwości dla studjum stosunków polsko-rumuńskich (por. Pam. IV Zjazdu Hist. Pol. w Poznaniu r. 1925. Odb.) i szybko doczekałem się realizacji postawionych postulatów. Dziś od lat już kilku ten dział pracy historycznej ruszył naprzód, jest na najlepszej drodze realizacji, a szereg warsztatów naukowych po wszystkich niemal naszych uniwersytetach pracuje nad tem całą parą. W roku 1932 i 1933 podkreśliłem zarówno na kongresach, jak piórem, dotychczasowy fatalny stan badań, oraz możliwości i drogi dla studjum tureckich źródeł historycznych. Taksamo wskazałem na pewne zasadnicze niedomagania historii wojskowości dawniejszych okresów Rzeczypospolitej, zwłaszcza w odniesieniu do astronomicznych cyfr dla wojsk naszych przeciwników, i niewątpliwie, że na tych odcinkach ruszymy dalej naprzód i z coraz lepszymi re-

zultatami, jak tego z dnia na dzień przybywają dowody. Nie wątpię więc również, że obecna dyskusja, która wobec roli Sienkiewicza w kształtowaniu duszy polskiego narodu wzbudziła ogólne i trwałe zainteresowanie, oraz te wszystkie moje obecne krytyczne uwagi o naszym studjum z zakresu zwrotnych lat dla spraw polsko-kozackich, — poprostu zrewoltują i popchną do studjum tych zagadnień. Dowodem zaś na to jest już obecny, a szczególny ruch po seminarjach, bibliotekach i archiwach w pracy nad powyższemi zagadnieniami.

Jest to droga i zadanie osobiście bardzo przykre i niedogodne, bo zmuszające raz za razem do krytyki, osądzeń i wytknięć, ale zarazem praca obiektywnie wybitnie skuteczna, a narzucona mi poprostu większym sentymentem dla polskiej nauki, jako takiej, niż do nazwisk z polską nauką związanych, wśród których nie brak także całych dziesiątek uczonych, przed których pracą, wiedzą i dorobkiem uchylam głowy.

Nie wzruszałem się więc nigdy, ani nie wzruszam tymi protestami, potępieniami i t. d., gdyż — na szczęście — obok służby nauce i postępowi myśli, oraz badań polskich, mam za sobą służbę zbrojną. Zarówno zaś na wojnie, jak w nauce, wolałem nie przebywać — na etapach.

---

#### IV. O grzechach głównych wobec naszej historjografji w. XVII

W odpowiedzi gen. M. Kukielowi i prof. Wł. Konopczyńskiemu

Przy wszczęciu, oraz prowadzeniu obecnej polemiki przyświeca mi cel — konstruktywny, oczywiście obok konieczności obrony zasadniczych tez rewizyjnych. Z natury rzeczy jednak zmuszony jestem prowadzić czytelnika długo jeszcze przez obszerne wywody polemiczne, by w trakcie ich czytania same przez się musiały mu przyjść na myśl zasadnicze pytania i zrodzić w konsekwencji zrozumienie dla najważniejszego postulatu chwili obecnej wobec polskiej historjografji.

Gen. M. Kukiel („Kurjer Warszawski” z 14.II.34), po uprzejmej i dodatniej ocenie moich prac na innych polach, zaniepokoił się gwałtownie mojem „odwracaniem“ sienkiewiczowskiego obrazu w „Ogniem i mieczem“, powołując się przytem na to, że w młodości sam przez takie nastroje przechodził. Mimo postępu lat od tego czasu — mam przekonanie, że te nastroje gen. Kukieła, chociaż młodsze, były również historycznie trafniejsze. Niepotrzebnie tylko zwrócił mi wśród swych poglądów na Sienkiewicza uwagę, że korzystał on z wielu książek. Z naprowadzonej bowiem i omawianej właśnie przeze mnie pracy p. J. Kijasa („Pion” II Nr. 1) bez trudu byłby gen. Kukiel powiększył niemal trzykrotnie zakres książek, które mi wskazał jako źródła Sienkiewicza. Pozatem sprawa nie toczy się około ilości książek, znanych Sienkiewiczowi w roku 1883, ale około jakości źródeł i inspiracji opracowań, którym zawierzył.

Z całego szeregu spraw, poruszonych przez gen. Kukieła, drobniejsze przebiegam tylko niewielu słowy, by służyły za punkty wyjścia dla zagadnień zasadniczych, które nazwałem grzechami głównymi naszej historjografji wobec tych czasów i spraw. Nie chcę zaś pomijać nawet tych szczegółów sporu, by nie pozostawić bez załat-

wienia próby kwestjonowania mego rewizjonizmu. Mogłoby to bowiem wzbudzić w szerszej opinii przekonanie, że przeoczyłem jakiś drobny, ale jednak wątpliwy moment, chociaż już z moich dotychczasowych uwag o listach i dokumentach Kisiela, Wiśniowieckiego, meldunkach do M. Potockiego i t. d. mógł tenże gen. Kukiel sam już zauważyć, że dokładnie pomierzyłem dystanse nawet każdego gońca, który przebiegał z aktem przeze mnie omawianym z jednej miejscowości do drugiej.

Jeśli uwagi gen. Kukiel, — jakoby niestawienie się Wiśniowieckiego hetmanom do pomocy w czasie przed bitwą pod Korsuniem miało polegać tylko „na nieposłuszeństwie jakiemuś wezwaniu hetmańskiemu“ — wynikają z nieznamości analogicznej roli Kisiela, jego propozycji, zaaprobowanych jeszcze przez Władysława IV, bytności „królewskiego towarzysza P. Uniszewskiego“, — to zakwestjonowanie mego poglądu w sprawie roli Wiśniowieckiego we Lwowie jest próbą zastąpienia wymowy źródeł rodzajem dowcipu. Gen. Kukiel, poruszając tę, tak obszernie już obecnie omawianą, sprawę ucieczki Wiśniowieckiego ze Lwowa z wojskiem i pieniędzmi mieszczan, jest zdania, że zarzut co do roli Jeremiego we Lwowie „wymagałby znów narady historyka z oficerem dyplomowanym: czy celowem było pozostawanie tego półtrzecia tysiąca jazdy w oblężonem mieście“ („Kur. Warsz.“ z 14.II.1934). Otóż niewątpliwie, gdyby gen. Kukiel, zamiast odbywać takie narady, przeczytał moje argumenty i dowody w tej sprawie (m. inn. powt. w „Pionie“ II Nr. 10), to byłby się dowiedział, że właśnie fakt zaciągania przez Jeremiego we Lwowie tylko jazdy (3.134) w miejsce piechoty, której miał łącznie z miejską zaledwie 230 ludzi, było dla mnie, jako myślącego kategorjami wojskowymi, wskazówką, że Wiśniowiecki ani na chwilę nawet nie myślał o spełnieniu swych zobowiązań wobec mieszczan, t. j. o obronie Lwowa przed nadciągającym Chmielnickim, a jedynie wyzyskał patriotyzm mieszczan dla obrabowania ich z pieniędzy celem zorganizowania brakującego mu wojska na sejm konwokacyjny. Nie miałby pod tym względem, ani oficer dyplomowany, ani historyk wątpliwości, gdyby wiedział — jak już na to zwracałem uwagę — o zabiegach M. Ostroroga. Regimentarz bowiem Ostroróg na serjo zamierzał początkowo bronić Lwowa, — oczywiście zanim człowiek tak bez skrupułów, jak Wiśniowiecki, został przez zbiegów piławieckich okrzyknięty wodzem, — i dlatego zabiegał dla obrony Lwowa oczywiście tylko o „piechotę ćwiczoną“ (Ks. Pam. Michał. 209). W tym wypadku przytyk gen. Kukiel do historyka i oficera dyplomowanego trafia tylko w kwestję znajomości, lub nieznamości przez niego całości źródeł do tych spraw.

Do drobiazgów również zaliczam sprawę, już nie poraz pierwszy

przeze mnie omawianą, możliwości przybycia Jeremiego Wiśniowieckiego z pomocą hetmanom przed bitwą pod Korsuniem (26.V.1648), muszę się nią jednak zająć ponownie, gdyż gen. Kukiel chce wywołać wrażenie, jakoby wywody moje ze stanowiska wojskowego trzeba było poprawiać. Píše z ponownem ukłuciem w mą stronę gen. Kukiel „czemuż autor rewelacji“ (t. zn. piszący te słowa!) „nie przywołał na pomoc oficera dyplomowanego (z cyrkiem i mapą), gdy oskarżał Jeremiego o omieszkanie potrzeby korsuńskiej? Sto kilkadziesiąt kilometrów do przebycia, Dniepr prawie bez środków przeprawy...“. Sądzę w odniesieniu do tej uwagi, że byłoby bardzo szczęśliwym, gdyby to był właśnie gen. Kukiel „przywołał na pomoc oficera dyplomowanego“, zarówno dla swej polemiki ze mną, jak dla bardzo wielu punktów, zarówno z poprzednich, jak ostatnich wydań swego „Zarysu historii wojskowości w Polsce“ (III wyd. 1929). Byłby wtenczas ten oficer dyplomowany pomierzył za niego dystanse, skontrolował fronty (polecanych do druku) szarż na kilkadziesiąt kilometrów, a komenderowanych głosem (!), wyznaczył możliwe szybkości marszów, a zwłaszcza sądy gen. Kukiel o ilości wojsk w w. XVII po stronie naszych przeciwników byłby dostosował do znanych zasad mobilizacyjnych i aprowizacyjnych. Wtenczas bowiem — jak to obszernej w dalszym ciągu wykażę, ponieważ w tem jest jądro sprawy i mojej odpowiedzi — niewątpliwie bardzo wiele w historii wojen dawnej Rzeczypospolitej wyglądałoby oddawna zupełnie inaczej, a przebudowa całego tego zagadnienia miałaby dawno już miejsce, a nie dopiero zaczynała się, czy też właśnie poczyniała kształtować.

Uprzytomnijmy więc na wstępie sprawę, poruszoną przez gen. Kukiel, niemożności przybycia Wiśniowieckiego na pomoc hetmanom, a to właśnie ze stanowiska ściśle wojskowych obliczeń. Bez względu na to, czy wyznaczymy na miejsce koncentracji obydwóch polskich grup wojskowych (hetmanów i Wiśniowieckiego) przez Perejsław — Czerkasy, czy najprawdopodobniej — w myśl przewidywań Potockiego — Moszny, to miał Wiśniowiecki do przebycia ze swego najbardziej oddalonego punktu, t. j. Przyłuk — w linii powietrznej 130 km., a według dróg na 160 km., w kierunku zaś na Moszny — w linii powietrznej mniej więc to samo, a według dróg 160 — 170 km. Oczywiście — biorę te obliczenia dla najdalszych oddziałów Wiśniowieckiego, bo np. z Łubni te dystanse zmniejszają się do 90 km., względnie przez Złotonoszę do Moszn — do 110 km. Stwierdziłem, że Wiśniowiecki, stojąc „do 26 maja kilka tygodni o 3 — 5 dni drogi od Potockiego... dopuszcza do katastrofy“ („Pion” I — II). To wynika z rachunku możliwości jazdy, śpieszącej komunikiem na pomoc, skoro od rozpoczęcia walk z Chmielnickim pod Żółtymi

Wodami do pogromu korsuńskiego upłynęło dokładnie 27, względnie 28 dni, a nawet od zorientowania się Wiśniowieckiego około 20—21 dni. Tenże gen. Kukiel przy innej okazji stwierdził, że z analogicznym kontyngentem wojskowym Sobieski w czasie operacji i wśród walk z nieprzyjacielem „w 11 dni przebiegł najmniej 400 km.” (M. Kukiel „Zarys hist. wojsk.” 1929 str. 119), czyli gen. Kukiel „ze stanowiska wojskowego“ uważa, że o ile chodzi o dystans ponad 400 km. i w ciągu toczących się walk, to kawalerja może przebywać 40 km. dziennie, natomiast gdy śpieszy spokojnie dobrami swego pana na pomoc hetmanom, to z trudem może zrobić — 6 czy 7 km. dziennie! Niewątpliwie ktoś z nas dwóch z centymetrem przykładanym do mapy i ze znajomością szybkości marszów nie jest w porządku, albo ma inną miarę dla swego opracowania, a inną dla swej polemiki. Nie może bowiem gen. Kukiel kropkami, pytajnikami i aluzjami podsuwać czytelnikom przypuszczenia, że mój sąd o możliwości przybycia przez kawalerję 110 — 160 km. w ciągu 3 do 4 tygodni wynika z braku sztabowego przygotowania i wymaga korekty gen. Kukiela. Nietylko każdy z kraju „cywilny“, ale podrastający chłopak wie, że za trzy tygodnie można konno dojechać np. z Warszawy do Lublina, czy tylko Łodzi, z Torunia do Poznania, czy ze Lwowa do Rzeszowa!

O możliwości przeprawy przez Dniepr — w kółko Macieju — już zbyt wiele pisano. Ujmę rzecz krótko: albo Wiśniowiecki planował przyjście na pomoc M. Potockiemu, jak twierdzą moi polemisci, to mógł się przeprowadzić, albo nie miał tej możliwości — to niema o czym mówić, a tylko jest zupełnie niezrozumiałem, poco bezustannie Potocki i Wiśniowiecki ze sobą się w tej sprawie komunikują. W gruncie rzeczy i naprawdę, — dopóki klęska korsuńska nie rozpręgåł wszystkiego na tych terenach Ukrainy, miał Wiśniowiecki w swem ręku z tytułu swych posiadłości nadbrzeżnych, oraz starostwa kaniowskiego, miejsce i środki przeprawy zarówno pod Kaniowem, jak między Domontowem, a Mosznami, względnie nawet między Jeremiówką, a Borowicą, czego najlepszym dowodem, że w dwóch pierwszych punktach przejeżdża jego wysłannik Maszkiewicz — oczywiście jakimś promem — z łatwością Dniepr w jednym i drugim kierunku. Zresztą — nawet mocno spóźnione własne tłumaczenia się Wiśniowieckiego brakiem promów (Zbiór Pam. V str. 69) odnoszą się najwyraźniej do czasów po bitwie korsuńskiej („po zniesieniu wojska koronnego potopiono promy“), wysuwanie więc takich argumentów w tej dyskusji dla okresu przed Korsuniem polega tylko na pomijaniu wymowy źródeł.

Zatrzymałem się nad tymi drobiazgami, by nikt nie mógł przypuszczać, że jakikolwiek punkt, jakikolwiek szczegół moich wywodów

nie jest w równej mierze obwarowany znajomością źródeł „historyka“, jak pomierzony centymetrem i zmysłem rzeczywistości „oficera dyplomowanego“. Obecnie jednak przechodzę do rzeczy zasadniczych, wysuwając najpierw do dyskusji nietylę stan rzeczy, ile przekonania gen. Kukieła o wojskowo-historycznym zbadaniu tych czasów i wypadków, by potem omówić sprawę spetryfikowania i podkreślenia błędów natury podstawowej w zakresie historii wojen tych czasów przez te wywody naukowe gen. Kukieła, w których je dotknął i omawiał.

Przedewszystkiem więc sprawa sądu o tem, co historjografja wojskowa zrobiła ze stanowiska polskiego na terenie opracowania taktycznych działań polskich w czasie wojen kozackich, a to z ilustracją — szczegółem, który często w polemice powraca. We wspomnianym artykule stwierdza gen. Kukiel: „wbrew twierdzeniom dr. Górki, niewątpliwie dowiedziona jest inicjatywa Wiśniowieckiego w bitwie pod Beresteczkiem i świetna rola w przeprowadzeniu boju lewego skrzydła“ („Kur. Warsz.“ 14.II.1934). Dowiedziona? Przez kogo, gdzie i jakim sposobem? Gen. Kukiel uważa widocznie, że jeśli w przecudnej nowelce Kubali, — nowelce bez odsyłaczy źródłowych, — figuruje Wiśniowiecki w ataku z gołą szablą i t. d., na czele 18 chorągwi w 3 szwadronach i jeśli to powtarza Górski („Bibl. Warsz.“ t. 187 r. 1887 str. 36) ze zmianą na 18 chorągwi w 6 kadronach, a zwłaszcza jeśli za nimi stwierdza to samo gen. M. Kukiel („Zarys hist. wojsk.“ wyd. III str. 108) jako „sławny atak 18 chorągwi jazdy, na czele której gnał ks. Jeremi, bez zbroi, z gołą szablą w rękę“, to jest to już ostatecznie dowiedzione, czyli prosto „Roma locuta — causa finita“. Dla szerokich kół czytelników — może, ale dla mnie — nie, gdyż wiem, że te 18 chorągwi, szkadrony, kadrony wzięte są z Djarjusza St. Oświęcima, a ta goła szablą w rękę, bez zbroi i t. d., to dla odmiany z najczystszej fantazji Kubali, którą umiał przecieź znacznie efektowniejsze rzeczy wymyślać bez pomocy źródeł, jak np. samobójcze szukanie śmierci przez Ossolińskiego pod Zborowem (J. Ossol. II. 301). Wzruszające to może, piękne i obrazowe, tylko bez wystarczającego oparcia o źródła. Nietylko bowiem wiem, że to jest wzięte z Oświęcima („Script. Rer. Pol.“ t. XIX str. 339), któremu Kubala zawdzięcza również tych ludzi z nad oceanu Lodowatego (sic!) w swoich zestawieniach sił Chmielnickiego pod Beresteczkiem (por. „Script. Rer. Pol.“ str. 342 i moje uwagi w „Pionie“ II Nr. 1), ale jeszcze coś więcej! Oświęcim, jak na to to zwrócił uwagę M. Korduba, w czasie ataku Wiśniowieckiego pod Beresteczkiem sam osobiście był niemniej niewięcej tylko pod — Krakowem (por. „Script. Rer. Pol.“ XIX str. 364), chociaż jego relacja wskutek nieczytania źródeł w całości, tylko „na wrywki“, uchodzi w naszej literaturze za naoczną i najcenniejszą. Dlatego w stosunku do mnie winien być

gen. Kukiel bardzo ostrożny w twierdzeniach dla tego okresu, że coś jest „dowiedzione“ na podstawie dawnej literatury. W odniesieniu do tych spraw uznaję tylko dowody ze źródeł i dlatego już dawno („Pion“ II Nr. 4) prosiłem oponentów, by opierali się wyłącznie na cytatach z oryginalnych wydawnictw źródłowych. Nie mogę bowiem odrazu wydrukować całych książek polemicznych, dla wykazania fantazji poszczególnych autorów i ich opracowań, opartych grosso modo nie na dokumentach, ale na kronikach i t. p., czyli rodzaju ówczesnej prasy i pism politycznych.

Jeślibyśmy bowiem uważali to, co jest wydrukowane w dotychczasowym dorobku, — za dowiedzione, to naprawdę sytuacja moich rewizyjnych poglądów byłaby nie do utrzymania, skoro np. tenże gen. Kukiel („Zarys hist. wojsk.“ 3 wyd. str. 99) uczy o Zbarażu, jak to „9.000 ludzi stawia zwycięski opór całej potędze Chmielnickiego i hana, idącej w setki tysięcy ludzi w oblężonym, na wzór holenderski, ufortyfikowanym, Zbarażu, pod komendą faktyczną Jeremiego Wiśniowieckiego“. Tymczasem według wymowy źródeł — a moich poglądów, — ani 9.000 ludzi, ani niema setek tysięcy wojsk u Chmielnickiego, ani Wiśniowiecki nie fortyfikował Zbaraża, ani nie był jego faktycznym wodzem. Dlaczegoż to obecnie gen. Kukiel informuje szeroką publiczność w sprawie moich artykułów, że „nie jest rewelacją, że Wiśniowiecki nie dowodził pod Zbarażem naczelnie“, skoro sam inaczej uczy w swym podręczniku, a prof. Konopczyński w ostatnim, obowiązującym, naukowym podręczniku stwierdza najdosłowniej: „regimentarze poddali się komendzie Wiśniowieckiego, 10-tysięczny zastęp polski ujrzał się otoczonym przez 200.000 Kozaków i 100.000 Tatarów“ („Hist. polit.“ II — str. 317-318). Wszak podobnie ks. Fraś, który wskutek niewyzyskania obcych prac i źródeł nawet nie wie o odejściu części sił Chmielnickiego tuż przed Zbarażem, oraz nie zna nazwiska Neczaja, jako początkowego wodza kozackiego pod Zborowem, również podtrzymuje to poprzednie stanowisko twierdzeniem, że „ks. Wiśniowiecki stanowił... centrum całego Zbaraża“ (str. 27), a dr. Tomkiewicz stwierdza, że „wszyscy uważali go (Wiśniowieckiego) odąd za naczelnego wodza“ („Jer. Wiśn. 315). Tymczasem dzisiaj już z tych koncepcyj ogólnych Zbaraża nie został kamień na kamieniu, łącznie z temi „setkami tysięcy“ oblegających wojsk gen. Kukieła. Istota bowiem rzeczy w sprawie Zbaraża, — jego obrony centralne i naczelne zagadnienie, — polegało na tem, jak to wojsko, dotknięte nastrojami panikarskimi do tego stopnia, że chorągwie (np. Hulewicz) tuż przed walkami zbaraskimi rozbiegały się w popłochu na widok własnych oddziałów, branych przez pomyłkę za przeciwnika, — ująć w ryzy dyscypliny wewnętrznej i bojowej. Tę zaś pracę wykonał *wódz naczelnny i istotny Zbaraża Andrzej Firlej*, ten może na-



wet najznakomitszy według powszechnej opinii wódz tego czasu, a to drogą przywrócenia w okopanym obozie dyscypliny przez grożenie i karanie za byle co „gardłem“, obcinanie rąk i nóg, oraz przez osobistą bohaterską odwagę swoją i Ostroroga. Wiśniowiecki umiał tylko buntować żołnierzy przeciw wodzom i królowi, to też została mu za to sława panegirzystów, opisujących miłość żołnierzy do niego i zachwyty bezdennej głupoty ówczesnej szlachty. Firleja zaś nienawidzono dwukrotnie, — raz za twardą rękę, za którą ośmieszano go i pomniejszano w szarej, ciemnej masie żołnierskiej, — a po drugie za to, że był kalwinem, chociaż właśnie dla odmiany ci dwaj wielcy arcykatolicy — Jan Kazimierz i Ossoliński — umieli go cenić za wyjątkowe wręcz na tle epoki walory wojskowe, mimo tego że był kalwinem.

\* \* \*

Wracajmy jednak do polemiki z gen. Kukielem, przechodząc już do punktu najbardziej istotnego, t. j. dlaczego *historja wojskowa pierwszych lat wojen polsko-kozackich. a także wogóle naszego wieku XVII, nie jest historją rzeczywistą*, tylko czeka dopiero na wykonanie, któreby się mogło ostać zarówno wobec źródeł, znanych historykom, jak wobec umiaru rzeczywistości, tego „cyrkla, mapy i centymetru“, oficera dyplomowanego.

Nie weszła bowiem historja naszych wojen w wieku XVII dotychczas na grunt realny i pozytywny, a dopiero zwolna np. w pracach W. Lipińskiego o wojnie smoleńskiej, oraz w innych, przebywających w ostatnich latach, lub będących w toku publikacjach, względnie opracowaniach, wkracza na tory realne. Musiałem tę zasadniczą stronę sprawy wytoczyć również w formie polemicznej, gdyż gen. Kukiel zaskoczył mnie wprost twierdzeniem, że „z mniemanych rewelacyj dr. Górki przeważna część, nie wnosi ani nowych faktów, ani nowych myśli“, twierdzeniem chyba bardzo uderzającym, gdy właśnie ten cały atak „ślepych naboł“ idzie na mnie z powodu tych nowych faktów i nowego ujęcia sprawy. W momencie, gdy chodzi o rzeczy najbardziej zasadnicze, bo o zagadnienie, jakimi walorami „formować obecną i przyszłą duszę polską“, gdy na terenie czysto naukowym, a zwłaszcza wojskowym, atakowane są przeze mnie punkty najbardziej zasadnicze i podstawowe, — gen. Kukiel chciałby tak zlekka zainspirować, że z moich „rewelacyj“ pozostanie może Skrzetuski — schyzmatykiem, Bohun — „niemłodym junakiem“, a Krzywonos — Szkotem, co, jak zaznacza, są rzeczy dla historji obojętne, czy raczej powiedzmy ściślej — podrzędne. Już z dotychczasowych mych uwag jest chyba widocznem, że coś więcej zostanie, np. choćby uprzątnięcie bez reszty tego Zbaraża gen. Kukieła i prof. Konopczyńskiego. W rzeczywistości jednak, chociażby tylko na terenie czysto fachowym,

zarówno historycznym, jak wojskowym, *spór toczy się o rzeczy nieporównanie większe i bardziej zasadnicze*. Skoro zaś gen. Kukiel rozpoczął publiczną polemikę, to ja tembardziej nie mogę dopuścić do prób zbagatelizowania tej walki o nowe walory, zarówno myślowe, jak naukowe, występującą chyba najjaskrawiej w odniesieniu do historii dawnej wojskowości polskiej.

Gen. Kukiel stara się, — wobec istnienia w druku dotychczasowych jego wywodów na tematy wojen b. Rzeczypospolitej (zwłaszcza w wieku XVI, a szczególnie — XVII), — zbagatelizować na zewnątrz rzecz najbardziej istotną, którą postawiłem: 1) w „Dziejowej rzeczywistości” („Polityka Narodów” I str. 13-14), 2) w „Zagadnieniu Czarnomorskiem” („Przegląd Hist.” t. X str. 332-339, głównie dane dopisków), 3) oraz wreszcie specjalnie dla spraw „Ogniem i Mieczem” poruszyłem również w „Pionie” (I nr. 11 str. 7). Jest to mianowicie *sprawa zasadnicza zarówno dla historii, jak ocen naszych działań wojskowych*, mianowicie — zagadnienie obliczania sił przeciwników, z którymi w XVI, a zwłaszcza w tym pełnym wojen wieku XVII, mieliśmy do czynienia.

Z pomiędzy wszystkich nowszych podręczników historii naszej wojskowości, a więc np. Hupperta („Hist. wojenna Polski w zar.” t. I r. 1913, wyd. II r. 1920), czy M. Rostafińskiego („Zarys rozwoju wojskowości w Polsce“ 1922), największem dotychczas wzięciem i powagą cieszy się „Zarys historii wojskowości w Polsce“ gen. M. Kukiela, który ukazał się w trzecim wydania w roku 1929. Istotę tych wszystkich dotychczasowych historii naszej wojskowości stanowią „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce“ Korzona (wyd. 1912 i 1923), które to dzieło wywarło wpływ decydujący na całą naszą historję wojskowości do tego stopnia, że w razie braku zasadniczego protestu, niewątpliwie to nowe, a przygotowywane opracowanie naszej wojskowości dla celów historycznych byłoby się obracało w poprzednich ramach. We wszystkich tych opracowaniach, w najsilniejszym jednak stopniu w „Zarysie historii wojskowości w Polsce“ gen. M. Kukiela, — ogólny obraz walk polskich na terenie wieku XVII przedstawia się tak, jakgdyby ktoś opracował np. dzieje ostatniej Wielkiej Wojny z dokładnymi marszami, wyliczeniami i t. d. każdej dywizji, czy pułku armji niemieckiej, osądzał i poprawiał plany operacyjne wodzów i t. p., a o drugiej stronie stwierdził tylko, że było tam ponad 20 milionów stale uciekających wojsk francuskich, które ostatecznie jednak — jeśli analogje przeniesiemy do naszego XVII wieku — te bitwy czasem, a wojny przeważnie wygrywały. Jakkolwiek ogół metodycznej strony obliczania sił nieprzyjacielskich omawiam niżej i w „Polsce Zbrojnej“, przytoczę na tem miejscu zasadniczy powód tego stanu. Cała historja naszej wojskowości XVII

wieku za inspiracją Korzona, a aprobatą gen. Kukiela, nie przykładała dotychczas do tych spraw miary rzeczywistości wojskowej i kalkulacji sztabowych, jak też opierała się na źródłach polskich, nietylko — jak to jest słuszne — dla sił i poczynań polskich, ale także dla spraw i stanu drugiej strony. Dlatego historia ta nie orjentowała się naogół, że operuje w odniesieniu do przeciwnika mgławicą cyfr, astronomicznych dziesiątek i setek tysięcy, zupełnie nawet nie domyślając się, że tak samo wyglądają nasze skromne siły w źródłach naszych przeciwników. Dla przykładu powiem, że siły nasze pod Cecorą, które wynosiły około 6.900 ludzi, w źródłach tureckich podawane są na 60.000, a przy walkach chocimskich z roku 1621, gdzieśmy mieli łącznie z Kozakami niewiele ponad 50.000 wojska — źródła drugiej strony wyznaczają nam samych strat w zabitych na 100.000. Mógłbym tak cytować przykłady bez końca, np. szczupłe siły Ludwika Jagiellona pod Mohaczem (około 23000) oceniali przeciwnicy na 230, względnie 150.000 ludzi. Tak samo stale przeceniali liczbę naszych wojsk Kozacy, a nieraz nasze własne nieinteligentne źródła, jak Maszkiewicz, który przed Korsuniem ocenia siły hetmanów, przy *których był osobiście*, na 60.000 (Zb. Pam. V 64-65), chociaż było ich 6.000.

W wysunięciu tego momentu na czoło, właśnie w polemice z gen. Kukielą, nie kieruje mną animozja, czy rozpęd polemiczny. Rozstrzyga wzgląd, że on sam tę sprawę poruszył, próbując, razem z prof. Konopczyńskim, przez wspólne podanie nigdzie przeze mnie niewymienionej *cyfry 10.000 Tatarów pod Zbarażem*, obejść wobec szerszej publiczności tę naszą najbardziej zasadniczą sprawę historyczną przez „tourner en ridicule“, podejmując tem samem *próbę zbagatelizowania rzeczy najważniejszej*. Tymczasem właśnie w polemice z gen. Kukielą to zagadnienie musi być wysunięte na czoło! Dlatego też dla jasności stwierdzam u samego wstępu, że jeśli gen. Kukiel na terenie wieku XVII cyfry astronomiczne naszej literatury historycznej podwyższał o 30 do 45 proc., to ja obniżałem je z ich astronomicznych wymiarów, stosowanych w literaturze, lub w naszych źródłach, o 70 do 80 proc.! Niemniej gen. Kukiel wypowiada zdania, że wogóle nic nowego nie powiedziałem na terenie tych spraw! Powtarza się „wypadek“, że w razie potrzeby 6 km. dziennie dla marszu kawalerji jest za dużo, podczas gdy znizenie oceny wojsk przeciwnika z 300.000 na 50—60.000 wogóle nie zasługuje na miano nowej obserwacji naukowej!

Celem szczegółowego uzasadnienia mych dotychczasowych uwag, biorę pod skalpel oceny krytycznej dwa zasadnicze wypadki z „Zarysu historii wojskowości“ gen. Kukiela.

Jeśli w odniesieniu do walk pod Żórawnem (r. 1676) były i są zapędy, by „cyfry astronomiczne“ raczej obniżyć, np. płk. Huppert

podaje na 150.000 (str. 238), a J. Woliński (Przegl. hist wojsk. II. 47) ogranicza do 100.000 ludzi, to właśnie prof. Wł. Konopczyński („Hist. Polit.“ t. II str. 381) i gen. Kukiel („Zarys“ wyd. III str. 121) najbardziej oddalają się od rzeczywistości i ustalają stan rzeczy na „200.000 armji ottomańskiej”. To wręcz fantastyczna cyfra, walcząca pod dowództwem drugorzędnym, która prawdopodobna jest najwyżej na 25 proc. do 30 proc., jest właśnie wyrazem tej tendencji gen. Kukiela doliczania 30 lub 45 proc., gdy ja odliczam 70 — 85 proc. (oczywiście w poszczególnych wypadkach raz mniej, raz więcej, stosownie do wskazówek źródeł strony przeciwnej). Ta zaś sprawa strony, t. j. ustalenie sił i możliwości przeciwnika, nietylko na podstawie polskich, ale przede wszystkim obcych źródeł, stanowi jądro i podstawę rzeczywistej historii wojskowości XVII wieku, na którym to polu nietylko przyniosłem — jak chce gen. Kukiel — rzekomo pozorne „rewelacje”, ale już wywołałem zasadniczą rewolucję, łącząc pracę historyka z pracą oficera dyplomowanego, który wie, że kolumny mają swoje długości, a szarże swoje fronty.

Charakterystyczniejszy jest jednak inny wypadek, bezpośrednio wchodzący w zagadnienie przemnie omawiane, a mianowicie sprawa bitwy pod Beresteczkiem, omówionej w „Zarysie“ gen. Kukiela (str. 99—109).

Nawet fantastyczny w swoich obliczeniach Korzon (t. II wyd. I str. 340) podał wojska pod Beresteczkiem na 200.000, podobnie ustalają na ogół dobre stare podręczniki (np. A. Lewicki i J. Fridberg „Zarys Historji Polski“ Lwów 1913, str. 258), podczas gdy inne obliczają z pozorną dokładnością na 220.000. W przeciwstawieniu do tego, a nawet wbrew swemu własnemu drugiemu wydaniu „Zarysu“, gdzie się jeszcze ograniczał do 200.000 (zob. wyd. 1923 str. 39), właśnie gen. Kukiel tę poprzednią astronomiczną cyfrę w najnowszym wydaniu jeszcze bardziej podniósł („Zarys“ Hist. Wojsk. Pol.“ wyd. III str. 107), podając: „liczba wojska kozackiego przekraczała 100.000; było drugie tyle t. zw. czerni. Tatarzy mieli do 100.000 walczących“. Jednym słowem — przekroczył w swych obliczeniach sztabowych fantazje z nowelki L. Kubali p. t. „Bitwa pod Beresteczkiem“ (Szk. Hist. I — 177), przejął dane prof. Konopczyńskiego, który okrągło wyznacza na Beresteczko tak samo 300.000, jak na Zbaraż (str. 318/319), względnie podniósł do szczytu ścisłości naukowej zupełnie nieobejmującego źródeł K. Górskiego („Biblj. Warsz.“ r. 1887 t. III str. 28). Co ważniejsze i co gorsze „—takie ustalenia gen. M. Kukiela przeszły siłą rzeczy, jako ostatnie słowa nauki“ do „Encyklopedji Wojskowej“ (t. I str. 262), gdzie również siły Chmielnickiego i hana ustalono na 300.000. W tem miejscu muszę się zapytać gen. Kukiela, gdzie doj-

dziemy, gdy jemu wojskowe obliczenia kazały do cyfr astronomicznych 2-go wydania, dodać w 3-ciem dalsze 100,000 wojsk?!

„Rewolucja“ moja w tej dziedzinie polega na tem, że jeśli ostatnie opracowania, np. Tomkiewicz („Jer. Wiśn.” str. 174 i 276), przyjmują wojska Chmielnickiego i Tuhaj-beya pod Zamościem w listopadzie r. 1648 na 200,000, to ja zarówno na podstawie źródeł, jak oceny wojskowej przyjmuję w to miejsce około 25 — 30.000, chociaż sam Chmielnicki twierdził o sobie, że ma tylko „kilkanaście tysięcy“ Kozaków, a Tatarów po ciągłym odchodzeniu ich z łupami mogło być już tylko 3 — 5.000. W tym wypadku między własnem obniżaniem swych sił przez Chmielnickiego, a fantazjami źródeł polskich, staram się wypośrodkować istotę rzeczy. Pod Zbarażem w miejsce 300.000 przyjąłem („Pion” I — 11) 50 — 60.000, do której to cyfry powróce, by wykazać, że każdy szczegół został ściśle obmyślany, natomiast moi oponenti obydwaj się znają i nie uwzględniają najważniejszych faktów ówczesnych wojen. Pod Beresteczkiem łącznie siły Chmielnickiego i hana mogły wynosić maksymalnie 70 — 80.000 kozaków i Tatarów, oraz drobnych obcych nalotów dla rabunku, i dlatego też Kozacy szybko przeszli do obrony w taborze, a Tatarzy uciekli z Chmielnickim dla zbierania nowych sił. Oczywiście bowiem to, co pokutuje w całej literaturze polskiej do ostatnich publikacji, o „uprowadzeniu“ Chmielnickiego przez hana, porwaniu go ze sobą (wszystkie ostatnie polskie publikacje z 1923 — 1933 i t. d.), to są bajki, wylęgte jeszcze z Kubali na podstawie tych opowiadań „szlachcianki z pod Konstantynowa” (I — 190), jak to han Chmielnickiego wiązał powrozami do konia.

Reasumując poglądy wynikające z moich badań, a głównie, ze wspomnianego już w poprzednich artykułach (Pion II, 1), wojskowego rozpatrywania rejestrów kozackich, co dotychczas ani po stronie polskiej, ani ukraińskiej nie było robione, (Wiencz. Lipiński zajmował się kwestją udziału elementu szlacheckiego), dochodzimy do ścisłych danych. W czasie kampanji letniej roku 1649 Chmielnicki rozporządzał pewną swoją własną masą wojskową, składającą się: a) z zaporozców, b) z kozaków rejestrowych i wypisańców, c) ze skozaczonych w latach 1648-49 — chłopów, co razem oceniał na 40.000 ludzi, a w rzeczywistości do pełnej tej cyfry brakowało 1.000 do 2.000. Oprócz tego dysponował kilku tysiącami szlachty z ziem ukraińskich, która obok nielicznych zresztą zaporozców właściwych i znacznie liczniejszych b. rejestrowców stanowiła jądro jego wojska. Wszystko to razem, w odróżnieniu do starszyny, do której zaliczali się również setnicy, nazywa się w źródłach kozackich „kozackaja czerń”, gdyż upieranie się polskich źródeł, przy rozróżnianiu kozaków i chłopów, jest wyrazem ogólnej świadomości istotnego stanu rzeczy, że część mo-

łojców Chmielnickiego służywała przedtem wojskowo, a część przyłączyła się do ruchu wojskowego po wybuchu buntu. To ujęcie sprawy, wynikające z rozbioru regestrów kozackich, zarówno Zborowskiego (1649), jak Perejsławskiego (1654) oraz z pertraktacji Hadziackich (1658) pokrywa się z informacjami zarówno własnych źródeł kozackich (memorjały, korespondencje, petita i t. d.), jak źródeł rosyjskich, wysoce dla tych spraw miarodajnych, jako relacje postronnych wywiadowców. Na tej dopiero podstawie mogę rozprawić się z zarzutem, występującym u gen. Kukiela, a potem w dziwnej zgodności u prof. Konopczyńskiego, oczywiście bez żadnych prób cytowania mnie, że kontygent tatarów pod Zbarażem podałem na 10.000 ludzi, wobec czego gen. Kukiel jest zaniepokojony, gdzie się zatrzymam w moich redukcjach!

Mogę obydwom odrazu odpowiedzieć, że *ani takiej cyfry nigdzie nie podałem*, ani do tej granicy nigdy nie zeszedłem, bo zbyt dobrze znam te czasy i w odróżnieniu do moich oponentów wiem nawet aż tyle, jakie wojny kozacko-polskie toczyły się w czasie walk pod Zbarażem i Zborowem. Ponieważ nigdzie cyfry 10.000 dla Tatarów pod Zbarażem nie wydrukowałem, musiałem się sam dopiero zastanawiać, skąd wzięli ją moi oponenti. Szukając, wyszedłem z założenia, że zarówno gen. Kukiel, jak prof. Konopczyński, — od niego biorący tę z gruntu dorobiona informację jakoby „cyfry rzeczywiste“ kurczyły się u mnie „z tygodnia na tydzień z 50.000 na 10.000“ („Kur. Warsz.“ 22.II.1934), — poprostu nie wiedzą, czy zapomnieli, jakie operacje wojenne w tym czasie toczyły się. Obydwaj widocznie są zdania, że wszystkie siły Chmielnickiego były pod Zbarażem (czemu się nie dziwię, skoro tak przedstawia rzecz tę Kubala i ostatni monografista ks. Fraś), zupełnie zaś nie wiedzą, czy zapomnieli, że tuż przed walkami pod Zbarażem czwarta część sił kozackich Chmielnickiego odeszła od niego na Litwę, gdzie równocześnie toczyła się oddzielna wojna kozacko-litewska. Krzyczewski bowiem przed rozpoczęciem walk zbaraskich odszedł conajmniej z 10.000 ludzi na Litwę przeciw Januszowi Radziwiłłowi (por. dla tych spraw tę wybitnie dobrą część pracy W. Lipińskiego, t. j. monografię p. t. „Stanisław Michał Krzyczewski“ w „Z Dziej. Ukr.“ str. 432 i nast).

Już z mych własnych dalszych badań wynika, że Chmielnicki tuż przed Zbarażem odesłał z Krzyczewskim ogół swej jazdy kozackiej, a pod Zbarażem i Zborowem miał tylko piechotę kozacką. Za jazdę służyli mu niemal wyłącznie Tatarzy — momenty nieznane dotychczasowej literaturze, zarówno polskiej, jak ukraińskiej, a tłumaczące decydująco ze stanowiska wojskowego przebieg pertraktacji pod Zborowem i rozstrzygającą rolę hana. W tym okresie, rzekomych 300.000 (!) pod Zbarażem, jest z siłami Chmielnickiego tak krucho, że Krzy-

czewskiemu nie jest w stanie przydzielić ani jednego działą, ani dostać, mimo jego prósb, choćby dalsze 2—3.000 ludzi. Jasnym więc stało się dla mnie, że gen. Kukiel wobec faktu, że Kozaków muszę oceniać conajmniej na 40.000, a wyraziłem się, że Chmielnicki pod Zbarazem miał łącznie wojsk kozackich i tatarskich 50—60.000, wyliczył na mój rachunek, ale bezemnie, że w takim razie na Tatarów wyznaczam ewentualnie 10.000. Nie pomyślał tylko gen. Kukiel, że jest niebezpiecznie robić obliczenia wojskowe na terenie XVII wieku bezemnie, gdyż wiem i pamiętam, iż toczyła się równocześnie wojna kozacko-litewska, gdzie było zaangażowanych conajmniej 10.000 Kozaków (badacze tych spraw chcą nawet 30.000). W tej cyfrze więc, podanej przezemnie aproksymatywnie na 50—60.000, jest na Tatarów cyfra 20.000, t. j. tyle, wiele wyznaczają dla nich wszystkie źródła obce przy podobnych operacjach na największą skalę i pod dowództwem naczelnego hana, razem z kałgą-hanem i nurydyn-hanem (są to godności, a nie, jak wielu sądzi — nazwiska).

Ten chyba ostatni przykład polemizowania ze mną przez gen. Kukielą, bez wzięcia pod uwagę chociażby faktu, jakie armje wtenczas były, jakie wojny się toczyły między państwem polsko-litewskim, a Kozaczyzną, pozwala mi przytoczyć samemu niedopuszczalną pod moim adresem uwagę gen. Kukielą „o dorywczo zbieranych po drodze wiadomościach”. Każdy czytelnik łatwo się sam zorjentuje, wiele czasu będzie potrzebował gen. Kukiel, by moje wiadomości na terenie tych spraw, a zwłaszcza wojskowych, móc wogół kontrolować. Tak samo zaś na podstawie wydań „Zarysu historii wojskowości w Polsce” nie mogę mu przyznać tytułu, że pierwszy i przedemną zaczął dane o polskich wojnach XVII wieku traktować z mapą w rękę, z cyrklem, skalą, a przy znajomości stosunków mobilizacyjnych i aprowizacyjnych wojsk. Jeśli bowiem już inne momenty nie zastanowiły gen. Kukielą, to powinno go było przecież uderzyć, że jest niepodobieństwem wyżyć przez prawie 7 tygodni „w setki tysięcy” idącą armję Chmielnickiego na terenie jednego, maksimum dwóch, powiatów, — poprzednio zupełnie ogołoconych przez wojska polskie. Miałyby to mieć miejsce bez zapuszczania zagonów po żywność, oraz bez możności zapewnienia sobie dowozu dla takiej masy z własnych bliższych, a opustoszałych terenów. Gdyby był gen. Kukiel, zajmując się rokiem 1683, zbadał tureckie zarządzenia aprowizacyjne w czasie oblężenia Wiednia, używanie 8 do 10.000 kawalerji tylko dla aprowizacji, zniszczenie zwierząt pociągowych, początki głodu ludzi, mułów, po cca 2 miesiącach i t. d. w czasie pobytu zaledwie 40 proc. tych sił w bogatych krajach, od wieków nietkniętych przez wojnę, a z organizowaną dostawą aprowizacji z przebogatych Węgier, to zrozumiałby, że to co, podał o wojnach kozackich, jest poprostu nie do pomyślenia przy

jakichkolwiek kalkulacjach systemem „oficera dyplomowanego”, z którego to dobrze zapracowanego tytułu czyni mi raz za razem przytyki.

Gdyby był gen. Kukiel na terenie wojskowych ocen naszych spraw XVII wieku, poprzednich, a tak niekrytycznych, cyfr jeszcze nie powiększył, zamiast je chociażby samymi tylko kryterjami wojskowemi obalić, — to nie obracałyby się opracowania prof. Konopczyńskiego, i prace ks. Frąsia, oraz dr. Tomkiewicza w dotychczasowych fantastycznych mgławicach, a byłyby przeszły na tory rzeczywistości. Przy podobnych bowiem cyfrach astronomicznych nie potrzebowałby Jan Kazimierz rozprawiać się pod Zborowem w połowie sierpnia z zaciekle atakującym nieprzyjacielem, gdyż te „setki tysięcy”, czy 300.000 całej literatury, gen. Kukieła, prof. Konopczyńskiego i t. d., byłoby już po pięciu tygodniach, bądź to częściowo wymarły z głodu, bądź to nie mogły się utrzymać na nogach z wyczerpania. W rzeczywistości nawet po 7-miu tygodniach pobytu wojsk Chmielnickiego i hana pod Zbarażem pędzą one żywot w zdrowiu i pomyślności, całkiem na głód ani swój, ani koni nie narzekając.

Te ciągle utrzymujące się, a w ujęciach gen. Kukieła tylko wzrastające, podstawowe błędy rozumowania wojskowego, stały się powodem, że zarówno w mych cytowanych pracach, jak w obecnych uwagach zgłosiłem pośpieszny sprzeciw wobec takich poglądów, zanim jeszcze moje otia naukowe — wśród innych zajęć — pozwolą mi szczegółowo stanowisko to uzasadnić i wskazać właściwe metody. Są to sprawy *tak bowiem naukowo pilne*, tak konieczne, że przedstawienia ich chociażby w formach artykułów nie można było odkładać. Mnie bowiem osobiście bardziej zależy na rozwoju naszej historjografji, równie dobrze nawet w opracowaniach innych, niż na ukrywaniu w swem biurku mych obserwacji do czasów, gdy sam okazała — na liczbę stron — pracę prezentuję.

Wspomina wreszcie w swej polemice gen. Kukiel, jakby o „naszej konwencji wojskowej”, w której „zgodziliśmy się, że hanat krymski wystawić mógł 40—50.000 szabel” („Kur. Warsz.” l.c.). O ile ja wiem, to może uwaga ta odnosić się do tego, że jeszcze nawet nie wiedząc o poleceniu przez gen. Kukieła pracy ks. Frąsia p. t. „Bitwa pod Zborowem” do druku, zwróciłem mu uwagę, że są w niej rzeczy wprost nieprawdopodobne, jak np. „rzucenie się kilkudziesięciu tysięcy Tatarów na oddział Koryckiego”, co jest prawie szarżą z szablami w rękę — nie wiem — 80, czy 100 pułków jazdy na dwie skupione kompanje piechoty. Zwracałem wtenczas również uwagę, że to w terenie i w rzeczywistości jest wogóle niemożliwe, pomijając już to, że — jak się wyraziłem — Tatarów krymskich wówczas chyba „z dzieckami przy piersiach” było aż tyle, ile ich nasze źródła na wojnach podają. Wydrukowałem w „Dziejowej rzeczywistości” („Polit.



Nar." I — 17): „przypuszczalnie najwyższa ich (Tatarów krymskich) możność mobilizacyjna nie dochodziła 40.000 konnych“. Zdanie to uważam za najzupełniej słuszne i ścisłe, bo przecież gen Kukiel różniła treść słowa „możność mobilizacyjna“, a faktyczne siły, które wyprowadzali w pole i na dalekie wyprawy. Te zaś na ten okres, półtora roku temu, podobnie jak teraz, oceniałem na 20 000 konnych. Jest w tem ujęciu cała ścisłość i dokładność cyfr, oraz rozumowania.

Fakt, że zwróciłem sam i ustnie gen. Kukielowi uwagę na przecenianie wojskowych sił tatarskich w całej naszej literaturze z zakresu dziejów polskiej wojskowości, jest chyba najlepszym dowodem, że *chodziło mi i chodzi zawsze o postęp nauki polskiej, jako takiej*, a nawet nie o to, by koniecznie było to związane z moją inicjatywą, czy moimi naukowemi wystąpieniami. Podobnie na innym miejscu zaznaczyłem, że konieczność moich historycznych i literackich wystąpień rewizjonistycznych wynika poprostu z większego sentymentu do postępu nauki polskiej, jako takiej, niż do nazwisk z tą nauką związanych. Metoda taka i to nastawienie powoduje reperkusje może dla mnie subiektywnie nieprzyjemne, ale *dla obiektywnego rozwoju nauki bardzo skuteczne*. Nie mogę się jednak zgodzić, bez protestu, na taki rozdział zasług i czynności, by moi *polemiści, czy przeciwnicy, przejmowali bez reszty zasadnicze rezultaty moich badań*, a następnie na zewnątrz, czy dla szerokiej publiczności, mieli jedynie słowa odrzekań się od mego rewizjonizmu historycznego,

Chciałbym więc me długie wywody, których rację wytłomaczę dopiero w zamknięciu i po polemice z prof. Wł. Konopczyńskim, zreasumować w pewnych prostych zapytaniach pod adresem gen. Kukieła. Jakkolwiek jest zdania, że ja tylko coś tam bąknąłem nowego o Skrzetuskim, czy Krzywonosie, a niesłusznie wywołuję wrażenie jakichś zasadniczo nowych rzeczy, zapytuję się wprost gen. Kukieła: czy po mych artykułach i pracach, podtrzymuje to wszystko, co w sprawach wojen polsko-kozackich napisał, czy też przyjmuje w zasadzie i w swej podstawie moje djametralnie z tem sprzeczne stanowisko, a to zarówno co do obliczeń sił, Zbaraża it.d. (bez wchodzenia w to, że tam jeden, czy drugi szczególnie będzie można dyskutować ad infinitum)? Sądzę, że gen. Kukiel, który dał niezaprzeczenie wiele cenionych rzeczy w historjografji dla spraw kościuszkowskich i napoleońskich, a nawet wewnętrzno-organizacyjnych czasów Sobieskiego, na terenie zasadniczym wieku XVII przejdzie w całości na moje stanowisko. Podobnie cieszę się, że zaczął się zajmować w odczytach elementem nieszlacheckim wojsk byłej Rzeczypospolitej, bo jednak ze wszystkiego, co dał w swoich „Zarysach” mówiąc o piechotach cudzoziemskich itd., nie łatwo się domyślić, dlaczego np. taki bohaterski obrońca Trębowli — Chrzanowski był nieszlachcicem i dlaczego w gruncie rzeczy 100, czy 200

pachołków miejskich więcej było wartych, jako siła bojowa, niż 1.000 szlachty wielkopolskiej, lub mazowieckiej pospolitego ruszenia. W każdym razie umysłowość polska na takie pojmowanie tych spraw dotychczas nie była przygotowana.

Zacząłem polemikę obecną dostosowanym do sporu obrazem bitwy nowoczesnej. Chciałbym zakończyć tekstem tego dowcipu na temat austriackich komunikatów wojennych, których tenor stwierdzał sub rosa, że „wycofaliśmy się zwycięsko na przygotowane stanowiska, wydając groźne w stronę nieprzyjaciela okrzyki”. W tym wypadku chodzi o przyjęcie, lub nieprzyjęcie przygotowanych przezemnie stanowisk w sprawie obliczeń sił, a tem samem w sprawie podstawy do oceny wszystkich działań wojskowych naszego XVII wieku. Jeśli gen. Kukiel jest zdecydowany przejść na te stanowiska, w których dane obcych źródeł łączą się z umiarem rzeczywistości „oficera dyplomowanego”, to poco w czasie tej operacji odwrotowej te „wrogie okrzyki” w moją stronę, a jeśli je odrzuca — to niech to oświadczy!

\* \* \*

Pragnę uspokoić łaskawych czytelników, że moja polemika z prof. Wł. Konopczyńskim będzie krótsza. Na pierwsze uwagi prof. Konopczyńskiego o mych artykułach („A. B. C.” 1934 r. Nr. 1) odpowiedziałem więcej, jak uprzejmie. To widocznie skłoniło prof. Wł. Konopczyńskiego do przyjęcia tonu polemicznego, smutno świadczącego o poziomie i sposobie rozgrywania spraw naukowych. Prof. Wł. Konopczyński stanął w obronie „spiżowej postaci księcia Jeremiego”, wobec którego to określenia jestem bezbronny, gdyż ostatecznie można kogoś, obarczonego wszystkimi zbrodniami prywatnymi i publicznymi, również w ten sposób określać. Nie mogę zaś z prof. Konopczyńskim polemizować cytatami ze źródeł, bo do źródeł wogóle nie sięgał, a daty brał z artykułów w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”. Dlatego też nie mogę tłumaczyć mu, że data listu Kisielia do Pleszczejewa (por. moje oświadczenie „Pion” II — 8) jest niewątpliwie 11 maja, oraz dyskutować nad zarzutem, że „zapomniałem doliczyć prawosławnemu Kisielowi do jego starej stylizacji tych dni 10”, skoro prof. Wł. Konopczyński, drukując swe wywody historyczno-polemiczne urbi et orbi po dziennikach, nawet *nie widział na swoje oczy tekstu dokumentu*, przez siebie omawianego, by się dowiedzieć, że tam jest napisane „rymskim czysłom”. Trudno mi również prowadzić z prof. Wł. Konopczyńskim dyskusję o roli Wiśniowieckiego w maju 1648 r., gdy *nie zna wogóle daty walk pod Żółtymi Wodami*, a nie zadał sobie trudu odpowiedniego przygotowania się, by przed wydrukowaniem swych wywodów o datach się

przynajmniej coś dowiedzieć. Prof. Wł. Konopczyński polemizuje ze mną, informując czytelników „Kurjera Warszawskiego” raz, że klęska pod Żółtymi Wodami „rozegrała się 11—16 maja”, a drugi raz, że „rozegrała się dopiero 11—17 maja” („Kurjer Warsz.” 22.II 1934). Otóż — zupełnie niezbitcie walki pod Żółtymi Wodami rozpoczęły się między Chmielnickim i Tuhaj-beyem, a Stefanem Potockim — 29 kwietnia 1648 r., a skończyły się 15 maja rano. Najwyżej można dyskutować, czy nie skończyły się 16-go. W każdym razie rozpoczęły się 29 kwietnia. Nie mogę rozprawić o szczegółach, skoro o tem prof. Wł. Konopczyński nie wie. Jeśli jego data jest prawdziwa — to niech to stwierdzi, a ja dla ciekawości czytelników dam fotografie z ustępów źródłowych.

Prof. Wł. Konopczyński uznał za odpowiednie polemizować bez źródeł, ale zato tupiąc raz za razem nóżką, — woła do szerokiej publiczności: „nieprawda, nieprawda”. Ja wolę odpowiadać podług form i tem, co jest prawdą. Prawdą jest, że nie Wiśniowiecki cofnął się ostatni z pod Piławiec, lecz że uciekł jeden z pierwszych, bo jako ostatni z zaciągami szlacheckimi odchodził Adam Kisiel z pułkiem wołyńskim. Po Kisielu dopiero, — Osiński z pieszą gwardją królewską, a przy nim Arciszewski z ludźmi, ale bez dział. Prawdą jest, że prof. Wł. Konopczyński, broniąc Wiśniowieckiego, jakoby we Lwowie „wziął tylko przyznany sobie jako wodzowi „traktament” (15.000 złotych), którego w ówczesnej ruinie niechybnie potrzebował na zaciąg wojska”, nie wie wogóle o co chodzi, jakie cyfry wchodzą w rachubę, ani co to jest t. zw. traktament. Cyfrę 15.000 złotych dla Wiśniowieckiego wziął prof. Wł. Konopczyński ze źle odczytanej i źle zrozumianej polemiki dr. Tomkiewicza ze mną („Pion” r. II Nr. 4), który tam stwierdza, że Radziejowskiemu „wytykano brak 15.000 złotych”. T. zw. traktament — to była rzecz, którą dowódca brał wyłącznie na swoje potrzeby, nie zaś na opłacenie zaciągniętego wojska i ten traktament wynosił dla Wiśniowieckiego z pieniędzy lwowskich — 16.000 złotych. Mógł się o tem dowiedzieć prof. Wł. Konopczyński zarówno z książki, jak z polemiki dr. Tomkiewicza, zamiast wprowadzać w grę cyfrę, dotyczącą Radziejowskiego (por. „Pion” II—10).

Z najwyższą irytacją stwierdza prof. Wł. Konopczyński, jakgdyby to był argument przeciwko mnie, — że Wiśniowiecki w Zbarażu „nie sprawował tam naczelnej komendy”. Otóż o tem się dowiedział prof. Wł. Konopczyński z *moich* artykułów, bo sam w swojej „Historji Politycznej” (r. 1923) *wydrukował* (str. 317/318), że wobec „zrzeczenia się regimentarzy” był nim Wiśniowiecki! O innych szczegółach szkoda mówić, jak np. o nieprzedajnej opinji szlachty. Najlepsze zaś jest przytem, że prof. Wł. Konopczyński, już drugi raz,

poucza mnie i przelicytowuje w pochwałach Jana Kazimierza, o czym chyba najbardziej przekonały go moje artykuły, bo w swojej „Historji” nietylko najzupełniej bezpodstawnie rozpisywał się o „niewątpliwej wyższości moralnej charakteru” księcia Karola Wazy nad Janem Kazimierzem“ (str. 315), ale temuż Janowi Kazimierzowi wystawił (str. 322/323) możliwie najgorsze świadectwo. Wogóle o *szczegółach trudno dyskutować, bo ich prof. Wł. Konopczyński nie zna*, a przecież to wszystko, co w odnośnych ustępach „Historji Politycznej“ dla tego okresu napisał, zapewne nie bardzo zechce po moich wystąpieniach podtrzymywać. W ataku zaś na mnie, — nie mogę tego bowiem nazwać polemiką, — myli się na każdym kroku i w każdym szczególe, bo nawet ta kronika Hannovera, o której pisze z wykrzyknikami, że wydana została po polsku w roku 1914, wyszła częściowo po polsku poraz pierwszy już w roku 1823 (por. „Ruś“, 1911), o czym oczywiście prof. Wł. Konopczyński też nie wie.

Przed zamknięciem jednak tej strony odpowiedzi, muszę się zająć jeszcze inną ważną sprawą. Dla mylenia szerszych kół czytelników prof. Wł. Konopczyński wypomina mi rozstrzelonym drukiem „zielone teczki“ Boy-Żeleńskiego, z którymi to zagadnieniami — jak wiadomo — nic nie mam wspólnego. Czyni to chyba dlatego, by zatrzeć wrażenie, że z temi wszystkimi białymi i bronzowymi teczkami, które leżą w samym sercu Polski, w Krakowie, bądźto jako zbiory Michałowskiego w Akademji Umiejętności, bądźto jako zbiory Rusieckich w Archiwum Akt Dawnych, nie miał *wogóle nic wspólnego*, gdy opracowywał te czasy i powoływał się na archiwa. O „teczkach zielonych” radziłbym się rozprawiać z p. Boy-Żeleńskim, ze mną natomiast raczej na ten temat, dlaczego prof. A. Konopczyński, pomijając już sprawę archiwów, nie orjentował się w wartości i charakterze tych kronik ukraińskich, na które się powołuje („Hist. Polit.” str. 310), dlaczego pominął Szajnochę (Dwa lata), Karpowa, ówczesne prace Hruszewskiego, a zwłaszcza dlaczego *nie zna źródeł jednych z najważniejszych i podstawowych dla omówienia tych czasów*, t. j. „Zerzeń Istorji Ukrainy — Rusy“, które wyszły do roku 1923 (dla sprawdź. zob. „Hist. Polit.” Akad. Um. II str. 309—313), zwłaszcza, że wylicza przyczynki z Zap. Tow. Szewcz. i t. p. znaczenia podrzędniejszego. Zdaje się, że prof. Wł. Konopczyńskiemu — według własnego zestawienia — wystarczyły za podstawę „gruntowne i barwne” studja Ludwika Kubali, oraz „uzupełnienia” u Fr. Rawity-Gawrońskiego, którego książkę „Bohdan Chmielnicki” widocznie brał na serjo. Bez związku zaś i „na wrywki“ — W. Lipiński!

Prof. Wł. Konopczyński obrał sobie za motto cytaty z monologów pijackich Zagłoby. Ja wołałbym zakończyć innym. Wspominając raz za razem o niedomaganiach naszego historycznego przedsta-

wienia tych czasów, przestrzegając przed opracowaniami nawet najnowsze, nie wymieniłem bliżej błędów ostatniego i najnowszego opracowania tych rzeczy w Encyklopedji Akademji Umiejętności, właśnie przez prof. Wł. Konopczyńskiego, ze względu na powagę — wydawcy. Nie uważałem za wskazane wykazywanie bez ostatecznej konieczności tych błędów, które specjalnie złożyły się na obraz tych czasów, dany przez prof. Wł. Konopczyńskiego i niejako — ponownie z powodu powagi wydawcy — obowiązujący naukowo po dzień dzisiejszy, jako *ustalony zarys wypadków i rzeczy*. Mogłem zaś, chociażby z moim egzemplarzem w ręku, przelatywać tam stronicę od 309 do 324, podkreślając raz za razem zniekształcenie rzeczywistości, błędy, pomyłki, dowolne oceny, przejmowanie wszystkich starych bajek (prawnik — Ostroróg, stary sybaryta — Zasławski, bytność Tuhajbeja pod Piławcami i brak danych o Lwowie, Zamościu, roli jako wodza Wiśniowieckiego, wiązany do konia Chmielnicki, setki tysięcy wojsk i t. d. i t. d.). Dziś w odpowiedzi prof. Wł. Konopczyńskiemu muszę powiedzieć, że właśnie on ponosi winę spetryfikowania strony politycznej tych wszystkich błędów dla naszej historjografji powojennej, jakkolwiek rozumiem również, że siłą układu rzeczy i wobec braku wogóle w Polsce do ostatnich czasów historyków, którzyby się temi sprawami zajmowali, stał się raczej przypadkowo autorem opracowania tego okresu i tych spraw — dla naukowego użytku. Skoro tak być mogło, nie chciałem na to zwracać uwagi, teraz zaś pozostaje mi tylko pod adresem prof. Wł. Konopczyńskiego cytata na końcu zamiast, na początku, „Vous avez voulu — George Dandin”.

Niemniej jednak byłbym wolał, gdyby te wywody „Kurjera Warszawskiego” były podpisane jakimś nieznanym pseudonimem, niż nazwiskiem profesorskim, właśnie przy tych faktach, datach, szczegółach i poziomie polemiki pod względem redakcyjnym. Niestłusnie może weźmie to prof. Konopczyński za pożegnalną łezkę krokodyla. Tymczasem jest to łezka najzupełniej szczerą, łezka nad sobą samym, bo gdyby był pseudonim, zamiast nazwiska, nie byłbym wogóle musiał sobie zadawać trudu odparowywania podobnych uwag.

\* \* \*

Podaniem do druku mych obszernych uwag polemicznych kierowała poza koniecznością udzielenia szerokim kołom czytelników wyjaśnień, pewna *potrzeba konstruktywna wobec naszej nauki*.

Gdy stawiałem postulat rewizji dziejów dawnej Rzeczypospolitej, „in capite et in membris“, sam nie przypuszczałem, że hasło to wywoła tak szybko podobny ruch i zainteresowanie. Nikt na to nie poradzi, ani żadne protesty już temu nie przeszkodzą, że hasło rewizjonizmu wobec dotychczasowych ujęć szeregu spraw naszej przeszło-

ści wzięło górę. Dziś nie mówi się już o *historycznym dobudowywaniu*, ale o *przebudowaniu obrazu naszej przeszłości*.

Dlatego też, wytaczając swój spór wojskowy z gen. Kukielem, chciałem, by służył on automatycznie za wstęp do stwierdzenia konieczności, że *do rewizji poglądów należy iść przez przebudowę faktów i rozszerzenie zakresu źródeł*, czyli przez zupełnie zasadniczą rozbudowę metod pracy historycznej. Najbardziej jest to piekące i widoczne właśnie na odcinku wojskowym i dlatego zrozumiałem jest, że nasze kierownictwo tych spraw położyło taką pierwszorzędną wagę na rozwój również dawnej historii wojskowości. Jest to bowiem jeden z tych kluczy naszej przeszłości, któregośmy jeszcze nie wyzyskali, poprostu dlatego, że nasze przedwojenne pokolenie wielkich historyków wogóle żadnej styczności ze sprawami historyczno-wojskowymi nie miało.

Zdrowy zaś rozwój rewizjonizmu historycznego nie jest możliwy w sensie nowych ugruntowanych rozwiązań, jak też nie istnieje możliwość rozwinięcia istniejących, — bez syntetycznego ujęcia odcinka historii wojskowej. Wysuwam na czoło słowo „syntetyczne ujęcie”, mam bowiem na myśli nie te, bardzo cenne i potrzebne prace nad szczegółami organizacyjnymi i operacyjnymi naszej byłej armji, ale ogólne podejście do tych zagadnień w myśl pewnych założeń wiedzy wojskowej.

Aktualna potrzeba tych uwag przyszła mi na myśl wobec wiadomości, że w związku z odczytem dyr. dr. J. Siemieńskiego toczyła się dyskusja naukowa nad sprawą rewizji poglądów „Batory a Sobieski”. Dyskusja, przy której nie byłem obecny, obracała się podobno głównie koło strony stosunku Batorego do sejmu, co nasunęło mi uwagę, że jednak przedtem trzeba ustalić ocenę wojskową. Jest bowiem coś uderzającego w tem, że Batory zdobywał co chciał, wygrywał wszystkie wojny, a w tem znaczeniu ogólnem, czy dla szerokiej opinji polskiej, *nie wygrał właściwie żadnej bitwy*. Sobieski natomiast, w czasie wszystkich swoich działań hetmańskich i królewskich, jest okryty chwałą bezustannego zwycięzcy, czyli mówiąc językiem potocznym „wygrywa wszystkie bitwy”. Równocześnie jednak niczego, poza zupełnie nam niepotrzebnymi zamkami mołdawskimi, nie zdobył, Kamieńca nie odzyskał, a ściśle biorąc, do swego zgonu, *adnej „wojny nie wygrał”*. Jest to oczywiście z mej strony celowe, i do wyrażenń szerokich kół dostosowane ujęcie w grubych skrótach i bez szczegółowej precyzji, niemniej jednak, jest widoczne przeciwstawienie się wzajemne sobie zarówno działań wojskowych, jak skutków.

Przed rozstrzygnięciem więc ocen, porównań i rewizjonizmem, należy przedewszystkiem postawić sobie pytanie, co było dla czasów

ówczesnych, a więc wieku XVI i XVII, strategicznym nakazem i celem wojny, na czym polegał prawdziwy i faktyczny sukces. W dzisiejszej doktrynie wojskowej celem wojny jest zniszczenie armji przeciwnika, zachodzi pytanie, czy zasada ta obowiązywała również dla okresu Batory — Sobieski. Mojem zdaniem — nie! W przeciwnym wypadku tacy wodzowie jak Sulejman Wspaniały, Tilly, Gustaw Adolf, czy nasz Batory, lub Chodkiewicz musieliby często iść do drugiego rzędu przed zwycięskimi i efektownymi rozprawami w polu, które naogół nie przynosiły rezultatu. Istota ówczesnej wojny — według mego poglądu — nie polegała na pobiciu przeciwnika, ale na opanowaniu podstawowych ośrodków jego oporu, to, co np. nigdy się Sobieskiemu, znakomitemu dowódcy kawalerji, — nie udało, a natomiast stanowi istotę działań Batorego.

Weźmy inny przykład! — Zwycięska bitwa pod Warszawą Karola Gustawa jest bez wpływu na tok wojny, gdyż wojna ta szwedzko-polska zależy wyłącznie od zdobycia, względnie obrony miast. Przedłuża się ona niesłychanie, bo przeciwnicy Jana Kazimierza mają w swem ręku Kraków, tak samo jak powrót i odzyskanie Polski przez niego staje się możliwem z jednej strony wskutek oparcia, jakie znajduje w utrzymaniu wierności przez Lwów i Zamość, a z drugiej strony — w bronieniu się miast pruskich. Są to myśli, które rzucam dlatego, by polska myśl rewizjonistyczna najpierw szukała dla każdej epoki jej własnej doktryny wojskowej, a zwłaszcza, by polska myśl wojskowa wyszła już poza nastroje i sądy Jana Chryzostoma Paska, pod którego urokiem pozostaje całe studjum wojskowe naszego XVII wieku, chociaż u niego Turcy mają namioty tak wielkie, jak okręg miasta Warszawy, a kule armatnie uderzają konie w łeb, a wylatują ogonem.

Nastroje bowiem Chryzostoma Paska — niezrównanego źródła dla ówczesnej duszy polskiej — z jednej strony, a z drugiej strony łatwo przystępne w archiwach szczegóły organizacyjne, komputy i t. d., przesłoniły potrzebę wnikięcia w istotę ówczesnych działań, by potem dogrzebać się na tej podstawie, kto naprawdę był tym wielkim wodzem, kto tę istotę ówczesnej wojny rozumiał i wykonywał. Niewątpliwie daleki jestem od zaprzeczania całego szeregu wielkich watorów Sobieskiemu, zwłaszcza jako kawalerzyście i zagończykowi. Niemniej jednak podstawą tego pięknego okresu, wolnego od klęsk i niepowodzeń wprost upakarzających, jest fakt niepodkreślony, a zasadniczy dla całej jego wojskowej działalności. Sobieski jest tym pierwszym królem i wodzem Polski, który *nie posługuje się pospolittem ruszeniem* (ostatnie powołanie, zupełnie bezskuteczne — 1672). To jest zaś ten znowu rys organizacyjny, który odziedziczył po szkole wojskowej Jana Kazimierza, a który w duchu swoim wywodzi się od

niepospolitego Ossolińskiego, właśnie tak krytykowanego przez polską historjografię za niechęć do powoływania pospolitego ruszenia.

W ślad za tem zastrzeżeniem natury syntetyczno-wojskowej musi iść zaraz drugie natury metodycznej, o ile chodzi o czasy Sobieskiego. Podobnie, jak w polemice z gen. Kukiem, gdy zażądałem ustalenia cyfr rzeczywistych dla przeciwników w miejsce tej mgławicy setek tysięcy, tak samo nietylko ocena, ale wogóle *omawianie działań wojennych Sobieskiego wisi w powietrzu* i nie wytrzyma uderzeń przyszłej historjografji, jak długo nie spełnimy głównego postulatu. Postawiłem go w odniesieniu do publikowania tłumaczeń źródeł tureckich, o ile się odnoszą wprost do naszych spraw i działań (por. „Zagad. Czarnomor.” Przegląd Hist. X str. 330/1) w moim projekcie Monumenta Islamitica r. g. Poloniae illustr. Jasnem jest bowiem, że gdy w miejscu mgławicowych i w setki tysięcy idących, a fantastycznych do granic bajkowości cyfr, wstawimy realne wykazy tureckich ort janczarskich (rodzaj bataljonów), czy oddziałów spahisów, to cały pogląd dotychczasowy na operacje Jana Sobieskiego będzie musiał ulec rewizji. Już dzisiaj mógłbym, (jak to poruszę w Przeglądzie hist. wojsk.) — sprezentować pewne bliższe dane liczbowe odnośnie do sił tureckich, a wtenczas każdy historyk zrozumie, że, w miarę postępu już rozpoczętych przezemnie badań, moje podejście do działań wojskowych Sobieskiego również będzie rewizyjne, tak jak było w odniesieniu do wojen polsko-kozackich lat 1648—51.

Jakkolwiek próbują mnie moi polemiści zniechęcać „wrogimi okrzykami”, jakobym gonił za „rewelacjami”, — do których zresztą wogóle na terenie całych dziejów b. Rzplitej jest aż zbyt wiele okazji, — to mojem zdaniem te sprawy i te rewizje mogą sobie poczekać jeszcze spokojnie nawet kilka lat. Natomiast byłem i jestem nadal zdania, że ten „z gruntu fałszywy obraz Chmielniczyzny“ i pierwszych lat wojny kozackiej, wprowadzony do duszy polskiej przez Sienkiewicza, który bez własnej winy oparł się w „Ogniem i Mieczem“ o błędną literaturę i bardzo niepełne źródła, — nie powinien się być utrzymywać dłużej. Całe to potężne echo, jakim sprawa obrazu, podanego w „Ogniem i Mieczem“, znalazła w myśleniu społeczeństwie polskim, jest najlepszym dowodem, jak dalece — może nawet bardziej, niż przewidywałem — miałem słuszność. Jasnem bowiem było, że chodziło nie o zainicjowanie jednego ze sporów historycznych, ale o poruszenie jednego z podstawowych zagadnień, jak i czem formować obecną i przyszłą duszę narodu polskiego.

Obecnie w zamknięciu swych wywodów muszę dać odpowiedź na pytanie, które z natury rzeczy gnębić musiało każdego myślącego czytelnika, w ciągu wnikania w moje poprzednie uwagi, a mianowicie jakim cudem i sposobem jest możliwe, że w tej historji Polskiej jest



jeszcze tyle zasadniczych rzeczy do zrobienia, tyle podstawowych poglądów do zrewidowania, podczas gdy każdy w Polsce jest przecież przekonany, że wobec polskiego patriotyzmu, przy tem polskiem ukochaniu każdego szczegółu swej przeszłości, chyba najwięcej polska praca naukowa musiała się wysilać nad tem, co nazywa szeroki ogół Historją Polski. Tem samem ów myślący czytelnik prowadzi mnie ku odpowiedzi i wyłożeniu tego konstruktywnego celu, dla którego popozwoliłem sobie obarczyć „Gazetę Polską” szeregiem artykułów.

Trzeba wreszcie, by ten szeroki ogół, ta szeroka opinja narodu, dowiedziała się, że *polaska nauka nie posiada wogóle obszernego, szczegółowego i w materjal dowodowy zaopatrzonego opracowania dziejów Polski*. Mówiąc językiem czysto potocznym, nie posiadamy takiego naukowego i w odsyłacze zaopatrzonego opracowania dziejów Polski, jak je mają inne narody, niemogące wogóle na innych polach kulturalnych nawet stawać z nami do współzawodnictwa. Bardzo się zdziwią wszyscy czytelnicy, czyli ta szeroka opinja narodu polskiego, że to co z tego zakresu mamy, to jest *naukowa historia Polski do r. 1572*, (której część najstarsza wogóle jest bezwartościowa i przestarzała), *jest wytworem i wynikiem pracy niemieckiej* i po niemiecku wydanej, czyli wielotomową Geschichte Polens, autorstwa Roepel — Caro — Zivier.

Odkąd tylko zacząłem się zajmować zasadniczymi problemami polskiej historjografji (Dziej. rzecz. Polit. Nar. I str. 6), odrazu począłem raz za razem zwracać uwagę na ten brak i najbardziej zasadnicze niedomaganie całej naszej nauki, której sobie poprostu nie chcieliśmy uświadomić, chociaż nieraz było podnoszone (n. p. St. Kutrzeba: Wady i zadania n. hist. str. 10/11). Wydana dwutomowa Historja polityczna w Encyklopedji Akademji Umiejętności nietylko nie spełnia, ale wogóle nie miała zamiaru spełnienia tej roli. Wszystkie bowiem wywody podane są na wiarę i zaufanie do autorów poszczególnych okresów, a bez pełnego przytaczania, na czem się opierali. Jakkolwiek niezaprzeczenie ta Historja Polityczna Akademji Umiejętności, jak też Dzieje Polski średniow. (Grodecki — Zachorowski — Dąbrowski), stanowiły i stanowią niezaprzeczenie postęp i cenny dorobek, to jednak nie rozwiązały i nie zamierzały spełnić tego obowiązku wobec naszej przeszłości tak, jak w tem ze swego punktu widzenia wyręczyli nas częściowo Niemcy. Przy tym bowiem systemie szeregowania faktów przeszłości, jak to ma miejsce w Historji Politycznej Akademji Umiejętności, lub też w późniejszych opracowaniach, nieraz, zwłaszcza dla spraw kulturalnych, pełniejszych i ciekawszych niż Historja Polityczna, będą zawsze — wobec możności swobodnego referowania niepełnie dobranej literatury i źródeł — zachodzić takie wypadki błędnego i fałszywego opracowania, jak właśnie prof. Wł. Konopczyń-

skiego dla omawianych przeze mnie lat, który to sąd nie mógłby się już rozciągać np. na sprawy szwedzkie, czasy saskie i t. d.

Niejednokrotnie, nietyłe z zazdrością, ile ze wstydem, brałem, jako polski historyk, do ręki n. p. wielotomową historję — nawet — Bawarji, Riezlera, lub dziś de facto kilkunastotomową (choć tylko do 1657), historję Ukrainy Hruszewskiego, by samemu dla spraw polskich zaglądać do „Geschichte Polens”. Szczęśliwszą nawet od nas jest Litwa, w ostatnich bowiem czasach doczekała się I tomu podstawowego dzieła prof. L. Kolankowskiego, w którym nie potrzeba już tylko wierzyć autorowi na słowo, czy jego historyczny domysł, ale krok za krokiem można go kontrolować na podstawie krótkich, ale licznych i wszechstronnych dowodów, bądź to ze źródeł, bądź z literatury.

*W tym braku leży podstawa, oraz niepożądana możliwość mego rewizjonizmu, a zarazem powód kompletnego chaosu w opracowaniu naszej przeszłości przez, tak pokazną zresztą, ilość polskich historyków.* Na terenie bowiem dziejów dawnej Rzeczplitej mamy z jednej strony *pewne zagadnienie, raczej zbyt przepracowane* i rozbudowane do granic naukowej irracjonalności, a inne zupełnie pominięte, lub nawet nietknięte krytyką historyczną. Biada temu, któryby zaryzykował — zrażając sobie raz jedne, raz drugie nazwisko — by przykładami i dobitnie udowodnić ten stan rzeczy, chociaż już dawno temu — ponownie St. Kutrzeba (o. c. str. 12) — zwrócono uwagę na chaos naszych badań monograficznych. Gdy niedawno wszyscy, polscy historycy zachwycali się — po przeczytaniu, albo bez czytania, — sześćsiest stronicami znakomitej pracy o „narzazie”, jednej z kilkunastu danin z okresu prawa książęcego w Polsce, to ja musiałem pomyśleć o tem, że o decydujących sprawach dla polskiej przeszłości, jak o bitwie pod Mątunami, bitwie pod Beresteczkiem, nie mamy sześćdziesięciu stron na podstawie źródeł krytycznie opracowanych, że nie znamy podstaw i obowiązków naszych wasali w przeszłości, i t.p., że sam za razem musiałem dla siebie według źródeł ustalać bieg wypadków i daty zdarzeń, chociażby np. bitwy pod Żółtymi Wodami.

Jeśliby bowiem historycy polscy byli przystąpili do planowego i celowego opracowania dziejów b. Rzplitej w jakichś dziesięciu, czy dwunastu sporych tomach, z zaopatrzeniem każdego wypowiedzianego poglądu w chociażby najbardziej zasadnicze wskazania źródłowe i bibliograficzne, to natychmiast każdy na swoim odcinku pracy byłby się przekonał o faktycznym, obecnym stanie. Tuż obok siebie, niemal bezpośrednio, nasuwałyby mu się zagadnienia przepracowane do najdrobniejszych, a nieraz zupełnie drugorzędnych szczegółów, obok spraw zupełnie nieporuszanych, a przyjmowanych na wiarę według starych opracowań i autorów, znających nieraz tylko część materiału polskiego, a nie próbujących nawet uwzględniania źródeł obcych, lub

relacji decydujących. Wtenczas przekonaliby się historycy — by powrócić do omawianych przezemnie grzechów głównych historjografji XVII w., oraz do spraw, któremi niemalże opinię zrewoltowałem, — że *nasza znajomość w. XVII wygląda dosyć dziwnie*. Dla łatwiejszego zilustrowania uciekam się do grubego porównania. Pewne okresy dziejów Polski, już od XV w. począwszy, a zwłaszcza na terenie w. XVII, wyglądają na podstawie dotychczasowego naszego dorobku tak, jakgdyby ta Polska, która przyjdzie po nas za 200 czy 300 lat, miała dla obecnych czasów niemal znakomite rozprawy o opłatach stemplowych, prawie ubogich, stosunku rad powiatowych do rad wojewódzkich, zagadnieniu celnem Gdańska, — bardzo zaś już mętnie wiedziała o kontyngencie rekruta, o majątku narodowym, czy partjach politycznych i t. d., i t. d. Wątpię również, czy zadowolilibyśmy się poczuciem, że za lat 200, czy 300 przyszła Polska będzie znakomicie znała n. p. marsze dywizji litewsko-białoruskiej, przebieg najszczegółowszy poruszeń naszych pułków nad Narwią, ale zato co do reszty ograniczy się do stwierdzenia, że odparliśmy w r. 1920 zwycięsko „miljonowy komunizm”, nie bardzo nawet wiedząc, kto w tym odparciu komunizmu grał pierwszą, a kto podrzędną rolę.

Bardziej bowiem, niż jakiegokolwiek inne zagadnienie w Polsce, praca historyczna wymaga od swych pracowników *poczucia obowiązku i celowości w wykonaniu pewnych zadań*, w miejsce obdarzania Polski rozprawami wydrukowanymi w znacznej części tylko dlatego, że się właśnie autor „o daną kwestję zaczepił”, a dla celów np. uniwersyteckich, czy innych, musi się wykazać pewną ilością zadrukowanych stron. Gdyby Polska praca historyczna skupiła się koło zadania, które dla szerokiego ogółu musi się nazywać poprostu i grubo obowiązkiem napisania historii byłej Rzeczplitej, a to conajmniej w nowym ujęciu od podziałów do rozbiorów (czasy przed Łokietkiem są raczej przepracowane), to przekonano by się łatwo, że dla pewnych kwestji trzebaby tylko umiejętnie i krytycznie streszczać rozbudowany dorobek naukowy, dla innych zaś trzebaby dopiero rozpoczynać poszukiwanie materiałów.

Są to *sprawy tak zasadnicze. a tak proste*, które ogół, przypatrujący się obecnej „bellum historicum”, zrozumie dopiero wtenczas, gdy sobie uświadomi, że naukowo opracowanej i udokumentowanej historii naszej b. Rzeczplitej nie mamy! Kto ma ją robić, jak ten największy obowiązek wobec naszej przeszłości wykonać należy, nie pora jeszcze z miejsca i odrazu rozstrzygać. Zadanie to nie leży w możliwości jednego człowieka, czy nawet dwóch, trzech ludzi, a niewątpliwie też nie leży w możliwości autora słów obecnych, zmuszonego raz za razem do szczegółowej obrony swoich rewizjonistycznych poglądów na terenie połud. wschod. od 1340 — 1699, jak tego zarysy szkico-

wał w wykładach uniwersyteckich. Niewątpliwie jednak tej przyszłej, a pierwszej, udokumentowanej i *polskiej historii b. Rzplitej* musi i winna przyświecać jednolita myśl historyczna, jednolite ujęcie i jednolita miara dobrego i złego,

Dla dziejów bowiem duszy polskiej, dezorientowanej historjografją może nieraz częściej w ostatnim 50-leciu, niż przedtem, ta historyczna miara dobrego i złego będzie decydująca w całym jej formowaniu i osadzaniu się, bo odczuwanie, jak to na innym miejscu starałem się podnieść, zależało zawsze i zależeć będzie od twórczości literackiej. Niewątpliwie, przed omówieniem samej powyższej pracy, jej zakresu, dróg realizacji i t. d., a niejako we wstępie do tego spłacania długu przez Polskę Odrodzoną dawnej Rzplitej — koniecznym jest, by *każdy historyk sam przed sobą zdał sobie sprawę* ze swego sposobu patrzenia na całość dziejów Polski, a nie tylko na przyczynki monograficzne własne, lub swoich uczniów. Nie wiem, czy dla tej zasadniczej strony sprawy znaczna część naszych historyków jest obecnie, przed sobą samym, w zdefiniowanej i wyjaśnionej pozycji. Ja osobiście, — jeśli to kogo interesuje — chętnie przyznałbym się do regeneracji, oczywiście zreformowanej w wysokim stopniu i rozszerzonej na nietknięte pola historii wojskowej i politycznej, t. zw. Szkoły Krakowskiej.

Wyznanie, pod którem dzisiaj, jak sędzę, mało kto z historyków zechciałby, lub mógłby się podpisać.

Ta jednak Szkoła Krakowska nie jest dla mnie żadnym źródłem pesymizmu, ale wręcz przeciwnie, najdalej idącego optymizmu, gdyż w okresie po upadku b. Rzplitej, a z tchnieniem legjonów Dąbrowskiego, (a więc z czasami, któremi się raczej politycznie, niż historycznie zajmowała), wyczuwam to rodzenie się i systematyczne rozwijanie się duszy i typu Nowego Polaka, który teraz idzie stumilowymi butami *ku wielkości*, tak jak ongiś stary Polak szedł z rozpaczliwą konsekwencją, mimo coraz to podejmowanych wysiłków lepszych jednostek, — *ku upadkowi!*

Te dwie troski zasadnicze, jedna pod adresem ogółu polskiego, jako wołanie o stworzenie rzeczywistej i naukowej historii b. Rzplitej, druga ściślej już raczej wobec historyków, jako zapytanie, jak sami przed sobą i dla siebie ustalają, co jest dla nich sprawdzianem złego i dobrego w naszych dziejach, — były konstruktywnymi motywami dla tak szerokiego rozwinięcia mych uwag: „O grzechach głównych wobec naszej historjografjii w. XVII“.

## V. Zasady rewizjonizmu naszych obliczeń historyczno-wojskowych

„Historja jest dochodzeniem prawdy o przeszłości człowieka na podstawie źródeł”, — możliwie proste określenie, które utworzyłem sam dla siebie po bezskutecznych poszukiwaniach zwięzłej definicji historii w metodologicznych podręcznikach.

W myśl tej definicji o historyczności jakiegoś faktu, lub poglądu, decydują dwa czynniki, t. j. zarówno prawda, jak źródła, czynniki, które bardzo często są ze sobą sprzeczne, a nieraz nawet wprost się nawzajem wykluczają. Warunkiem prawdy jest prawdopodobieństwo, prawda historyczna bowiem nie może obejmować rzeczy przeciwnych logice i realnej możliwości, prawda nie zna cudów wojskowych, czy politycznych, a musi mieścić się w rachunku. Odwrotnie jednak, — żaden wyrozumowany i możliwy w rzeczywistości tok rzeczy nie jest faktem historycznym, jeśli nie ma uzasadnienia i poparcia źródłowego.

Na żadnym może odcinku zagadnień historycznych konieczność takiego rozważania oddzielnie prawdy dziejowej, a oddzielnie źródeł historyjograficznych, nie występują tak jaskrawo, jak w historii wojen wogóle, a w szczególności w odniesieniu do spraw określeń liczbowych wojsk, biorących udział w akcji.

Historjografię polskich wojen b. Rzplitej moglibyśmy podzielić na rzeczywistą i nierzeczywistą. Do pierwszej kategorii mogą być zaliczone wojny niemieckie, szwedzkie, oraz wszystkie sprawy wojskowe od w. XVIII począwszy, dla których już rozporządzamy dwustronnemi źródłami i dwustronnemi opracowaniami wypadków przez historyków zainteresowanych narodów. Dwustronność przynosi — sama przez się — wzajemną kontrolę, a tem samem daje obraz i obliczenia, możliwie zbliżone do rzeczywistości. Do odcinka zaś nierzeczywistego naszej historjografji wojen należą jeszcze w dużej mierze wcześniejsze wojny moskiewskie, oraz ogół wojen polsko-tureckich i polsko-

kozackich, dla których to spraw — jak dotychczas — operujemy przeważnie własnym materiałem, a nie pozostajemy pod ścisłą, wojskowo-histeryczną kontrolą drugiej strony, któraby łącznie z nami wyeliminowała element bajkowo-opisowy.

Rewizjonizm w stosunku do przesadnych, czy bajkowych danych o wojskach, cudownych zwycięstwach, dziesiątkach tysięcy zabitych i t. d., jest zjawiskiem naukowym, które liczy już lat blisko pięćdziesiąt, a ma za swego inicjatora słynnego Hansa Delbrücka. Przez tych lat niemal pięćdziesiąt na terenach najrozmaitszych historjografji wojskowych poobalano już dawno wszystkie te cyfry, które nazwałem — dla naszej historjografji — astronomicznemi! Już dawno wiadomo, że np. Karol Śmiały miał nie 120.000 wojsk, tylko 14.000, że w bitwie Granson nie poległo 7.000 ludzi, tylko 7 rycerzy i garstka szeregowców, że wojska husyckie nie wynosiły kroci, tylko 5 — 8.000, a nawet że w takiej bitwie pod Hagelsberg w r. 1813 nie padło 4.000 zabitych Francuzów, jak przyjmowano poprzednio, a tylko 30! **Czas więc ostatni, by ten rewizjonizm cyfr astronomicznych objął również naszą historjografję wojskową,** jak zresztą postawiłem ten postulat już w „Dziejowej rzeczywistości a rac. st. n. pld. wsch.“ („Polityka Narodów” I-1933). Tylko bowiem bezwzględna prawda historyczna może mieć swe walory konstruktywne dla polskiej umysłowości, oraz uczynić studjum naszych dawnych wojen czynnikiem instruktywnym i pełnym wskazań zarówno dla pokoleń obecnych, jak przyszłych.

Powodów tak jaskrawego opóźnienia tego procesu w naszej historjografji jest dwa, a to w myśl na czoło wysuniętych warunków historji, jeden z zakresu prawdy, a drugi z zakresu źródeł. Historjografją przedwojenną, opracowującą czasy przed Stanisławem Augustem, zajmowali się u nas w Polsce uczeni nie mający przygotowania do służby sztabowej, a tem samem pozabawieni tego wyczucia, czy umiaru rzeczywistości, który uczy, że kolony mają swoją długość, szarże swoje fronty, a setki tysięcy wojsk kolosalne potrzeby aprowizacyjne. Co ważniejsze, — historycy ci nie znali, bądź to nie rozumieli istoty mobilizacji wojskowej danego państwa, chociażby w tym sensie, że przedewszystkiem trzeba ustalić przynajmniej w przybliżeniu liczbę ludności danego państwa, że nawet przy powszechnej mobilizacji tylko pewien procent może wyjść zagranicę kraju i t. d., podobnie jak obce było im pojęcie, czy warunki [takiej operacji, jak koncentracja wojsk. To ostatnie zagadnienie koncentracji wchodzi szczególnie w grę przy obliczaniu rzeczywistości wielkich możliwości mobilizacyjnych moskiewskich, względnie rosyjskich, a wymagających aż do końca niemal XVIII wieku szczegółowej rewizji cyfr dla wojsk, uruchomionych w polu.

W rezultacie, — historjografia niewojskowa pozostawiła nam w spadku ogromną ilość najzupełniej fantastycznych danych, które wszystkie muszą być uprzątnięte, nietylko dlatego, że kolidują one z poczuciem rzeczywistości oficera, obeznanego z obliczeniami mobilizacyjnymi, aprowizacyjnymi, oraz rzeczywistymi warunkami bojowymi, ale również, czy przedewszystkiem — dlatego, że dane te opierają się na bezwartościowym materiale źródłowym. Na ten moment szczególnie zwracam uwagę, ponieważ nasza historjografia wojskowa odziedziczyła po swych poprzednikach pewien spadek faktów i cyfr, zabezpieczonych najrozmaitszemi rozprawami, źródłami, odsyłaczami i t. d., pozornie bardzo naukowymi. W rzeczywistości jest to balast plotek kronikarskich, „języków“, „konfessat“, a nieraz nawet własnych listów i relacyj królów, hetmanów, hanów i t. d., które naogół muszą być wzięte poza nawias. Zebrał ten materiał Korzon, a przechowały go bez zmian nasze podręczniki wojen i wojskowości, łącznie z wziętym, czy popularnym „Zarysem historii wojskowości“ gen. M. Kukiela (3 wydania). Obserwacja ta przyjdzie siłą rzeczy każdemu, kto podobnie, jak piszący te słowa, zbada, w jakich cyfrach występują wojska polskie w źródłach obcych (por. wyżej str. 115). W tych bowiem źródłach tureckich, arabskich, a często także w relacjach moskiewskich, listach kozackich, figurujemy dla odmiany, jako te masy, zwyciężane przez słabszych liczbowo przeciwników.

Na tej podstawie łatwo dojdziemy do pierwszej zasady metodycznej, która musi obowiązywać przy obliczeniach sił wojskowych, zaangażowanych w poszczególne starcia: **zasługują na wiarę te obliczenia o danem wojsku, które pochodzą z jego własnych źródeł, lub są o nie oparte.** W konsekwencji nasze dane o własnych siłach, np. pod Chocimem w r. 1621 (ale już nie w odniesieniu do Kozaków!), pod Korsuniem w r. 1648, w Zbarażu w r. 1649, pod Zborowem w r. 1649, pod Beresteczkiem w r. 1651 (pewne tylko dla wojska regularnego), pod Podhajcami w r. 1667, pod Chocimem w r. 1673, pod Żórawnem w r. 1676 i t. d., i t. d., — będą cyframi rzeczywistymi, natomiast dane o wojskach przeciwnika, czerpane z tego samego zakresu źródeł, **będą danemi z gruntu fałszywemi.** Mogą się wprawdzie również w źródłach polskich znajdować dane prawdziwe, ale to tylko wtenczas, gdy występują one w praktycznej korespondencji wodzów, w wiadomościach wziętych od obserwatorów postronnych i t. d., w żadnym zaś wypadku w źródłach, przeznaczonych dla szerszych kół czytelników, chociażby to nawet były np. listy króla Jana Sobieskiego, jego relacje na sejm i t. d.

Chcąc więc ustalić siły naszych przeciwników w poszczególnych wojnach, czy bitwach, musimy do ich wojsk dostosować tę samą zasadę, jaką stosujemy przy ustalaniu własnych polskich wojsk, t. j.

przenieść swe badania na teren ich źródeł, oraz ich stosunków i możliwości mobilizacyjnych. Jest to zasada naukowo zupełnie prosta, a po zastosowaniu jej przezemnie **musiałem z miejsca dojść do obserwacji uderzająco rozbieżnych z tem, co dotychczas, czy uprzednio przyjmowało się za fakty historii polskiej.** Nie mogę na tem miejscu rozwijać całego aparatu dowodowego, jak będę miał możliwość przeprowadzić to w przeznaczonym do tego „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym“, gdzie np. przytoczę źródła tureckie, z miejsca rozbijające nasze poglądy na ich armje, załogę Kamieńca i t. p. Wystarczy, jeśli już obecnie przypomnę, że zajmąwszy się obliczeniami możliwej ludności tatarskiej na Krymie, ich systemem liczenia siebie na „garnki“, czyli rodziny, zasadą powoływania na wyprawę trzech zbrojnych na osiem „garnków“, doszedłem do rewolucyjnej obserwacji, że w miejsce tych 100, czy 200 tysięcy jeźdźców (np. u Korzona) naszej historjografji, ich najdalsza możliwość mobilizacyjna, o ile chodzi o Krym, nie przekraczała 40.000. W rzeczywistości nie wystawia Krym nawet na największe wyprawy, z wszystkimi hanami na czele, więcej jak 15 do 20 tysięcy ludzi, a ich kontyngenty pomocnicze nawet na osobiste wyprawy sultanów obracały się w granicach 8—10 tysięcy. Źródła tureckie w całości potwierdziły me wojskowe obliczenia mobilizacyjne. Oczywiście — ze zmianą informacyj o cyfrach, musi się zmienić ocena ich wartości bojowej, obracająca się dotychczas w naiwnych bajkach i przechwałkach. Jakkolwiek han górnołotnie obiecywał Janowi Kazimierzowi 100.000 swoich „sokołów“ na pomoc, to naprawdę posłał mu 2—4 tysiące Tatarów, na tyle bowiem było go stać, jako na pomocniczy i dłużej nieobecny kontyngent. Niemniej jednak tych kilka tysięcy Tatarów było ogromną wartością bojową, — np. w bitwie pod Warszawą sam generalissimus szwedzki jest odkomenderowany z wojskami przeciwko nim, pod Prostkami pomagają pokonać pierwszorzędnego przeciwnika, docierają do Prus i t. d. Jasnem jest więc, że jeśli Tatarzy w kilka tysięcy, lub nieraz nawet w kilkuset w naszej służbie, wykazywali tak wysokie walory bojowe, to nie mogli przecież, jako rzekome 100.000 jeźdźców, stanowić bezwartościowej i tchórzliwej masy. W momencie gdy cyfry tatarskie sprowadzimy do danych rzeczywistych, np. 20.000 pod Zbarazem i Zborowem, mniej więcej to samo pod Beresteczkiem, to zrozumiemy również, że tych samych 20.000 (u Korzona II t. I wyd. 357 — 200.000!) Tatarów wystarczało do osadzenia, czy rozbicia pod Jezierną Chmielnickiego (20—22.XI.1655), gdyż on także nigdy nawet w przybliżeniu nie operował temi setkami tysięcy, które wyznaczają mu nasze źródła.

Sprawa obliczania sił Chmielnickiego, czy kozackich wogóle polega na zbadaniu zagadnienia, pod względem wojskowym niema



że nietkniętego, — regestrów kozackich, oraz korespondencji ze sprawą tych regestrów związanej. Wystarczy powiedzieć, że to najważniejsze — obok sił tureckich — zagadnienie naszej historii wojskowości XVII wieku jest dotychczas zupełnie niezbadane, gdyż historyk ukraiński, W. Lipiński, zajął się rejestrem zborowskim pod kątem udziału szlachty w szeregach kozackich. Regestr ten zborowski, z daty 17.X.1649, zachował się w oryginale. Według wydawcy Bodjańskiego, miałby on zawierać 37.745 nazwisk, według sum, podanych dla pułków, miałoby być 38.845, a według danych dla pułków w djarzyszu Oświęcima — 40.447. Nie wchodzę tutaj w szczegóły, jedno jest jednak uderzające, że Chmielnicki, przeprasząc króla za przekroczenie cyfry 40.000, w posłanym rejestrze nie mógł dociągnąć swych małowców do cyfry 40 000, bo mu zabrakło ludzi i nazwisk. Szczegół ten jest wyjątkowo zastanawiający, ponieważ się powtarza następnie w stosunku do Moskwy, po upływie dalszych 5 lat „kozaczania się” Ukrainy. W czasie swych pertraktacji z carem mógł niewątpliwie Chmielnicki wyznaczyć taką cyfrę na regestr kozacki, jaką mu się żywnie podobało. Ustalił tę cyfrę w ugodzie perejstawskiej (1654) na 60.000, której następnie również nie mógł wypełnić ponad cyfrę 58.000. Wreszcie ostatni wgląd w rzeczywistość kozackich możliwości tego czasu daje korespondencja w sprawie traktatu hadziackiego (1658), gdzie wyraźnie powiedziana jest, że cyfra 60.000 jest tylko poto, „aby się czerń kozacka nie mieszała“ (por. W. Lipiński „Z dziej. Ukr.“, str. 598), gdyż w rzeczywistości miało być tych teoretycznych rejestrowców 30.000, a prawdziwych, niejako w charakterze stałego zaciężnego wojska, tylko 10.000. Liczba 60.000 — to szczyt potęgi Kozaczyzny ukraińskiej, z którego z biegiem lat systematycznie schodzi i wykrusza się aż do zaniku.

Sądzę, że tych kilka uwag wystarczy, by z przejściem naogół na teren źródeł i korespondencji kozackich, móc ustalić cyfrę wojsk kozackich w tych latach, zwrotnych dla spraw polskich na południowym Wschodzie. Chmielnicki rozpoczął ruch na Niżu w lutym r. 1648 w 300 — 500 ludzi. Z momentem rozpoczęcia walk ma 2 — 3 tysięcy Zaporozców, które to siły rosną szybko do 6, względnie 8.000, wskutek masowego przechodzenia rejestrowców na jego stronę. Po Korsuniu i w Białocerkwi liczą jego siły około 12.000 ludzi (bez Tataarów). W czasie wyprawy do Polski w roku 1648 dochodzą one do 20, czy może 25.000. W okresie walk pod Zbarażem i Zborowem dysponują wogóle i łącznie cca 40.000 ludzi, z czego trzyma pod Zbarażem Kozaków i szlachty 30 — 35.000. Pod Beresteczkiem dysponuje już 50 — 60.000 zmobilizowanych sił kozackich. Wszystko to razem nazywa się w źródłach kozackich stale i konsekwentnie „kozackaja czerń“, a składa się z nielicznych Zaporozców, około 10 —

12.000 b. rejestrowców i t. zw. wypiszczyków, oraz około 20—25.000 tych mołojców z pomiędzy skozaczonych chłopów, który zmobilizowani poszli na wyprawę. Z licznych bowiem aktów procesowych w „Zereta Istorji Ukrainy Rusy“, „Archiv. Jugo-Zapadnoj Rossii“ i t.d. widocznem jest, że znaczna większość chłopów „po skozaczeniu się“, t. j. obrabowaniu dworów i Żydów, pozostawała na miejscu. Oczywiście też te wszystkie opowieści źródeł polskich o wyruszeniu 100.000 chłopów — są to tylko gadki postronnych, w rzeczywistości bowiem wśród tych mołojców, którzy byli przy Chmielnickim, już żadnej prawnej, ani faktycznej różnicy między rejestrowanymi a nierejestrowanymi nie było, natomiast ostro odcinała się szlachta i starszyzna po setników włącznie; przeciwnie, Chmielnickiemu stałe brakowało raczej ludzi do wypełnienia rejestru.

Na takiej podstawie możemy zrozumieć nareszcie operacje Chmielnickiego, oraz takie fakty, że mając rzekomo 300.000 ludzi, nie mógł Krzyczewskiemu na tak konieczną i proszoną pomoc posłać nawet 2 — 3.000 ludzi, a hanowi krymskiemu, wobec zobowiązań sprzymierzeńca, z trudem dostarczył 3.000 ludzi pomocy, bo już przyrzeczonych 5.000 przekraczało jego możliwości („wyprawcie kiedy nie można rzecz 5.000, tedy 3.000“ — list hana z 15.6.1650). Jasnem zaś staje się wreszcie dla każdego wojskowego, znającego dzieje Polski, że mój postulat kompletnej rewizji historii tych czasów jest chyba najzupełniej uzasadniony.

Opuszczam już tutaj drobiazgi, odnoszące się do innych pomniejszych hord tatarskich, z których groźna swego czasu horda Kantymira, bohatera strony tureckiej pod Cecorą, mogła wystawiać maksymalnie 5.000 jeźdźców, a nie 70.000, — jak chce nasza literatura, tak, jak cała horda białogrodzka liczyła łącznie około 27 — 30.000 głów, a wystawiała maksymalnie tych 3.000 jeźdźców, którzy stali się powodem paniki i hańby piławieckiej.

W zamknięciu jnż tylko wspomnę o sprawach tureckich. Oczywiście, — tutaj występuje ten sam objaw, co przy sprawach tatarskich i kozackich. Turcy zwyciężali przedewszystkiem najstarszem najlepszem wojskiem stałem — janczarami, których wartość polegała na jakości, a nie na ilości. Korpus janczarów, w najlepszym swym okresie w wieku XVI, zamyka się w cyfrze 12—14.000 ludzi, a w miarę następnego swego rozrostu liczbowego traci coraz bardziej na jakości. Turcy w wielkich masach przestali być tak niebezpiecznymi, jak byli w okresie górowania nad całą Europą organizacją i jakością wojskową. Pozatem nie można o tych rzeczach mówić bez wniknięcia w zasady mobilizacji wojsk tureckich, która rzadko była powszechną, a z reguły raczej tylko poszczególnych prowincji. Dla szerszych kół przypominę jedną tylko obserwację, obcą wogóle nauce historycz-

nej (zob. moje „Białogród i Kilja“ str. 5), że **jeśli wyruszał osobiście sam sułtan, to nie był nigdy pobitym i nie mógł być pokonanym**, gdyż — zresztą tylko wtenczas — siedł cały korpus janczarów, jako jądro armji, przy ogólnej mobilizacji całego państwa. Te właśnie wyprawy osobiste sułtanów, z roku 1621 i 1672 są tymi jedynymi wypadkami w dziejach b. Rzeczypospolitej, kiedy siły naszych przeciwników przerastają znacznie nawet 100.000 ludzi w polu. Wobec armji, dowodzonych przez sułtanów, jest od w XV do XVIII możliwą tylko defensywa, aż do czasu wyczerpania się tureckich możliwości apro wizowania zdala od kraju takich mas skupionych. Dlatego też największym wodzem i zwycięzcą całych dziejów polskich b. Rzplitej, był, — mojem zdaniem —, Chodkiewicz, wódz Kircholma i pierwszego Chocima.

Rzuciłem kilka uwag i danych w intencji możliwie najszybszego naprowadzenia na te tory badań tych wszystkich badaczy, którzy zajmują się studjum operacji wojsk b. Rzeczypospolitej. W zamknięciu jednak wobec faktu tak gwałtownego redukowania cyfr przeze mnie, chciałbym przestrzec przed zaufaniem do danych źródłowych tylko dlatego, że podają cyfry minimalne. **Cyfry najniższe nie zawsze są prawdziwe.** Czy to będzie własna relacja Chmielnickiego, że pod Zamościem w r. 1648 ma tylko kilkanaście tysięcy ludzi, czy opowiadanie wysłannika Zbaraża (Skrzewski, wględnie Skrzetuski, lub Stąpkowski; kozak w służbie A. Firleja), że Tatarzy liczą tylko kilka tysięcy ludzi, czy jedna z relacji z otoczenia Janusza Radziwiłła, że pod Beresteczkiem pobito tylko 30.000 Kozaków, — wszystkie te dane nie zasługują na wiarę. Często bowiem wchodzi szereg motywów, które każą bądźto samemu przeciwnikowi, bądź naszym relacjom, zniżyć siły przeciwnika do granic nierzeczywistych, co najlepiej widać w wypadku z Januszem Radziwiłłem, który cyfrę pobitych przez siebie pod Łojowem Kozaków podniósł bez wahania o 125 proc., tak jak o te same 125 proc. obniżył cyfrę wojsk zwyciężonych przez Jana Kazimierza.

**Wszystko to razem są zagadnienia zarówno podstawowe, jak decydujące dla naszej historii wojen b. Rzeczypospolitej.** Równocześnie zagadnienia, wymagające jeszcze całego szeregu wieloletnich studjów, które bądźto na terenach wydawniczych i filologicznych nie zostały wogóle zainicjowane, bądźto rozpoczynają się dopiero rozwijać z intencją, by z porzuceniem dotychczasowej historjograficznej podstawy prowadzić własne badania historyczno-wojskowe i przyłożyć do nich swoją miarę sztabu głównego i rzeczywistości.

Odpowiedź bowiem prawdziwa, odpowiedź tej rzeczywistnej historii wojskowości, która wie i rozumie, że uczyć i kierować myślą narodu polskiego we własnem odrodzonym państwie można tylko przez całą krytyczną prawdę o przeszłości, — wymaga równorzędnie

dwóch rzeczy. Z jednej strony umiaru i osądu wojskowego, zorientowanego w możliwościach wojny i wojsk, jak z drugiej pomocy przygotowawczej historyka, który da w miejsce dotychczasowego materiału źródłowego, przypadkowego, a łatwo dostępnego, **materiał celowo wyszukany**, a — niestety — niestety — niestety trudno dostępny z powodów językowych i bibliograficznych.

Jest to zadanie, które przed naszą historją wojskowości stoi i stać będzie jeszcze na przeciąg nietylko kilku, ale kilkunastu lat.



## Przegląd treści

### Cz. I Artykuły

Zamiast wstępu . . . . .	str. III.—VI.
I. „Ogniem i mieczem” a rzeczywistość historyczna . . . . .	„ 1 — 9
II. Odwrócony obraz . . . . .	„ 10 — 17
III. Książ Jarema . . . . .	„ 18 — 31
IV. Konkluzje. Część 1 . . . . .	„ 32 — 44
„ Część 2 . . . . .	„ 44 — 55
V. Pokłosie dyskusji o historyczności „Ogniem i mieczem” . . . . .	„ 56 — 64

### Cz. II Odpowiedzi polemiczne

Ogólna charakterystyka polemiki . . . . .	str. 67 — 70
I. O historyczności „Ogniem i mieczem“. Z odprawy Drowi A. Czołowskiemu . . . . .	„ 71 — 78
II. Skrzetuskiego (?) z pod Zbaraża rzeczywiste pochodzenie i rola . . . . .	„ 79 — 89
III. Książ Jarema w historycznej rzeczywistości. W odpowiedzi Drowi W. Tomkiewiczowi . . . . .	„ 90—106
IV. O grzechach głównych wobec naszej historjografji w. XVII. W odpowiedzi gen. M. Kukielowi i prof. Wł. Konopczyńskiemu . . . . .	„ 107—132
V. Zasady rewizjonizmu naszych obliczeń historyczno-wojskowych . . . . .	„ 133—140

---

